Polska 2,00 zł, w tym 8% VAT

samo życie

Magazin auf Polnisch nr 4 (615) – Kwiecień 2023 1,80 €

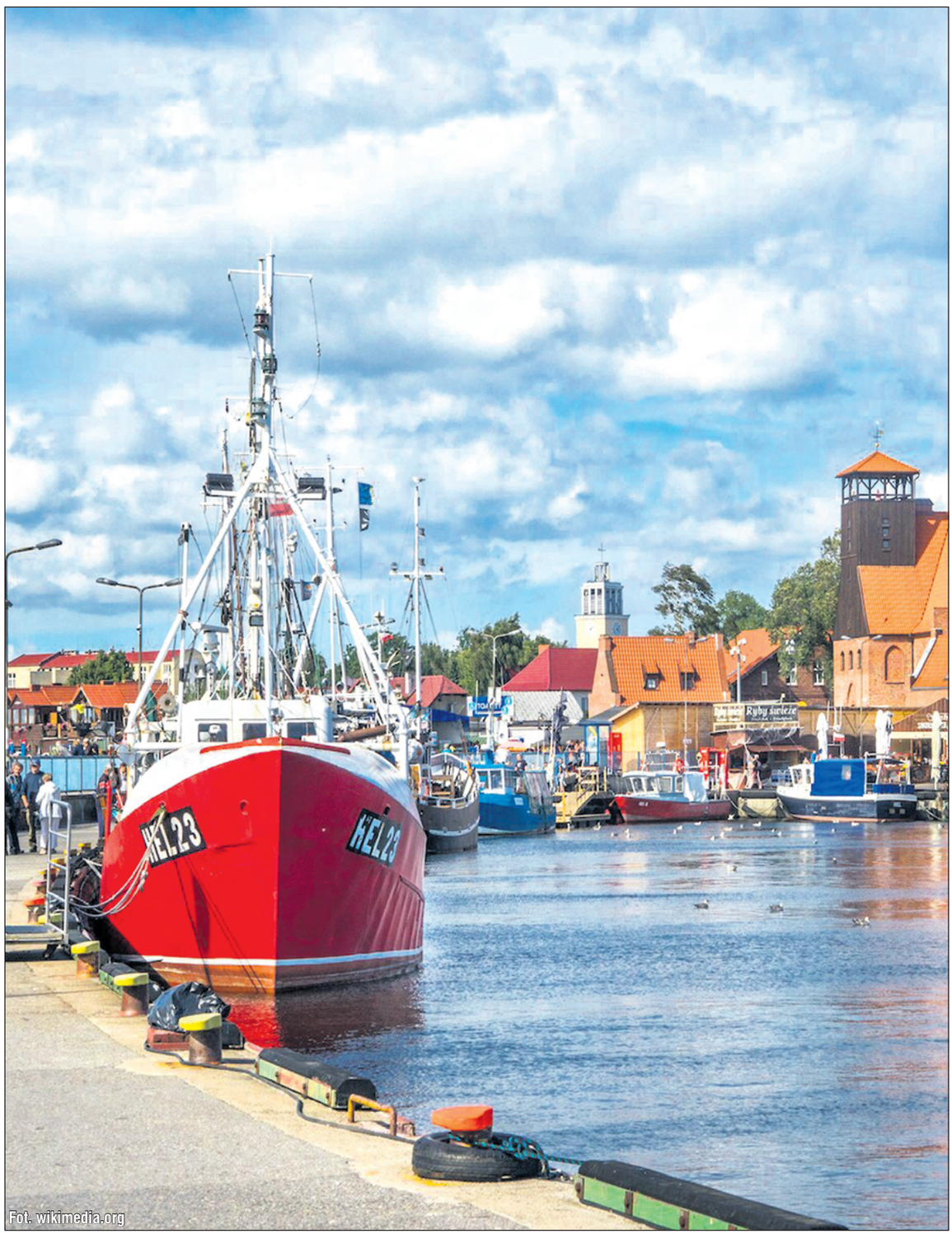

Fot. wikimedia.org

Podziwiać i jeździć

Wygląda jak milion dol. str. 9

Odpuśćmy stres

Ania Shanti Namdas

Fot. Robert Siera

Zajęcia jogi str. 17

Śmiać się jak...

Mleczko z Kneipem str. 32

Wakacje nad Bałtykiem?

Na krańcu Polski, na cyplu Mierzei Helskiej, leży pomorskie miasto Hel i plaża z trzech stron otoczona wodą. Str. 16

K 14148
Index 34172X
ISSN 1432-9794

Aktualności

Wojna o papieża

Amerykański ambasador na dywaniku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie! To nie śniło się nawet Władimirowi Putinowi. A więc kolejna wojna rozpoczęta. Wypowiedziały ją Polsce manipulowane przez Rosję Stany Zjednoczone. Może pomóc Jarosławowi Kaczyńskiemu wygrać wybory po raz trzeci.

W wyemitowanym 6 marca na antenie TVN24 reportażu „Franciszkańska 3" jego autor Marcin Gutkowski przytoczył materiały związane z postawą Karola Wojtyły wobec przypadków pedofilii wśród księży w czasach, gdy był jeszcze metropolitą krakowskim.

Opisane zostały przypadki trzech księży: Bolesława Sadusia, Eugeniusza Surgenta i Józefa Loranca oraz reakcja na nie ówczesnego metropolity krakowskiego. Pojawił się również wątek kardynała Adama Sapiehy, wskazujące na to, że przejawiał gejowskie zainteresowania i gustował w klerykach i młodych księżach.

To był z kolei plon pracy holenderskiego dziennikarza Ekke Overbeeka. Sapieha w kontakcie z klerykami miał kazać rozbierać im się do naga, dotykać ich miejsc intymnych oraz bić skórzanym pasem.

O tym pisał wcześniej w książce „Bielmo" również Marcin Gutowski, opierając się na innej teczce SB, ks. Andrzeja Mistata. Wiedza na temat seksualnych upodobań Sapiehy – zdaniem autorów – była powszechna w krakowskich środowiskach klerykalnych. Prawdopodobnie wiedział również przyszły papież Karol Wojtyła. Mają być to powody, dla których nie wszczął już jako papież procesu beatyfikacyjnego Sapiehy obawiając się, że na którymś jego etapie może dojść do wyjawienia prawdy o biskupie, i że sam ukrywał pedofilię podległych mu duchownych.

W ponad dziewięćdziesięciominutowym materiale nie brakuje dowodów w postaci dokumentów, akt postępowania karnego, teczek SB oraz rozmów ze świadkami. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że reportaż wywoła medialną burzę.

Doszło do sytuacji bez precedensu. Na dywanik u ministra spraw zagranicznych wezwany został amerykański ambasador Mark Brzezinski. MSZ podkreśliło, że spotkanie zostało zorganizowane w związku „działaniami jednej ze stacji telewizyjnych, będącej inwestorem na polskim rynku". „Potencjalne skutki tych działań są tożsame z celami wojny hybrydowej", co osłabienia zdolności Rzeczypospolitej Polskiej do odstraszania potencjalnego przeciwnika i odporności na zagrożenia".

Reakcja polskich władz i części kleru na reportaż w TVN 24 była wręcz histeryczna.

– Jan Paweł II to jest nasza tożsamość, fundament i spoiwo. Komuniści to doskonale

Amerykański ambasador Mark Brzezinski

Fot. United States Department of State/Wikimedia.com

wiedzieli, dlatego tak go niszczyli za życia. Dziś ich spadkobiercy robią to po jego śmierci. To wstyd stać z nimi po jednej stronie – zagrzmiała w swym orędziu do narodu marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Jej wystąpienie poprzedziło głosowanie, w którym Sejm większością głosów przyjął uchwałę „w sprawie obrony dobrego imienia św. Jana Pawła II". Za przyjęciem projektu opowiedziało się 271 posłów, przeciwko – 43. Wstrzymały się 4 osoby, nie głosowało 142 posłów, w tym 125 posłów KO, mimo obecności na sali.

– Dziś wojna toczy się nie tylko za naszą wschodnią granicą. Niestety, są środowiska, które próbują wywołać nie militarną, ale cywilizacyjną wojnę u nas, w Polsce – stwierdził premier Mateusz Morawiecki.

– Lista zasług Jana Pawła II jest niewyczerpana i dla świata, i dla Polski. Dowodów na to, że Jan Paweł II podejmował walkę z niegodziwościami, także w Kościele, jest mnóstwo. Dowody na to, że czyny takie świadomie ignorował są żadne, albo bardzo, bardzo wątpliwe. Uderza się w niego np. zeznaniami donosiciela bezpieki – ocenił.

Metropolita krakowski abp. Marek Jędraszewski reportaż wyemitowany w TVN przyrównał nawet do drugiego zamachu na Karola Wojtyłę. „Żadne dokumenty będące w posiadaniu Kurii nie mogą poświadczyć prawdziwość ciężkich zarzutów stawianych hierarchom Kościoła w Krakowie" – napisano w komunikacie kurii.

Wezwanie amerykańskiego ambasadora większość polityków opozycyjnych nazwała skandalem, bo jak by nie było, taka jest prawda. Andrzej Olechowski, w latach 1993-1995 minister spraw zagranicznych w rządzie Waldemara Pawlaka, nazwał w Radiu TOK FM incydent „szalonym i głupim, wymyślonym poza MSZ, u góry".

– To jest działanie niesłychane, powiedziałbym wręcz, oburzające. Takie postępowanie jest wbrew zasadom i logice dyplomatycznej. W gospodarce rynkowej to nie ambasady odpowiadają za treści przekazywane przez stacje radiowe i telewizyjne, nawet jeżeli ich właścicielem jest podmiot zagraniczny – skomentował dla portalu WP Ryszard Schnepf, były ambasador Polski w Waszyngtonie.

Tym wypowiedziom towarzyszyła antyamerykańska nagonka popularnych pisowskich mediów. „Ambasada amerykańska zaangażowała się w (wątpliwą prawnie) obronę koncesji dla TVN. Ponosi więc – jako patron stacji – część odpowiedzialności za jej brudne akcje" – napisano na czołówce w Polityce.

Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że reportaż „Franciszkańska 3" jest na rękę Jarosławowi Kaczyńskiemu i jego partii reprezentującej najbardziej ksenofobiczny elektorat.

– PiS po cichu „dziękuje" Janowi Pawłowi II, „dziękuje" TVN-owi, „dziękuje" Kościołowi, że z taką pompą mógł rozpocząć kampanię wyborczą – powiedział Onetowi dominikanin Maciej Biskup. Z ambon popłynie jeszcze większa niż dotąd pisowska narracja. Już trzy dni po emisji reportażu Marcina Gutowskiego notowania partii rządzącej poszły wyraźnie w górę.

Papież Jan Paweł II i ratowanie jego wizerunku jako bohatera wszechczasów będzie wodą na młyn kampanii wyborczej i być może zmobilizuje do głosowania na PiS wątpiących lub jeszcze niezdecydowanych. A poza tym?

„Powoli będzie następowała dekonstrukcja wizerunku Jana Pawła II, jakim posługiwaliśmy się do tej pory" – twierdzi dominikanin ojciec Paweł Gużyński. Duchowny w rozmowie z TVN24 podkreślił, że będzie to proces długi i trudny.

Przywołał też biblijną historię o dwóch łotrach, dobrym i złym, którzy towarzyszyli Chrystusowi wiszącemu na krzyżu. „Wszyscy jesteśmy łotrami, i jednym z łotrów w pewnym zakresie, w pewnych wydarzeniach okazał się Jan Paweł II. To jest ambiwalentna prawda o każdym z nas, ale my tej prawdy nie lubimy. I dlatego ten proces będzie trudny – podkreślił. **TK**

Akcja w kościele

Premier Mateusz Morawiecki nie ma za sobą dobrych dni. Nie dość, że stale krytykuje go siostrzeniec Franek Broda, to jeszcze w sukurs przyszedł mu nauczyciel z dawnych lat.

Franek Broda znany aktywista społeczności LGBT popisał się akcją w kościele św. Krzyża w Warszawie. Leżał krzyżem podczas niedzielnej mszy w kościele. Towarzyszyła mu Wiktoria Magnuszewska, również działaczka LGBT. – Przedstawia się nas jako terrorystów, ale my tak naprawdę jesteśmy ofiarami – stwierdził w rozmowie z TVN 24.

Oboje do protestu ubrali się w tęczowe kombinezony.

– W żaden sposób nie chcieliśmy zakłócić porządku. Kolory na naszych płaszczach nie obrażają niczyich uczuć religijnych. Ja się taki urodziłem i te barwy mnie reprezentują – relacjonował Broda.

Broda jest studentem pierwszego roku prawa i jak podkreśla – ma artystyczną duszę.

Twierdzi, że jego wujem kieruje nienawiść do osób LGBT+. Z początkiem roku zaprosił na gejowską randkę wiceministra rolnictwa Janusza Kowalskiego, czyli jednego z najbardziej zaufanych ludzi Zbigniewa Ziobry. Ten na zaproszenie nie odpowiedział. Wiadomo jednak, że należy do grupy zaciekle walczącej z gender.

– Dzisiaj zatrzymanie tej lewackiej ideologii gender, która wchodzi do szkół, wchodzi do przedszkoli, wchodzi w nasze umysły. Ja nawet widzę kolorowe kredki, wszystko w tych tęczowych barwach – plótł bez sensu Janusz Kowalski w jednym z wywiadów.

Tymczasem na portalu Onet głos zabrał dawny nauczyciel premiera Marek Jędrychowski z IX LO we Wrocławiu.

– Szczerze, to nie mam już sił do tego Mateusza. To jest moja porażka pedagogiczna.

Człowiek się tylko wstydzi za niego. I nie mam ochoty komentować jego kolejnych bzdur – skwitował. **TK**

Franciszek „Franek" Broda – aktywista LGBT i siostrzeniec premiera Mateusza Morawieckiego.

Fot. Tomasz Molina/Wikimedia.com

„Samo Życie" – Pismo dla wszystkich i o wszystkim w języku polskim.

Miesięcznik. Redaguje zespół.
Redaktor naczelny (Chefredakteurin): Barbara Winterberg
Redaktor „magazynu": Janusz Glanc-Szymański
Odpowiedzialny w rozumieniu prawa (V.i.S.d.P.): Marius Matuszczyk
Druk: Rheinische DruckMedien, Düsseldorf

Wydawca: Verlag Matuszczyk KG, Luisental 2, 51399 Burscheid

Nie zwracamy niezamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo skrótu nadsyłanych tekstów.
Teksty podpisane przez autorów nie muszą odpowiadać poglądom redakcji.
Zamieszczone teksty podlegają prawu autorskiemu. Przedruk jedynie za zgodą redakcji.
Za treść ogłoszeń i reklamy wydawnictwo i redakcja nie ponoszą odpowiedzialności.

Samo Życie, Luisental 2, 51399 Burscheid

Redakcja:	tel. 02174 / 8964480 redakcja@samo-zycie.com
Prenumerata:	tel. 02174 / 8964480 fax 02174 / 8964481 abo@prenumerata.de
Reklama i ogłoszenia:	tel. 02382 / 7667578 fax 02382 / 7667579 werbung@samo-zycie.com
Wydawnictwo, dystrybucja:	tel. 02174 / 8941155 fax 02174 / 8941156

„To jest precedens na skalę nie tylko polską, ale i światową”

Kowboj Ziobro

Minister sprawiedliwości i zarazem prokurator generalny Zbigniew Ziobro wziął udział w konferencji na terenie Kopalni Węgla Brunatnego Bełchatów. Kiedy składał kwiaty pod tablicą upamiętniającą ofiary wypadków górniczych, wiatr uniósł z tyłu połę jego marynarki i zebranym ukazała się wystająca zza paska broń.

Zdaniem gen. Adama Rapackiego, nadzorującego w poprzednim rządzie m.in., Biuro Ochrony Rządu, „słabo to wygląda”. Bo jeśli ktoś ma ochronę Służby Ochrony Państwa, bierze udział w oficjalnych uroczystościach i nosi broń za paskiem, to oznacza, że nie ma zaufania do całego systemu bezpieczeństwa, który jest wokół niego stworzony.

– Kiedy byłem wiceministrem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo i porządek publiczny, to nie chodziłem z ochroną i bronią. Poruszałem się jak normalny obywatel i nie bałem się, że ktoś na mnie napadnie. Sytuacja ta mnie zaskoczyła, bo nigdy w mojej karierze jako urzędnika państwowego nie spotkałem się z przypadkiem, żeby wysokiej rangi urzędnik państwowy nosił broń do ochrony osobistej. Owszem, zakładali kamizelki kuloodporne, na przykład w strefie działań wojennych, ale broń do osobistej ochrony? Nigdy. Ta broń za paskiem ministra sprawiedliwości totalnie kłóci się z koncepcją władzy, że Polska jest krajem bezpiecznym. Skoro tak jest, to po co minister nosi broń? – dodał gen. Rapacki.

Andrzej Mroczek, były policjant wydziału do walki z terrorem, a obecnie ekspert ds. terroryzmu stwierdził, iż pierwszym jego skojarzeniem, kiedy zobaczył film z kopalni było stwierdzenie: O, szeryf na Dzikim Zachodzie”.

– To jest precedens na skalę nie tylko polską, ale światową, bo nie przypominam sobie, aby jakiś minister kraju zachodniej Europy, w ogóle jakiś urzędnik wysokiego szczebla nosił broń do ochrony osobistej – powiedział.

– Rodzi się pytanie o zasadność noszenia przy sobie broni przez ministra Ziobrę. Jeździ na różne spotkania, widzi się z setkami ludzi, rozmawia z nimi... Gdyby nastąpiło zagrożenie, on i tak nie zdążyłby dobyć tej broni i się ochronić.

O ile sprawa wizerunkowa jest drugorzędna pozostaje jeszcze kwestia prawna. Czy w myśl przepisów Zbigniew Ziobro mógł uczestniczyć np. w konferencjach z bronią?

– Nie można nosić naładowanej broni w transporcie komunikacji miejskiej, ale zakładamy, że minister na konferencję przyjechał samochodem – powiedział mec. Jacek Dubois dla gazety.pl.

– W myśl przepisów ustawy na zgromadzeniu nie można mieć ze sobą broni czy materiałów wybuchowych.

Minister wziął udział w konferencji prasowej, ale czy ona miała charakter zgromadzenia w rozumieniu Ustawy o zgromadzeniach, czyli wymagała zezwolenia? Sądzę, że nie. Inną sytuację byśmy mieli, gdyby tam doszło do zgromadzenia spontanicznego – np. przyszliby ludzie protestować przeciwko obecności ministra. Gdyby doszło do spontanicznego zgromadzenia, a on by tam pozostawał z bronią, wtedy naruszyłby przepisy. Reasumując, jeśli to nie było zgromadzenie, minister Ziobro działał w ramach prawa. Jeśli było – złamał przepisy.

A jak się tłumaczy min. Ziobro?

– Mam uprawnienia na broń, w tym do celów sportowych. Od kilku lat dla sportu i rekreacji strzelam w weekendy na strzelnicy. Dlatego wracając po weekendzie do Warszawy, gdzie broń na co dzień przechowuję, miałem ją ze sobą. Na konferencji w Bełchatowie zatrzymałem się w drodze do stolicy. Zgodnie z przepisami nie mogłem jej pozostawić w samochodzie. **(kor)**

Władza bez granic moralnych

Marzec obfitował w polityczne awantury. Jedna z nich wybuchła po śmierci Mikołaja Filisa, syna posłanki PO Magdaleny Filis. Chłopiec w marcu skończyłby 16 lat. Popełnił samobójstwo.

Sprawa śmierci dziecka posłanki wzbudza duże emocje. Mikołaj był molestowany przez pedofila Krzysztofa F., który został zatrzymany we wrześniu 2020 roku pod zarzutem molestowania 13-letniego wtedy chłopca i podawania mu oraz 16-letniej dziewczynie substancji odurzających. Wyrok zapadł w grudniu 2021 r., F. został prawomocnie skazany i trafił do więzienia. Sprawa nie jest więc nowa, media wcześniej o niej nie informowały, bo proces odbywał się z wyłączeniem jawności ze względu na dobro pokrzywdzonych dzieci. F. pracował jako pełnomocnik marszałka województwa zachodniopomorskiego Olgierda Geblewicza do spraw uzależnień. Geblewicz jest członkiem PO. Według szefa państwowej komisji do spraw pedofili Błażeja Kmieciaka, rządowe media na przełomie roku doprowadziły do identyfikacji syna posłanki jako ofiary skazanego pedofila. Posłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz o śmierć syna posłanki wprost oskarżyła media publiczne. Jest zdania, że rządowe media postanowiły wykorzystać tę sytuację do celów politycznych, kreując nieprawdziwy obraz „tuszowanej pedofilii” w szeregach największej opozycyjnej partii. Sprawa stała się też zarzewiem ostrego sporu między dziennikarzem Tomaszem Terlikowskim i ministrem edukacji Przemysławem Czarnkiem. Na temat skazania sprawcy Krzysztofa F. Czarnek wypowiedział się w programie TVP Info. Skupił się jednak na krytykowaniu opozycji. Skrytykował go za to ostro Tomasz Terlikowski. Choć proces pedofila prowadzony był za zamkniętymi drzwiami to w publikacji naczelnego redaktora Radia Szczecin Tomasza Duklanowskiego z 29 grudnia ub. roku ujawniono dane, które pozwoliły zidentyfikować małoletnie ofiary pedofila. Krytycznie oceniła to m.in. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji oraz Rada Etyki Mediów. Duklanowski broni się i twierdzi, że nie ujawnił żadnych danych i zarzuca mediom opozycyjnym, że nie zabrały głosu w tej sprawie, ponieważ afera pedofilska dotyczyła tym razem ich środowiska. Dziennikarze i pracownicy Radia Szczecin przygotowali pismo, w którym oświadczyli, że nie godzą się na „uwikłanie mediów publicznych w walkę polityczną”. „Chcemy wyrazić sprzeciw wobec odpowiedzialności zbiorowej, mowy nienawiści oraz kryzysu, jaki przechodzi nasze ukochane radio” – podkreślono.

Część załogi szczecińskiej rozgłośni wyraziła nadzieję w piśmie, że „osoby, które mogły przyczynić się do przerwania życia młodego chłopca, poniosą surowe konsekwencje”. „Chcemy wyrazić sprzeciw wobec odpowiedzialności zbiorowej, mowy nienawiści oraz kryzysu, jaki przechodzi nasze ukochane radio” – napisano.

Tymczasem gwiazdorzy prawicowych mediów nierzadko posuwali się do bezczelnych komentarzy. „Nic tak nie ożywia akcji jak trup. Nie, to nie a propos. To Agata Christie, bodajże – napisał Rafał Ziemkiewicz odnosząc się do reakcji po śmierci 15-letniego syna posłanki PO Magdaleny Filiks. Tłumaczył, że to sprzeciw wobec „ulubionej akcji nekrohejtu” realizowanej przez polityków Platformy.

Te słowa spotkały się z mocną krytyką w szeregach opozycji.

– Słyszymy, że ci, którzy mają prawo czuć się źle pod względem moralnym, chcieliby zrzucić z siebie część odpowiedzialności i przekierować ją być może na matkę. Chcemy wspólnie ostrzec wszystkich, którzy chcieliby dalej robić politykę z tej tragedii. Naprawdę – coś strasznego już się stało i to wystarczy. Nie macie prawa krzywdzić osoby, która poniosła największą stratę, matki – powiedział po pogrzebie syna posłanki Donald Tusk.

– Rozliczymy PiS z każdego łajdactwa, ze wszystkich ludzkich krzywd i tragedii, do jakich doprowadzili, sprawując władzę. Przyrzekam – dodał potem na portalu społecznościowym.

Tymczasem Wyborcza wskazuje, że publikacja Radia Szczecin, w której zostały ujawnione dane pozwalające zidentyfikować syna posłanki Magdaleny Filiks jako ofiarę molestowania miała być zemstą za jej aktywność poselską. Chodzi o kontrole, jakie Filiks przeprowadzała w Lasach Państwowych, zwłaszcza w odniesieniu do zatrudnionego tam współpracownika Zbigniewa Ziobry Dariusza Mateckiego. Posłanka ujawniła, że w ramach jednego z konkursów „nominaci Ziobry rozdali 11 mln zł”, a beneficjentami były głównie parafie, mimo że nie miały nic wspólnego z treścią parlamentarną konkursu. Z Platformy Obywatelskiej nie będą tymczasowo przyjmować zaproszeń do mediów państwowych. **TK**

Pytanie ambasadora

Mariusz Błaszczak zarzucił Niemcom na antenie TVP Info, że ich polityka „dawała broń Putinowi” przez zakupy rosyjskich surowców energetycznych. Wypowiedź skomentował ambasador Niemiec Thomas Baggera.

Mariusz Błaszczak udzielił w marcu wywiadu TVP Info.

– Nie ulega wątpliwości, że to polityka Niemiec spowodowała, że Putin zdobył pieniądze, które spożytkował na wzmocnienie swojej armii.

Nord Stream jest takim przykładem. Chociaż byliśmy nazywani rusofobami, to przestrzegaliśmy – podkreślił.

– Czy pan minister wie, ile miliardów złotych Polska co roku przelewała do Moskwy w zamian za rosyjską energię? – odpowiedział Thomas Bagger, ambasador Niemiec w Polsce.

Portal Demagog wyliczył, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat Polska zapłaciła za import surowców energetycznych w sumie ponad bilion zł. Koszt importu paliw kopalnych niemalże się podwoił. W 2000 r. Polska zapłaciła za import łącznie 28,6 mld zł, w 2020 r. było to już 53 mld zł. Zdecydowana większość tych kwot trafiało właśnie do Rosji, z której Polska importowała ropę naftową, gaz ziemny i węgiel kamienny. O ile w 2000 roku z Rosji sprowadzaliśmy ok. 50 proc. importowanego węgla, tak w 2020 r. było to już 75 proc. W latach 2000-2020 wolumen sprowadzonego węgla z Rosji zwiększył się z 800 tys. ton do 9,4 mln ton” – stwierdzono w Demagogu.

Z danych GUS wynika, że od stycznia do września 2022 roku Rosja była trzecim głównym partnerem Polski pod względem importu (według kraju pochodzenia). Za towary importowane z tego kraju zapłaciliśmy łącznie 60,6 mld zł. Odpowiadało to za prawie 5 proc. całego importu. **TK**

Niemka złapana na granicy

Straż Graniczna ujęła na granicy z Białorusią obywatelkę Niemiec wraz z grupą polskich działaczy humanitarnych. 26-latka – jak poinformowano – już wcześniej nie stosowała się do przepisów. Nałożono na nią zakaz wjazdu do Polski na okres 5 lat. SG poinformowała, że kobieta pojawiła się w pobliżu granicy z pięcioma innymi osobami – trójką Polaków, Niemcem i Szwajcarem. Strażnicy zauważyli, że przerzucali jakieś pakunki na białoruską stronę. Na miejsce wysłano patrol z placówki SG w Czeremsze. W walizce obywatelki Niemiec mundurowi znaleźli blisko 65 tys. euro (czyli równowartość ponad 300 tys. zł), których kobieta nie zgłosiła i próbowała nielegalnie wwieźć do Unii Europejskiej.

W trakcie czynności strażnicy ustalili, że piątka z tych osób złamała zakaz wejścia na pas drogi granicznej i przepisy porządkowe obowiązujące w strefie nadgranicznej. W związku z tym, zgodnie z ustawą o wjeździe na terytorium Rzeczpospolitej Polskiej, postanowiono ją wydalić z kraju. Niemka otrzymała pięć dni na wyjazd z Polski, do której nie będzie mogła wrócić przez najbliższe pięć lat. **TK**

Aktualności

Polityka, pieniądze i powieść porno

W sierpniu ub.r. sekretarz stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej Jacek Żalek powołał dr. Pawła Kucha na pełniącego obowiązki dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Niedługa była jego kariera na tym fotelu, ale za to burzliwa. Podobno pan dyrektor musiał odejść, bo na światło dzienne wyszła jego erotyczna książka „Oxford girls", o nastolatce, której zmienione DNA budzi zainteresowanie grona nieetycznych naukowców. Sypia więc z kim popadnie, a jej erotyczne doznania są ze szczegółami relacjonowane. Ale czy Kuch, postrzegany jako człowiek Adama Bielana rzeczywiście musiał odejść po ujawnieniu pikantnych opisów stosunków seksualnych swej książkowej bohaterki? Tu już zdania są podzielone.

Paweł Kuch Fot. Kongres Obywatelski

Historyjki o zdejmowaniu majtek i wymierzaniu dziewczynie klapsów wiosłem były podobno na ustach całej Nowogrodzkiej. Sam zainteresowany zaś twierdzi, że o książce poinformował wiceministra funduszy i polityki regionalnej Jacka Żalka przed powołaniem na stanowisko p.o. dyrektora NCBiR i ten nie protestował, ale do konkursu na dyrektora już nie stanął. Jego odejście ze stanowiska zbiegło się w czasie z ujawnieniem przez Radio Zet kontrowersji ws. konkursu „Szybka Ścieżka – Innowacje Cyfrowe". Okazało się, że dotację w wysokości 55 mln zł dostała firma zarejestrowana przez 27-latka na 10 dni przed terminem składania wniosków, a na dodatek mająca siedzibę w tym samym lokalu, co dawny adres Partii Republikańskiej, Adama Bielana. Żeby było ciekawiej wniosek firmy otrzymał najniższą możliwą ocenę dopuszczającą do finansowania.

W drugim przypadku 123 mln zł miały zostać przekazane firmie, która zgłosiła projekt cyberbezpieczeństwa podmorskiego, a w ciągu dwóch minionych lat wykazywała straty.

Na początku marca, prowadzący w NCBR kontrolę poselską parlamentarzyści KO: Dariusz Joński i Michał Szczerba poinformowali, że wypłata środków dla tych dwóch firm została zablokowana. Przedstawiali też sieć powiązań między tymi spółkami a Partią Republikańską.

NCBiR – rządowa agencja wykonawcza podlegająca Ministerstwu Funduszy i Polityki Regionalnej – wybrała w konkursie 117 projektów, a średnia kwota dofinansowania wyniosła pięć i pół miliona złotych. W takich konkursach wyłania się innowacyjne rozwiązania, które mogą decydować o konkurencyjności i innowacyjności polskiej gospodarki. Niestety istnieje podejrzenie, że odpowiedzialne za konkurs osoby, przekazują ogromne środki nie do potrzebujących ich najzdolniejszych przedsiębiorców tylko do tworzonych na szybko firm, które kryją polityków rządzącej koalicji lub ich współpracowników, a nawet rodziny.

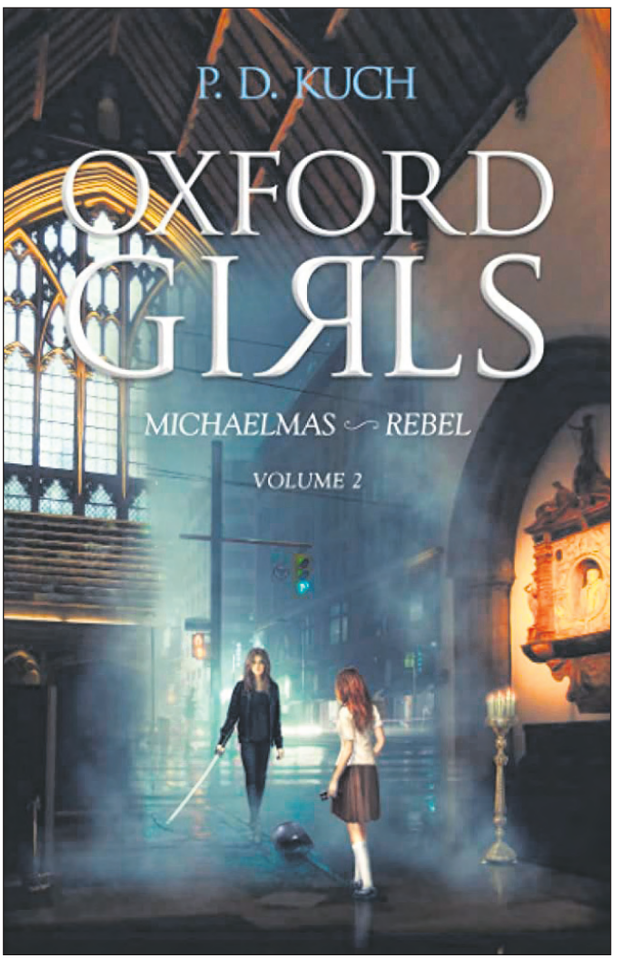

Tymczasem minister Żalek złożył w prokuraturze zeznania obciążające Adama Bielana w postaci stenogramu rozmów zarejestrowanych w NCBiR. Miał je ponoć dostać od Krzysztofa Bednarka, byłego prezesa spółki NCBiR Investment Fund. Jak podał portal Onet, powołując się na stenogramy z nagrań, opisuje m.in., w jaki sposób Partia Republikańska miała zabezpieczyć się finansowo na wypadek przegranych wyborów parlamentarnych.

Posłowie KO Dariusz Joński i Michał Szczerba ujawniali kolejne fakty dotyczące dotacji z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

– Z Dariuszem Jońskim weszliśmy do NCBiR. Przestraszyli się na całego. Zaczęli się nagrywać. To taśmy mafii. Bielan to „Sponsor". Żalek to „Wielki Żal". Złodziejską operację nazwali „Czarny Węgiel". To bardziej przypomina scenariusz jakiegoś filmu gangsterskiego, niż osoby, które mają zarządzać naszym krajem. Postanowili ukraść Polskę – opisywał z sejmowej mównicy poseł Szczerba. Według Adama Bielana, prezesa Partii Republikańskiej, dyrekcja Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w sprawie kontrowersyjnych wniosków zrobiła co mogła, żeby żadna złotówka do tych dwóch projektów nie wpłynęła. Zapewniał o tym w TVN24.

Proszony o ocenę pracy wiceprezesa republikanów Jacka Żalka, który z ramienia ministerstwa nadzorował działania Centrum, Bielan odparł:

– Nie jestem aniołem stróżem Jacka Żalka, więc nie potrafię powiedzieć, jakie były jego wszystkie działania w tej sprawie.

Ostatecznie wiceminister Żalek podał się do dymisji, ale stenogramy pozostały w prokuraturze.

– Jestem przekonany, że wszelkie wątpliwości zostaną wyjaśnione przez powołane do tego organy państwa, a moje dobre imię zostanie oczyszczone – podkreślił na odchodne.

Bielana zaś w obronę wziął sam premier Mateusz Morawiecki.

Centralne Biuro Antykorupcyjne rozpoczęło kontrolę w NCBiR. Ciekawe jakie będą jej rezultaty. Oby tylko za kratkami nie znaleźli się posłowie opozycji. **TK**

Doda wygrywa w Strasburgu

Skarb Państwa będzie musiał zapłacić Dorocie Rabczewskiej odszkodowanie.

Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu uznał, że złamany został przepis konwencji gwarantujący każdemu prawo do wolności wyrażania opinii. Wyrok zapadł we wrześniu, ale dopiero teraz dotarło do niej obszerne uzasadnienie wyroku, składające się aż z 60 stron.

Sprawa dotyczy wypowiedzi artystki z 2009 r. Doda stwierdziła wówczas, że „bardziej wierzy w dinozaury niż w Biblię", bo – jej zdaniem – „ciężko wierzyć w coś, co spisał jakiś napruty winem i palący jakieś zioła". Pytana, o kim mówi, dodała: „O tych wszystkich gościach, którzy spisali te wszystkie niesamowite historie". Polski sąd skazał piosenkarkę na 5 tys. zł grzywny. Ta odwołała się do Trybunału Konstytucyjnego, który w 2015 roku orzekł, że karalność znieważenia uczuć religijnych nie narusza konstytucji. A Trybunał Sprawiedliwości w Strasburgu uznał, że piosenkarka nie naruszyła prawa swą wypowiedzią. Polska ma zapłacić Dodzie 10 tys. euro. – Otrzymaliśmy bardzo obszerne uzasadnienie wyroku, składające się aż z 60 stron. Bardzo szczegółowo uargumentowano przyznanie pani Rabczewskiej racji. Mimo tego rząd Polski zdecydował się na kwestionowanie tego orzeczenia. W dniu 15 grudnia wpłynęło do Strasburga odwołanie od wyroku.

Sąd II instancji był zobowiązany rozpatrzyć to odwołanie. Ustosunkowaliśmy się do niego negatywnie. Sprawę rozpatrzyła tzw. Izba Wielka. Zaledwie po kilkudziesięciu dniach zapadło orzeczenie, które jest zupełnie po naszej myśli – powiedział „Super Expressowi" mecenas Dariusz Raczkiewicz, pełnomocnik piosenkarki.

Jak dodał adwokat, w sprawie orzekał skład złożony z 7 sędziów.

– Uznał, że nasze roszczenie jest zasadne. Co ciekawe, był tylko jeden głos, który nie zgadzał się z całym tym werdyktem. I to był sędzia z Polski. **TK**

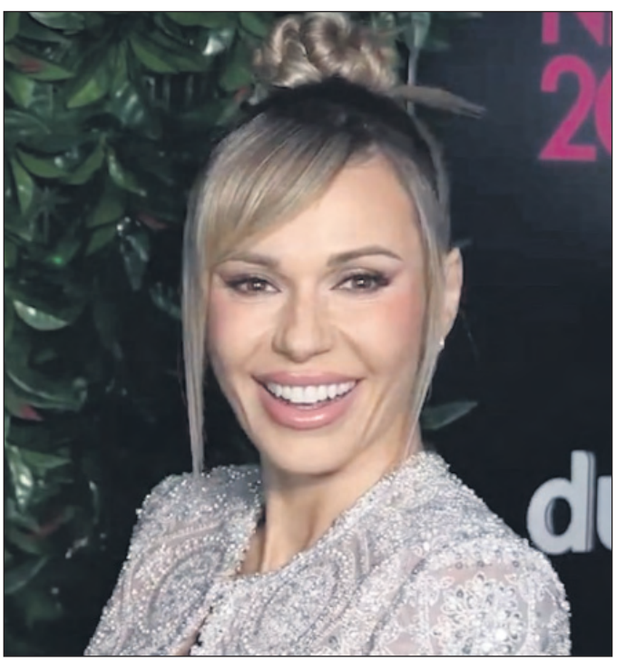

Dorota Rabczewska Fot. Magazyn VIVA!/wikimedia.com

Pan minister świętował w operze

Po spektaklu Pucciniego Cyganeria Giacomo Pucciniego w Operze Wrocławskiej minister edukacji Przemysław Czarnek świętował urodziny jednego z bliskich współpracowników. Sam catering miał kosztować ponad 20 tys. złotych i został opłacony przez fundację Lublina.

Solenizantem był Bartosz Rybak (35 l.) odpowiedzialny w ministerstwie za sprawy organizacji polonijnych i pozarządowych, ale zatrudniony tylko na umowę zlecenie. Na imprezie pojawili się również komendant straży pożarnej, rektorzy wyższych uczelni oraz lider zespołu Bayer Full. Sam minister zajechał limuzyną w obstawie agentów SOP. Radni wojewódzcy ujawnili absurdalną kwotę, jaką zażyczyła sobie opera za wynajęcie swojego wnętrza. To zaledwie 1850 złotych, kilka razy mniej niż stanowi cennik tego rodzaju usług. Cała impreza kosztowała jeszcze 20 tys. zł, bo tyle kosztowały serwowane przysmaki.

Sam minister przyznał nazajutrz, że był we Wrocławiu, uczestniczył w przedstawieniu, ale żadnego zespołu Bayer Full nie widział ani nie słyszał, choć – jak przyznał lubi i taką muzykę.

W środę władze województwa dolnośląskiego poinformowały, że w związku z doniesieniami prasowymi dotyczącymi organizacji w dniu 17 lutego prywatnego przyjęcia po spektaklu Cyganeria, Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego, na wniosek członka zarządu województwa Krzysztofa Maja, zarządził przeprowadzenie w trybie pilnym kontroli w Operze Wrocławskiej. W rezultacie dyrektorka Opery Wrocławskiej Halina Ołdakowska została usunięta ze stanowiska. Powód: „naruszenie prawa w zakresie dyscypliny finansów publicznych" m.in. w przetargach na usługi. Co się zaś tyczy faktury opiewającej na ponad 20 tys. zł to uregulował ją „Instytut Europejski Pro Civium" – fundacja z Lublina, choć na początku sam solenizant utrzymywał, że zapłacił z własnej kieszeni. Tylko patrzeć, gdzie pojawi się ów Instytut w dalszej działalności resortu Przemysława Czarnka.

To już druga wielka impreza publiczna ludzi związanych z władzą w Polsce. Wcześniej swoje zaręczyny w podziemiach czynnej kopani węgla kamiennego Bogdanka zorganizował sobie asystent Jarosława Kaczyńskiego.

TK

Bartosz Rybak Fot. Yotube.com

Zatrute umysły zatruwają Polaków

(...) Od kiedy pamiętam, życie polityczne w Polsce zdefiniowane było marzeniem. Epoka Gierka – to było marzenie o uprzemysłowieniu Polski, skoku cywilizacyjnym. „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej". Epoka Jaruzelskiego – to z kolei był czas bez wielkich marzeń, tylko żeby przetrwać.

I warto było przetrwać, bo po roku 1989, gdy otworzyło się okno historii, Polska rozpoczęła wyścig o swoją przyszłość. Byliśmy w to zaangażowani. Gospodarka, czyli słynne powiedzenie Grzegorza W. Kołodki: „Produkcja rośnie, inflacja spada", wejście do NATO, wejście do Unii... Potem chcieliśmy mieć w tej Unii mocną pozycję.

A jakie wielkie cele ma dzisiejsza władza? W ogóle jakie ma cele? Milion samochodów elektrycznych? Promy pływające po Bałtyku? To bujda. Jak można budować samochody, nie mając fabryk, inżynierów, biur projektowych? Jak można budować promy, wygaszając stocznie? A może, jak opowiadają niektórzy, władza chciała Wielkiej Polski i Trójmorza? To przecież miraż (...).

Jakie więc są cele? Może takie, o których Jarosław Kaczyński zdążył już parę razy powiedzieć – że chciałby pogrążyć tych, co byli przed nim na górze, i chciałby nowych elit, swoich. No i Kościoła w roli wychowawcy narodu. Ale to też bzdura, bo Zenek Martyniuk zawsze będzie Zenkiem Martyniukiem, choćby nie wiem ile dostał festiwali (...).

Tydzień temu pisałem, że Polska pogrąża się w paranoi. Że politycy zarażają nas swoim szaleństwem. I czyż tak nie jest? W polskim systemie politycznym wszystko kręci się wokół Jarosława Kaczyńskiego – jego upodobań, jego fobii. Każdy przecież wie, co wodzowi się podoba – polityczna korrida.

O złym Tusku i złej opozycji słyszymy zatem co chwila. Każdy wie, czym zmiękczyć najważniejszego prezesa – i znaczą Polskę kolejne maszkarowate (on estetą nie jest, więc nie szkodzi) pomniki Lecha Kaczyńskiego. Mamy złych Niemców, świat nam zazdrości, zamach w Smoleńsku... Armia lizusów zawsze wie, jak się przypochlebić.

A teraz przyłóżmy do tych zachowań opinie fachowców. W wydanej kilka lat temu książce „Paranoja polityczna. Psychologia nienawiści" amerykańscy autorzy Robert Robins i Jerrold Post wyróżnili siedem elementów charakteryzujących umysł paranoika. Są to m.in. podejrzliwość, mania wielkości, wrogość, lęk przed utratą niezależności, urojenia.

Podejrzliwość? Mania wielkości? Urojenia? Toż to siła napędowa narracji PiS. Katastrofa smoleńska nie mogła być zwykłą katastrofą. Musiała być spiskiem, wielkim spiskiem, bo Lech Kaczyński Rosji zagrażał. A my, dzielny Antoni Macierewicz, złamany śmiercią brata Jarosław i cała rzesza ludzi PiS, ten spisek przejrzeliśmy! To knowania Tuska z Putinem!

Tych spisków, zawiązywanych ze strachu przed rosnącą siłą Polski, jest więcej. Wszystkie są przenikliwie ujawniane! Spisek niemiecki, spisek brukselski – uczestniczy w nim opozycja, ta współczesna targowica, która najpierw służyła Moskwie, a teraz służy Niemcom. Opowieści tego typu wylewają się z pisowskich gazet, z ekranu.

„Nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja", mówi Jarosław Kaczyński i najwyraźniej w te słowa wierzy. Jak i w to, że jest „samym dobrem". Tak bowiem siebie ocenia. A samo zło to ci, którzy akurat podnieśli głowę. Sędziowie, nauczyciele, lekarze, demonstrujące kobiety...

Kategoria „podniesionej głowy" jest w identyfikacji tych złych kluczowa. Do Kaczyńskiego można przyjść, tak jak Piotrowicz, z PZPR, z prokuratury – nie ma to znaczenia. Można przyjść, jak Morawiecki, od Tuska – nie jest to istotne. Można przyjść z Unii Wolności, jak Duda – też będzie to wybaczone. Można nawet przyjść z SB, jak Kujda – okaże się to drobiazgiem. Ważne, czy dana osoba lub grupa jest prezesowi posłuszna i użyteczna, czy nie. I w takiej kategorii widziane jest dobro i zło. Zupełnie jak na wojnie, gdzie to, co służy nam, jest dobre i moralne, a to, co służy wrogowi, podłe.

„Paranoik jest wojowniczy i łatwo się irytuje, nie ma poczucia humoru, jest niezwykle wrażliwy na oznaki lekceważenia, kłótliwy, spięty, nastawiony obronnie – piszą Robins i Post. – Elementem tej obronnej postawy jest nieustanna gotowość do ataku".

Mamy zatem kolejne wojny, które prowadzi PiS. I mamy jak w banku, że tych wojen nie zabraknie, bo taka jest natura prezesa. Nawiasem mówiąc, tę przypadłość w swoim czasie wykorzystywał Tusk, gdy był premierem. Kiedy rząd wpadał w kłopoty i ówczesna opozycja zaczynała zyskiwać przewagę, Tusk wysyłał Janusza Palikota z misją drażnienia Kaczyńskiego. Nazywało się to „przesuwaniem prętem po klatce tygrysa". Palikot wyskakiwał z jakimś zdaniem, a Kaczyński dostawał ataku wściekłości i tym oto sposobem o Tusku media zapominały, a jego problemy gdzieś się rozpływały. Ale to było kiedyś. Dzisiaj prezes PiS lepiej się kontroluje. A przede wszystkim w tych wojnach nie jest sam. Wspierają go media, których powstaniu patronował, wspiera go armia ludzi od niego zależnych.

Pamiętajmy, pierwszą ofiarą każdej wojny jest prawda. Wystarczy spojrzeć na polskie życie publiczne i widać jak na dłoni, że media pisowskie działają w trybie wojennym. Czyli nie tylko uprawiają partyjną propagandę, lecz także walczą, zarówno z przeciwnikami politycznymi, jak i z obywatelami. Z ich prawem do prawdy.

Oszukiwanie ludzi, dezinformacja to rzeczy w paranoicznym świecie oczywiste. Gdy Nikita Chruszczow w 1960 roku przybył na sesję ONZ w Nowym Jorku, zaskoczony był liczbą samochodów na ulicach i towarów w sklepach. „Ściągnęli samochody z całego kraju, aby zrobić na nas wrażenie – tak to tłumaczył. Spiskiem, bo najprostsze wyjaśnienia do niego nie docierały.

A jak wygląda dzisiejsza Polska? Ile razy dziennie słyszymy o mafii VAT-owskiej, złych Niemcach, esbekach? Jak to się ma do rzeczywistości? Z drugiej strony państwo polskie stało się szalenie tajemnicze.

Obrosło rozmaitymi tajemnicami służbowymi, dowiedzieć się czegoś od urzędnika państwowego to cud. Chyba że jest to oficjalny komunikat. Panowanie nad informacją, nad tym, co do ludzi dociera, jest wszak kluczowe. Powie ktoś, że to w dzisiejszych czasach niemożliwe, mamy przecież media niepodporządkowane PiS, mamy internet, media społecznościowe... Owszem, teoretycznie mamy wiele źródeł informacji, ale ich mnogość – chaos, który tworzą – powoduje, że ludzie zamykają się w swoich bańkach informacyjnych. I w to, co mówią tamci drudzy, nie wierzą.

Jeśli więc w pierwszych latach III RP media mogły w wielu aspektach kontrolować polityków, to dziś politycy kontrolują media. Narzucają im ton. Efekt jest widoczny. Zatrute umysły polityków zatruwają Polaków. Badania to potwierdzają – robimy się coraz bardziej pesymistyczni, skłóceni, niezadowoleni z życia.

Awantury, pomówienia, krętactwa tworzą oblepiającą maź, z której nie sposób się uwolnić. Tak tworzy się chaos. Bo jeżeli do wyjaśniania politycznych zjawisk biorą się politycy, a nie naukowcy czy niezależni publicyści, to chaos mamy gwarantowany. I kolejny rozkwit różnych fałszywych teorii, bo nikt nie potrafi chaosu tłumaczyć tak sprawnie jak paranoicy.

Taki świat, to trzeba zawsze przypominać, jest wymarzonym środowiskiem dla oszustów i naciągaczy. Mamy zresztą na to określenie: łowienie ryb w mętnej wodzie. Historia sprzedającego respiratory handlarza bronią to już klasyka. Ale przecież nie była jedyna. Istotna jest ta „mętna woda". Uderza zachowanie polityków PiS podczas sejmowej przepychanki w sprawie owych 40 mln i Willi+. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, by te dotacje jeszcze raz przejrzeć, może zweryfikować, bo w końcu są to publiczne pieniądze. Pisowcy jak jeden mąż bronili ministra Czarnka, ciesząc się, że karmi swoich... I ciesząc się, że opozycja „wyje", bo to oznaka, że ją zabolało. Myślenia o dobru wspólnym tu nie ma.

Oto mamy sojusz. Tych, co widzą świat przez okulary paranoika i chcą mieć władzę i uwielbienie, z tymi, którym spiskowy obraz rzeczywistości tłumaczy ją najlepiej. Oraz rozmaitej maści cwaniakami, którzy podłączyli się pod „dobrą zmianę" i dobrze im się z tym żyje. Nawet bardzo dobrze.

ROBERT WALENCIAK

Angora nr 9/2023

Pod wodą

Żuławy Wiślane to ziemia, którą mniej więcej tysiąc lat temu człowiek zabrał naturze, osuszył i uczynił sobie poddaną.

Polska Atlantyda

Żuławy można porównać do gigantycznej miski otoczonej wodą. Przez setki lat ludzie mieszkający we wnętrzu owej miski próbowali z jednej strony odgrodzić się od wody wokół, upatrując w niej zagrożenie, budując chroniące ich wały, z drugiej zaś – odpowiednią ilość wody wpuszczali do wnętrza „naczynia" licznymi kanałami. Bezpieczeństwo powodziowe polega więc na tym, żeby istniejące „dziury" w poszyciu owej miski, którymi wpływają i wypływają rzeki i kanały, nie stały się otwartą bramą dla wielkiej fali, której nie uda się powstrzymać i okiełznać.

(...) Nowy Dwór Gdański uznawany jest za stolicę Żuław. Miasteczko liczy niespełna 10 tys. mieszkańców i w środowe przedpołudnie żyje w swoim niespiesznym tempie (...). Starosta nowodworski Jacek Gross jest z wykształcenia geodetą, więc choć nie czuje się fachowcem od inżynierii wodnej, to jednak ma o niej jakie takie pojęcie. Rozmowę rozpoczyna od zwrócenia mojej uwagi na szereg inwestycji chroniących Żuławy przed powodzią. Wspomina o oddanych do użytku w listopadzie zeszłego roku wrotach przeciwpowodziowych na Tudze, które zamkną się, gdy nadejdzie wielka woda. – Poza tym wał, który zabezpiecza nas od strony Zalewu Wiślanego, ma wysokość 2,5 metra – tłumaczy Gross. – Jeżeli poziom wody podniesie się o dwa metry, co wydaje mi się nieprawdopodobne, to wówczas będziemy mieli problem. Ale o ile podniesie się poziom morza na skutek zmian klimatycznych i kiedy, tego nie wiem (...).

Zagrożenia „przewidywalne" i „realne"

(...) – Od dwudziestu lat realizowany jest wieloletni Program Ochrony Brzegów Morskich (POBM) – informuje Szymon Huptyś, rzecznik prasowy Ministerstwa Infrastruktury. Wymienia szereg inwestycji, m.in. w Ustce, Rowach, Juracie i Władysławowie, Jastrzębiej Górze oraz Kołobrzegu, Niechorzu i Pogorzelicy, Rozewiu. – Urzędy Morskie realizują zadania przewidziane w programie na odcinkach brzegów najbardziej zagrożonych erozją i powodzią morską. Corocznie prowadzą monitoring brzegu morskiego, a także kontrole stanu technicznego budowli ochrony brzegów morskich oraz działania w celu przygotowania inwestycji do realizacji.

Rzecznik resortu wspomina o działaniach legislacyjnych – zostały opublikowane trzy rozporządzenia ministra dotyczące zarządzania ryzykiem powodziowym, ochrony brzegu morskiego i planu zagospodarowania polskiego Bałtyku. Jeśli zaś chodzi o same Żuławy, obecnie jest wdrażany dokument planistyczny – Program Żuławski 2030. Nad jego przygotowaniami (był to rok 2007), a obecnie nad jego uaktualnianiem i wcielaniem w życie pieczę sprawuje Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gdańsku (jednostka organizacyjna Państwowego Gospodarstwa Wodnego „Wody Polskie"). W ramach tego programu w latach 2011 – 2015 zrealizowano inwestycje za 520 mln zł, następnie, do roku 2022, za kolejne 130 mln zł. Teraz planuje się dziewięć inwestycji (...) za 200 mln (dofinansowanie z Unii Europejskiej wynosiło dotychczas 85 proc.).

– Istniejące zabezpieczenia przeciwpowodziowe chronią Żuławy przed wszelkimi przewidywalnymi i realnymi zagrożeniami, których zasięg został oceniony na podstawie danych historycznych oraz matematycznego modelowania – stwierdza Bogusław Pinkiewicz, rzecznik prasowy RZGW w Gdańsku. Jednak szkopuł tkwi w szczegółach. Warto zwrócić uwagę na dwa słowa, których używa on w odniesieniu do zagrożeń: „przewidywalne" i „realne".

Bo skoro Żuławy są tak dobrze chronione, to dlaczego przed dwoma laty naukowcy z Polskiej Akademii Nauk wystosowali komunikat, w którym alarmują, że trzeba przygotować się na „zalewanie coraz większej powierzchni lądu"? Komunikat został opublikowany 26 stycznia 2021 roku. Jego autorami są uczeni należący do zespołu doradczego do spraw kryzysu klimatycznego przy prezesie PAN. W dokumencie tym czytamy, że jeśli obecna emisja gazów cieplarnianych będzie kontynuowana i nie uda się jej ograniczyć, to już za 60 lat poziom morza może się podwyższyć nawet o jeden metr. Na Żuławach sprawy mają się jeszcze gorzej. Na skutek obniżenia wybrzeża w tym rejonie możemy spodziewać się dodatkowego wzrostu poziomu wody o 10 – 20 cm.

Ponadto naukowcy z PAN wskazują, że zjawiska ekstremalne, które występowały raz na sto lat, będą występować raz do roku (przewidują kilkukrotne ich zwiększenie już od 2050 roku). Wtedy poziom wody w Bałtyku może się podnieść nawet o dodatkowe dwa metry. To daje razem ponad trzy metry wzrostu poziomu morza podczas sztormów (względem obecnego stanu średniego), które będą znacznie częstsze i takich sytuacji należy się spodziewać już od 2050 r. (...).

Pomysłodawcą publikacji komunikatu ze stycznia 2021 roku, a zarazem jego „autorem wiodącym" jest prof. Jacek Piskozub. W kuluarach, nieoficjalnie, mówi się niekiedy o nim, że jest „ekstremistą". Że scenariusze, które wskazuje, są przesadzone, zbyt czarne. Faktem jest jednak, że to, co publikuje i mówi publicznie, pokrywa się z ustaleniami IPCC (Intergovernmental Panel on Climate Change), czyli powołanego przy ONZ w 1988 roku Międzyrządowego Zespołu ds. Klimatu. To najpoważniejsze gremium, które dzisiaj próbuje określić rozmiary klimatycznej katastrofy zbliżającej się do nas wielkimi krokami.

Na przełomie 1978 i 1979 r. mieliśmy w Polsce tak zwaną zimę stulecia. Przez kilka dni temperatura sięgała minus 25 stopni w ciągu dnia, w miastach ludzie poruszali się w śnieżnych tunelach. Tymczasem już wtedy niektórzy naukowcy próbowali przebić się z informacją, że czekają nas globalne ocieplenie, bezśnieżne zimy i jest możliwe, że za czterdzieści lat, na przykład 1 stycznia 2023 roku, będzie w Warszawie 18 stopni na plusie. Zdecydowana większość ludzi nie brała takich informacji poważnie. Wtedy również mówiono o takich uczonych: „To jacyś ekstremiści" (...). Dzisiaj komunikaty IPCC stanowią wytyczne do działania dla społeczności międzynarodowej.

Wyspa Hel. Jeszcze w tym wieku

Profesor Jacek Piskozub w obrazowy sposób opowiada – na przykładzie niewielkiego portu bałtyckiego – jak taki wzrost poziomu morza wygląda w praktyce. – Dziś podczas dużego sztormu woda przelewa się tam przez nabrzeże – wyjaśnia. – Jest to, dajmy na to, jeden centymetr wody na nabrzeżu. Dzieje się tak, bo już się podniósł poziom morza w stosunku do tego, co było, gdy projektowano i budowano (...). Za 10-20 lat poziom morza podniesie się na przykład o kolejne 10 czy 20 cm. Wówczas przy takim samym wietrze jak ów dzisiejszy sztorm woda nie będzie już przelewała się przez nabrzeże, bo znajdzie się ono w całości pod wodą. Ale z roku na rok poziom wody będzie się podnosił. W pewnym momencie, jeśli nie będzie dodatkowych zabezpieczeń, przy kolejnym sztormie woda wleje się do miasta (...).

– Kiedy to wszystko może się wydarzyć? – pytam naukowca.

– To już się dzieje, bo poziom morza podniósł się o 20 cm w ciągu ostatnich stu lat. Proces przyspiesza. Za życia naszych dzieci, wnuków ten problem może być już naprawdę dolegliwy (...). Na przykład być może jeszcze w tym wieku Półwysep Helski stanie się wyspą. Najpierw woda przeleje się przez półwysep między Władysławowem a Chałupami. To też nie stanie się z dnia na dzień. Jest duże prawdopodobieństwo, że w tamtym miejscu podczas sztormów woda będzie się przelewała przez drogę, linię kolejową i wydmę, a Hel będzie czasowo odcinany od lądu. Wraz z dalszym wzrostem poziomu morza będzie się to działo coraz częściej, a w końcu woda zagości tam na stałe (...).

Trzy metry w górę – już teraz

Od publikacji naukowców z Polskiej Akademii Nauk minęły dwa lata. Uczeni wskazywali na konieczność szybkich działań, postulowali między innymi opracowanie strategii ochrony wybrzeża uwzględniającej te zagrożenia (...). Jak takie przygotowania miałyby wyglądać? Profesor Jacek Piskozub wskazuje jednoznacznie, że obecną infrastrukturę należy projektować z zapasem, czyli według zasady „trzy metry w górę" ponad dzisiejszy średni poziom morza. Wspomina, że tak projektuje się infrastrukturę przeciwpowodziową na przykład w Niemczech. Jego zdaniem takie właśnie zagrożenie – wzrost poziomu morza o metr i wezbranie sztormowe podnoszące ten poziom o dodatkowe dwa metry – wystąpi jeszcze w tym wieku (...).

Wróćmy do Nowego Dworu Gdańskiego i rzeki Tugi, by przyjrzeć się dopiero co oddanym do użytku wrotom sztormowym. Mają zadziałać, gdy podczas wezbrań wody morskiej pojawia się tak zwana cofka. To sytuacja, w której woda, wpychana mocnym wiatrem z północy, płynie w górę rzeki, od strony morza. Płynie przez Szkarpawę i dalej – Tugą – zmierza do dziesięciotysięcznego miasteczka. W Nowym

Dworze Gdańskim nie ma wałów przeciwpowodziowych. Gdyby wielka woda tu dotarła, mogłoby dojść do tragedii. Dlatego w listopadzie zeszłego roku za kwotę 33 mln zł w miejscu, w którym Tuga wpływa do Szkarpawy, wybudowano wrota sztormowe. Cofka spotka na swojej drodze zamknięte wrota i, zamiast wedrzeć się do miasteczka, rozleje się szeroko w samej Szkarpawie, która jest otoczona wałami i będzie w stanie przyjąć falę powodziową. Nadmiar wody ma być odprowadzany kanałami z powrotem do Zalewu Wiślanego.

Wrota na Tudze zamkną się automatycznie, gdy poziom wody w Szkarpawie wyniesie sześćdziesiąt centymetrów ponad poziom morza. Wówczas system zadziała (...). Jak informuje rzecznik Wód Polskich, konstrukcja wrót ma „górną rzędną" wynoszącą dwa metry nad poziomem morza. Teoretycznie więc falę powodziową tej wysokości powinny te wrota zatrzymać. Większej już nie. – To jest smutne – komentuje profesor Piskozub. – To dowód na to, że cały czas projektuje się infrastrukturę na podstawie analizy danych historycznych i nie bierze się na poważnie pod uwagę prognoz dotyczących wzrostu poziomu morza. Bogusław Pinkiewicz z RZGW przekonuje natomiast, że przy projektowaniu infrastruktury bierze się pod uwagę, oprócz danych historycznych, również prognozy uwzględniające przewidywany wzrost poziomu morza. Wymienia nazwiska profesorów z IMGW, Uniwersytetu Gdańskiego, którzy uczestniczą w sporządzaniu tak zwanych Planów Zarządzania Ryzykiem Powodziowym.

– Czytałem ich [spółki „Wody Polskie", czyli RZGW – red.] dokumenty i nie widziałem tam prognoz wzrostu poziomu morza – ripostuje profesor z PAN. – Cieszę się, że mają świadomość uwzględniania takich prognoz, ale nie jestem przekonany, że uwzględniono je w tym, co dotychczas opublikowano.

Skąd bierze się taki rozdźwięk między tym, co mówi profesor Jacek Piskozub, a tym, co projektują Wody Polskie, i tym, co się buduje? – Różnice będą zapewne w prognozowanych liczbach oraz zasięgu zjawisk, a dotyczą głównie wzrostu poziomu morza oraz wezbrań sztormowych – stwierdza Pinkiewicz.

Wartości, o których wspomina prof. Piskozub – „trzy metry w górę" do roku 2050, 2080, 2100 – rzecznik Wód Polskich uznaje za „ekstremalne" (...). Twierdzi, że do 2100 roku mamy to „zagwarantowane". Ale czy wcześniej? Na to pytanie nikt dzisiaj nie jest w stanie odpowiedzieć.

TOMASZ SŁOMCZYŃSKI

(Skróty pochodzą od redakcji „Angory")

Fot. Marek Michalak/East News

Angora nr 11/2023

Od zakażenia do śmierci

Rozmowa z dr MAGDALENĄ PARYS, nefrologiem, specjalistą chorób wewnętrznych – szpital św. Elżbiety, Grupa LUX MED

– Wiele osób uważa, że sepsa to nazwa choroby. Czy słusznie?

– Nie do końca. To tak naprawdę gwałtowna, uogólniona reakcja organizmu na zakażenie. To bardziej określony stan niż choroba.

– Dużo się teraz o tym mówi za sprawą WOŚP, która zbierała pieniądze na walkę z sepsą. Co ją wywołuje?

– Różnego rodzaju drobnoustroje, które wnikają do naszego organizmu. Na szczęście w większości przypadków układ odpornościowy radzi sobie z nimi i zazwyczaj kończy się na niegroźnych objawach, takich jakich gorączka, ból lub niewielki miejscowy obrzęk. W przypadku sepsy musi dojść do przeniknięcia patogenów lub ich części (antygenów) albo wytwarzanych przez nie toksyn do krwi. A ponieważ krew dociera do każdego zakątka naszego ciała, ewentualna gwałtowna reakcja ma charakter uogólniony i nie ogranicza się wyłącznie do jednego narządu wewnętrznego.

– Które z tych drobnoustrojów są najczęstszą przyczyną sepsy?

– Najczęściej mamy do czynienia z zakażeniami o etiologii bakteryjnej.

– A czy sepsa może być powikłaniem grypy, a więc choroby wirusowej?

– Teoretycznie może się tak zdarzyć, gdy wirus wniknie i rozprzestrzeni się w układzie krwionośnym. Dotyczy to jednak głównie osób predysponowanych, z istotnymi zaburzeniami odporności bądź obciążonych wieloma chorobami. Zwykle grypę leczymy objawowo, ale w takich przypadkach istnieje także ryzyko rozwoju sepsy.

– Z danych PZH wynika, że w roku 2021 odnotowano w Polsce prawie 200 przypadków sepsy. Natomiast inne szacunki mówią nawet o 20 tys. przypadków rocznie. Skąd taka rozbieżność?

– Ogólnie mówiąc, statystyki w tym względzie są niepełne. Dlatego też częściej odnosimy się do danych amerykańskich. Z badania opublikowanego w czasopiśmie „Lancet" na temat sepsy szpitalnej wynika, że u ok. 30 proc. pacjentów leczonych na oddziałach intensywnej terapii rozpoznano sepsę. A u 6 proc. doszło do wstrząsu septycznego, czyli niewydolności wielonarządowej, bezpośrednio zagrażającej życiu.

– Czy to znaczy, że sepsa najczęściej zdarza się w warunkach szpitalnych?

– Rzeczywiście, najczęściej mówimy o tzw. sepsie szpitalnej. Pamiętajmy, że zwykle istnieje pierwotne ognisko zakażenia wewnątrz organizmu. Może to być np. ropień w jamie brzusznej, zapalenie płuc czy zakażenie układu moczowego lub ośrodkowego układu nerwowego. Źródłem mogą być też m.in. wszczepione cewniki lub porty naczyniowe. Nie zawsze jednak, mimo prowadzonej diagnostyki, udaje się to dokładnie określić. Ponieważ do szpitala trafiają ludzie chorzy, to są oni bardziej narażeni na różnego rodzaju zakażenia, głównie bakteryjne. Z drugiej jednak strony, w szpitalu łatwiej wykryć sepsę, co pozwala szybciej włączyć odpowiednie leczenie. Inną kategorię stanowią dzieci i młodzi dorośli do 24. roku życia. Tu najczęściej mamy do czynienia z sepsą meningokokową, wywoływaną przez dwoinki zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych (przyp. red.). Wiek w tym wypadku jest istotnym czynnikiem ryzyka, bowiem u dzieci i młodzieży układ odpornościowy nie jest w pełni ukształtowany. Dlatego tak ważne są szczepienia ochronne przeciwko meningokokom. Wskazane są one szczególnie wtedy, gdy chodzi o osoby z zaburzeniami odporności. Podobnie jest w przypadku zakażenia pneumokokami, co także może doprowadzić do sepsy. Szczepienia ochronne zmniejszają to ryzyko.

– A czy sepsą można się zakazić?

– Samą sepsą nie, ale można zakazić się określonym drobnoustrojem, co w sprzyjających warunkach może doprowadzić do sepsy. Ale powtarzam, samo zakażenie nie jest równoznaczne z rozwojem sepsy.

– Kogo można zaliczyć do grupy ryzyka?

– Z pewnością osoby z zaburzeniami odporności. Mogą one być wrodzone lub wtórne, wynikać np. z wielochorobowości, ale też mogą pojawić się choćby w następstwie chemio- czy radioterapii, stosowanych w leczeniu onkologicznym.

– W jaki sposób objawia się sepsa?

– Objawy są zwykle gwałtowne i szybko narastające. Może to być gorączka, ale także obniżona temperatura poniżej 36 st. C. Przyspieszeniu ulega tętno i zwiększa się częstość oddechu. W przypadku sepsy meningokokowej może wystąpić też plamica, głównie na kończynach. Jest ona na tyle charakterystyczna, że nie znika pod wpływem ucisku. Możliwe są również zaburzenia świadomości, bóle mięśni, uczucie duszności, osłabienie, dreszcze. W dużej mierze zależy to od lokalizacji pierwotnego ogniska zakażenia.

– U osób dorosłych dotyczy ono często układu moczowego.

– To prawda. Szacuje się, że urosepsa dotyczy nawet 25 proc. wszystkich przypadków sepsy u osób dorosłych. Chodzi tu głównie o zakażenia w obrębie nerek. Przyczyną mogą być np. ropnie w nerkach, ale także zastój moczu w układach kielichowo-miedniczkowych, m.in. w przypadku nadmiernego rozrostu gruczołu krokowego u mężczyzn. Czynnikiem ryzyka są również zabiegi w obrębie układu moczowego, bo może dojść do zakażenia krwi, choć ryzyko to obecnie jest niewielkie ze względu na stosowaną okołozabiegową profilaktykę antybiotykową.

– Co decyduje o rozpoznaniu sepsy?

– Przede wszystkim gwałtowność narastania objawów. To kwestia godzin, a nawet minut. Łatwiej to zaobserwować u pacjentów szpitalnych, bo mają regularnie kontrolowane parametry życiowe. Natomiast w warunkach domowych koniecznie trzeba zwracać uwagę na gwałtowne objawy, o którym mówiłam wcześniej.

– Ponoć dostępne są także markery sepsy? Czy często się po nie sięga?

– Nie możemy ich nazywać markerami sepsy, bo są to po prostu wykładniki stanu zapalnego, takie jak liczba krwinek białych, stężenie białka C-reaktywnego, prokalcytoniny, interleukiny-6. Służą one nam jako test pomocniczy, natomiast to nie jest tak, że na ich podstawie rozpoznajemy sepsę. Wspomniane markery oznaczamy też w różnego rodzaju zakażeniach. Ważne jest natomiast, by przed podaniem antybiotyku zabezpieczyć próbkę krwi na posiew, co pozwoli na identyfikację mikroorganizmów krążących we krwi, bo to może potwierdzić czynnik sprawczy sepsy. Optymalnie jest również zabezpieczyć na posiew materiał z potencjalnego tzw. ogniska pierwotnego, które podejrzewamy jako źródło drobnoustrojów wywołujących sepsę, np.: mocz, płyn rdzeniowo-mózgowy, treść ropną z naciętego ropnia, płyn z jamy otrzewnej lub opłucnowej itp.

– Czy sepsa zawsze jest stanem zagrażającym życiu?

– Zawsze trzeba ją tak traktować i dlatego tak ważne jest szybkie rozpoznanie i leczenie. Nie mamy dobrych statystyk w tym względzie. Na podstawie danych amerykańskich szacuje się, że sepsa może być przyczyną nawet 1/3 zgonów pacjentów hospitalizowanych. Polskie szacunki sugerują, że rocznie umiera z powodu sepsy ok. tysiąca osób. Stan pacjenta ocenia się na podstawie takich parametrów jak: stan świadomości, wskaźnik oksygenacji krwi tlenem, średnie ciśnienie krwi, stężenie mleczanów w surowicy, parametry układu krzepnięcia (w tym liczba płytek krwi), wykładniki wydolności nerek i wątroby oraz wspomniane wcześniej markery stanu zapalnego. Z pewnością bezpośrednim zagrożeniem życia jest stan określany jako wstrząs septyczny.

– W jaki sposób leczy się sepsę?

– Podstawą jest podanie możliwie jak najszybciej antybiotyków. Niezwykle istotne jest ustalenie rodzaju patogenu odpowiadającego za zakażenie. To pozwala dobrać możliwie najlepszą metodę leczenia. Konieczne jest też leczenie objawowe polegające np. na podawaniu leków przeciwgorączkowych. Często pacjent wymaga intensywnej płynoterapii, by utrzymać ciśnienie krwi na odpowiednim poziomie. We wstrząsie septycznym podawane są leki wspomagające pracę układu krążenia. W przypadku niewydolności oddechowej nieodzowna jest tlenoterapia, zaś w przypadku niewydolności wielonarządowej, w której mamy do czynienia z ciężką niewydolnością nerek, wskazane może być zastosowanie dializ, by wyrównać zaburzenia metaboliczne, gospodarkę kwasowo-zasadową oraz zaburzenia elektrolitowe. Może również wystąpić konieczność transfuzji preparatów krwiopochodnych lub zastosowanie żywienia dojelitowego bądź dożylnego. Oczywiście, jeśli uda się wykryć pierwotne ognisko zakażenia, należy je jak najszybciej usunąć.

– W jakim stopniu problemem w leczeniu sepsy jest antybiotykooporność?

– To bardzo niepokojące i groźne zjawisko. Swego czasu odkrycie antybiotyków spowodowało prawdziwy przełom w leczeniu zakażeń bakteryjnych. Jednak nadużywanie i niewłaściwe stosowanie antybiotyków doprowadziło do powstania patogenów opornych na ich działanie. I dziś mamy coraz więcej szczepów bakterii niewrażliwych na większość dostępnych antybiotyków. Ten poważny problem, niestety, wciąż narasta.

– W jaki sposób można się uchronić przed sepsą?

– Z pewnością bardzo ważna jest właściwa higiena, ale ona nie zawsze wystarcza. Przed sepsą meningokokową bądź pneumokokową chronią nas szczepienia. Jeśli chodzi o higienę, to ważne jest, by nie starać się wychowywać dzieci w nadmiernie sterylnych warunkach, by układ odpornościowy (o ile nie mamy do czynienia z wrodzonymi lub wtórnymi zaburzeniami odporności i pamiętamy o realizacji szczepień według kalendarza szczepień obowiązkowych) miał kontakt z różnymi drobnoustrojami, bo tylko w ten sposób uczy się on odpowiednio reagować na potencjalne zagrożenie. Tak kształtuje się właśnie nasza naturalna odporność.

ANDRZEJ MARCINIAK

Angora nr 11/2023

Sport

Waleczne Serce

Rozmowa z IGOREM TRACZEM – mistrzem świata w psich zaprzęgach

– Wracasz ze Szwecji ze złotym medalem. Brawo!

– W Åsarnie wywalczyłem mistrzostwo świata w wyścigu jazdy na czas czwórek zaprzęgowych w warunkach śnieżnych, najbardziej prestiżowej konkurencji sprinterskiej. Dostałem złoty medal, usłyszałem Mazurka Dąbrowskiego i odebrałem dla psów tradycyjny worek karmy. W naszym sporcie nie ma nagród finansowych, ścigają się pasjonaci, wariaci jak ja.

– Wyścigi psich zaprzęgów stają się coraz bardziej popularne.

– Rzeczywiście tak się dzieje. W ubiegłym roku we Francji w mistrzostwach świata w warunkach bezśnieżnych w kategorii open startowało aż 1000 zawodników z 46 państw.

– Ilu miałeś rywali kilka dni temu w Szwecji w zimowej rywalizacji?

– Ostatecznie po eliminacjach o medale walczyło 18 zawodników. Odbyły się dwa wyścigi na trasie liczącej prawie 10,5 kilometra. Liczył się ogólny czas przejazdu. W pierwszym wyścigu byłem lepszy od ubiegłorocznego mistrza o 29 sekund, a w drugim o kolejne 13. Pokonałem wyraźnie Andreia Drabika, Słowaka trenującego ciągle w Tatrach. Zaskoczyły mnie tak dobre czasy, bo w tym roku nie brałem udziału w żadnych zawodach. Nie miałem dużo czasu, bo przede wszystkim jestem pochłonięty pomocą humanitarną dla Ukrainy, a jeśli już trenowałem, to właściwie w polskim błocie, a nie w warunkach zimowych.

– W Szwecji były jednak zimowe warunki.

– Bardzo odpowiadała moim psom trasa – długa, niezwykle szybka. Pędziliśmy do mety z prędkością ponad 40 kilometrów na godzinę. Wiele zaprzęgów słabło zdecydowanie na ostatnim odcinku trasy.

Tym razem miałem młody zaprzęg. Cztery suki od dwóch do czterech lat – Gemma, Jolka, Adelajda i Judy, greystery, psy specjalnie stworzone do sportu. Mają szczególne predyspozycje, są szczupłe, a dzięki temu bardzo wytrzymałe i szybkie. Potrafią długo utrzymywać wysokie prędkości. Wszystkie urodziły się w mojej psiarni.

– Jest liderka?

– To Gemma. Latem ubiegłego roku zdobyłem z nią mistrzostwo świata w bikejoringu, czyli rowerowym psim zaprzęgu. Mój bezwzględnie najszybszy, najbardziej wytrzymały pies. Rozumiemy się doskonale, świetnie się ze sobą komunikujemy. Nadaje tempo, bezbłędnie prowadzi zaprzęg.

– Obok niej biegła Jolka?

– Tak, kiedyś myślałem, że nic z niej nie będzie, bo nie miała ochoty biegać. Bała się uprzęży, linek, hałasu na starcie. Szczęśliwie dwa lata temu coś pozmieniało się w jej głowie i zaczęła genialnie biegać. Trzyma równe tempo w zaprzęgu.

– A jakie psy muszą być z tyłu?

– Nie muszą być bardzo szybkie, ale bardzo silne. Na nie spada największy wysiłek przy starcie, rozpędzenie zaprzęgu i wchodzenie w zakręty, kiedy siła odśrodkowa wynosi sanie na zewnątrz. Po lewej stronie biegła Adelajda, a po prawej mocna, umięśniona Judy, siostra Gemmy.

– Dlaczego takie imiona?

– Judy to nazwa amortyzatora do roweru górskiego, Gemma była jedną z wrednych bohaterek serialu telewizyjnego, mój psiak od narodzenia był zawadiacki, złośliwy, natychmiast skojarzyłem imię z filmową postacią. Jolka też kojarzy się z kolarstwem górskim. „Jolka Demolka" to określenie świetnej Szwajcarki Jolandy Neff – wielokrotnej mistrzyni świata.

– Adelajda od miasta w Australii?

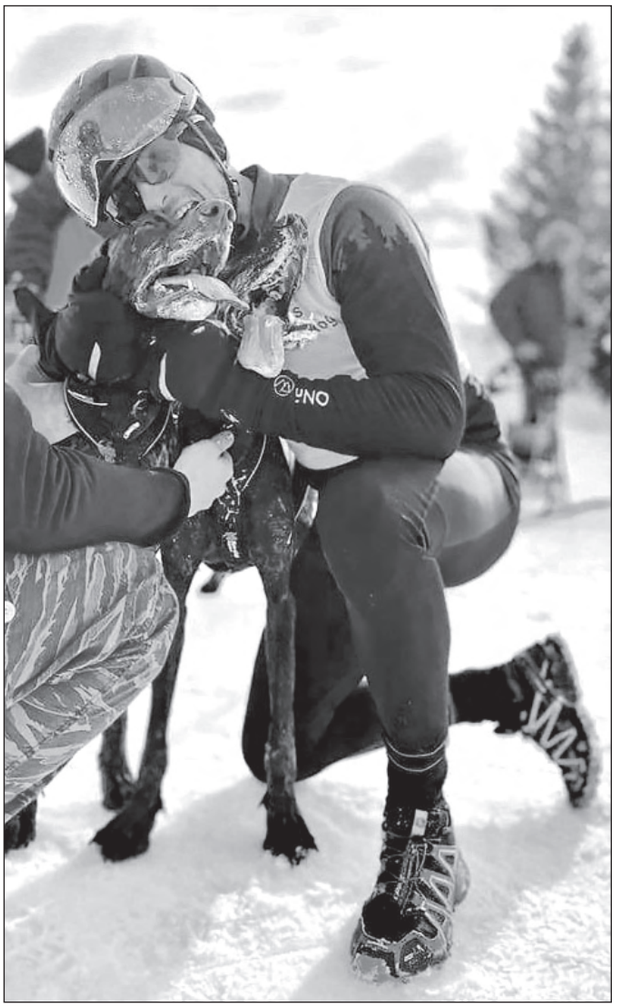

– Tak, miała właśnie tam lecieć, a ostatecznie sprzedałem innego szczeniaka właścicielowi w Australii.

– Czym żywisz swoje psy?

– Psy sportowe zjadają dziennie około 2,5 kilograma rozmaitej karmy, nie biegną na głodniaka. Dwie godziny przed startem otrzymują delikatne śniadanie oparte na białku i tłuszczu. Po wyścigu szybko dostają cukry proste, by odbudować glikogen, a po kilkunastu minutach nieco większy posiłek. Psy nie ścigają się dla jakichkolwiek nagród. Biegają, bo uwielbiają to robić. Nagrodą dla psa jest kolejna porcja ruchu, wtedy są szczęśliwe z językami do ziemi.

– Ciągną sanie.

– Od kilku miesięcy mam bardzo skrętne, na świetnych sztywnych płozach, austriackiej firmy Danler. Są lekkie, ważą 9 kilogramów, kapitalne do manewrowania. Ręce spoczywają na elastycznym pałąku, a ugięte nogi na płozach. Stopy nie są przymocowane do płóz, bo trzeba mieć możliwość właściwego balansowania i odpychania po wyjściu z każdego zakrętu. Pracuje się całym ciałem, nieustannie w potwornym spięciu, wysiłek ogromny, ale ja jestem tylko dodatkiem, robię wszystko, by moim psom nie przeszkadzać. Dodam, że sprzęt mechaniczny i środki przymusu są zabronione i grozi za to dyskwalifikacja na cztery lata. Używanie bata nie ma najmniejszego sensu, psa sportowego nie zmusi się w taki sposób do wysiłku.

– Wspomniałeś, że ostatnio masz mało czasu na trening.

– Mija rok, gdy pierwszy raz pojechałem z konwojem humanitarnym do Ukrainy. Konwój numer 40 ruszy za kilka dni. Razem z wolontariuszami czterema samochodami transportujemy potrzebny walczącym Ukraińcom towar. Różny, zbieramy go z całego świata. Dostarczyliśmy już 300 ton m.in. jedzenia, sprzętu wojskowego, ubrań, wyposażenia do szpitali, leków. Nasza pomoc skierowana jest głównie do żołnierzy, szpitali i zwierząt. Ostatnio dostarczyliśmy do Chersonia aparaty USG na oddział ginekologiczny, a do szpitala w Mikołajowie trzytonowy agregat prądotwórczy. Naszą dewizą jest docieranie bezpośrednio do ludzi potrzebujących wsparcia.

– Wiecie, jakie są właściwe potrzeby.

– Kiedy zawozimy buty wojskowe, śpiwory, karimaty, to przekonujemy się, jaką ogromną wartość mają dla walczących. Moja fundacja nawiązała współpracę z weteranami jednostki GROM. W nasze konwoje zaangażował się ostatnio Marcin Gortat i byliśmy razem przez tydzień w Ukrainie. Współpracujemy z wieloma fantastycznymi osobami i instytucjami ukraińskimi.

– Ratowałeś psy?

– W pierwszych miesiącach wojny szczególnie taka pomoc była potrzebna. Mieliśmy pod opieką 20 rannych psów po ataku rakietowym na schronisko w Charkowie. Jeden z urwanymi łapami wymagał szczególnej troski. Inne zwierzęta w strasznym stanie przewoziliśmy na leczenie do Polski albo na bezpieczniejsze tereny Ukrainy.

– Masz jakiegoś psa z Ukrainy?

– Pewien Ukrainiec poprosił mnie o pomoc, opiekę nad jego psem. Sam wyruszał na front i nie miał go z kim zostawić. Co ciekawe, ten pies okazał się spokrewniony z moimi zaprzęgowymi, które trafiły do Ukrainy i jest bardzo podobny do greysterów. Oczywiście zabrałem psa, trafił do moich rodziców, a Ukrainiec walczy, żyje, mam z nim nieustający kontakt.

– Widzisz wojnę z bliska.

– I to bardzo mocno wbijające się w świadomość obrazy. Pewnego dnia tankowaliśmy nasze samochody i na stacji benzynowej podszedł do mnie emerytowany generał armii ukraińskiej. Był wdzięczny za pomoc, jaką okazują Polacy, i zapłacił rachunek za paliwo do naszych trzech samochodów. Wkurzam się, kiedy słyszę niekiedy w Polsce – po co pomagamy Ukraińcom! Nieprawda!

Dostarczyłem kiedyś pewnej staruszce paczkę z żywnością, wybiegła za mną i oddała mi jedynego dolara, jakiego miała w domu. Z serca. Z życzliwości. Wdzięczność tamtejszych ludzi nie ma granic. Pewnej nocy w pobliżu granicy ukraińsko-białoruskiej zatrzymał nas nieznany patrol. Włożono kałasznikowy przez okna naszych samochodów, było groźnie. Szczęśliwie byli to Ukraińcy. Wieczór zakończyliśmy na wspólnym oglądaniu telewizyjnej transmisji meczu piłkarskiego Ukraina – Szkocja. A na kolacji nie zabrakło piwa... i krewetek. Kiedyś karmiłem bezdomne psy. Zdziwiło mnie, że nie są aż tak głodne, okazało się, że zjadały żołnierza rosyjskiego przy czołgu.

– Potworne obrazy.

– Nie zapomnę ludzi, których wiozłem z zachodniej Ukrainy. Przez cały czas trzymali się za ręce, płakali i ze łzami opowiadali o tym, jak dziesięciu rosyjskich żołnierzy zgwałciło ich sąsiadkę. Oskalpowali. Obcięli uszy, a na końcu zastrzelili. To hardcorowe obrazy. Zaczepiły mnie kiedyś kobiety... Zapytały, czy widzę krwawe ślady przy stojącym aucie? Rzeczywiście były. I słyszę zapłakany głos... Ci chłopcy mieli po pięć lat i ruscy wpakowali im cały magazynek w plecy. Ku... gdzie my jesteśmy???

Fot. Archiwum prywatne

Tomasz Zimoch

Angora nr 11/2023

Podziwiać i jeździć

Wygląda jak milion dolarów! Kosztuje również co najmniej milion, tyle że złotych. Mercedesa-AMG SL 63 na długo zapamiętam. Choć środek zimy nie był najbardziej fortunnym momentem na test tego przepięknego i potwornie szybkiego roadstera, to grzechem byłoby narzekać na okoliczności. Kapitalna prezencja, rewelacyjne brzmienie silnika, świetne prowadzenie. Wszystko to sprawiało, że nie miałem ochoty wysiadać z tego wyjątkowego i bardzo niedzisiejszego auta...

W dobie nieuniknionej elektryfikacji pojazdów taki wóz jak opisywany Mercedes jest rodzynkiem. 585 KM nie pochodzi z elektrycznego silnika, ani z żadnej hybrydy. Pod maską pracuje 4-litrowy silnik V8 z podwójnym turbodoładowaniem, bajecznie współpracujący z automatyczną, 9-stopniową skrzynią biegów, błyskawicznie zmieniającą przełożenia. Nie ma tu mowy o żadnej ekologii ani o umiarkowanym apetycie na paliwo. Liczą się wrażenia z jazdy i genialne doznania akustyczne. Sprint do pierwszej setki (3,6 sekundy) w wyłącznie spalinowym wydaniu jest o niebo przyjemniejszym uczuciem niż w elektrycznych odpowiednikach. Przynajmniej w tego typu aucie. Małym, lekkim, sportowym, stylowym roadsterze...

Chociaż z tym „małym i lekkim" to nie do końca prawda. Wbrew temu, że nazwa SL w rozwinięciu oznacza „Sport Leicht", ten wóz wcale nie jest jak piórko. Przeciwnie, jego masa własna wynosi niemal dwie tony. Zdziwiłem się też, patrząc w dane techniczne, że długość nadwozia przekracza 4,7 metra. SL z 2023 roku na oko wydaje się mniejszy. Wydaje się również luksusowy, unikatowy i bardzo drogi. To akurat prawda, ponieważ w odmianie z najmocniejszym silnikiem nie sposób kupić go za mniej niż milion złotych! Długa maska, duże felgi o fantastycznym wzorze (dawno żadne obręcze nie przypadły mi aż tak do gustu), kryjące ceramiczne hamulce i zwiewna, ale pełna elegancji sylwetka to jego znaki szczególne. Najbardziej efektownie wygląda z otwartym dachem, choć po jego zamknięciu materiałowe tworzywo także dodaje mu urok. Nawet pozornie zwykły szary lakier nadwozia w tym przypadku wyglądał więcej niż dobrze. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wolę podziwiać niemieckie cacko, czy nim jeździć?

Dylematu jednak nie było. Jeździć! Czym najbardziej kupił mnie SL 63? Poza osiągami, szczerym i rasowym dźwiękiem silnika. Tak głośno pracujący motor, wspaniale wkręcający się na obroty, już wkrótce pozostanie pewnie tylko w motoryzacyjnych wspomnieniach. Korzystając z jedynego dnia z względnie przyzwoitą pogodą, kiedy nie hulał wiatr i nie padał śnieg, otwierałem dach nie po to, żeby poczuć rześkie powietrze, ale żeby jeszcze lepiej napawać się tym brzmieniem. Bajka! Nie będzie zaskoczeniem, że samochód sygnowany sportową marką AMG doskonale trzymał się drogi w zakrętach, a do asfaltu był niczym przyklejony. Niespodzianka czaiła się gdzie indziej. Otóż najnowszy SL jako pierwsza w historii generacja tego modelu ma napęd na cztery koła, zamiast wyłącznie na tylną oś. Pewnie znajdą się tacy, którzy będą grymasić na takie „ugrzecznienie" Mercedesa o wyścigowych aspiracjach, ale ja akurat byłem za to wdzięczny. Zwłaszcza na śliskich, pokrytych śniegiem i lodem nawierzchniach. Po prostu czułem się bezpieczniej, bo SL prowadził się pewnie i stabilnie, a ruszanie spod świateł nie wiązało się z żadnymi niepożądanymi „tańcami".

Dwuosobowy samochód bardzo dobrze sprawdzał się nie tylko podczas ostrzejszej jazdy, lecz także w dłuższych trasach. Wygodne fotele, fajna, zwarta pozycja za kierownicą, elektroniczne bajery na miarę najnowszych Mercedesów, luksusowe wykończenie kabiny, wcale niezbyt brutalnie zestrojone zawieszenie... Nic, tylko pochłaniać kolejne kilometry. A dlaczego piszę dwuosobowy, skoro SL jest – teoretycznie – przeznaczony dla czterech osób? Siedziska w drugim rzędzie są absurdem, którego nie jestem w stanie zrozumieć. Nie ma najmniejszych szans, żeby ktokolwiek się tam zmieścił, a montowanie ciasnych foteli na siłę wydaje się zbędnym wydatkiem przy produkcji auta. W praktyce ta „ławeczka" służy do pomieszczenia podręcznego bagażu, bo sam kufer nie należy przecież do przestronnych. W bagażniku zmieściłem dużą torbę tenisową, plecak i... tyle. Ale przecież nie o walory praktycznie chodzi w SL-u. Także spalanie paliwa nie będzie kwestią, nad którą będą się głowili potencjalni klienci. Dla porządku nadmienię tylko, że po kilkuset pokonanych kilometrach komputer pokładowy mówił o 17 litrach wypalanej bezołowiowej na każde 100 kilometrów. Gdy wznosiłem się na szczyty ekonomicznej jazdy, udało mi się zejść do 13 litrów (przepisowa jazda drogą ekspresową). Natomiast „dając do pieca", bez problemu przekraczałem 25.

W kontrze do zachwytu nad genialnym pod wieloma względami Mercedesem znalazłem kilka wad. Trzeba było naprawdę solidnie trzasnąć drzwiami, żeby je zamknąć. W aucie z tej półki, za taką kasę, to nie przystoi i przydałoby się ich elektryczne domykanie. Podobnie jak przydałoby się elektryczne podawanie pasa bezpieczeństwa (jak chociażby w E klasie coupé), bo nie dość, że sięgało się po niego niewygodnie, to jeszcze po odpięciu ten permanentnie obijał się o blachę. Złym, nieintuicyjnym rozwiązaniem okazała się procedura otwierania dachu poprzez trzymanie przez kilka sekund wirtualnego suwaka na centralnym ekranie. Fizyczny odpowiednik miałby więcej sensu. Przy wyższych prędkościach, autostradowych, w kabinie robiło się za głośno. Wprawdzie charakterystyczny szum jest naturalny dla aut z miękkim dachem, to w SL-u miałem wrażenie, że było o kilka decybeli za wiele. Od Mercedesów wymagam także perfekcyjnego wykończenia wnętrza. A tutaj jeden element, czyli panel umieszczony na boku drzwi, odpowiadający za regulację foteli, ich podgrzewanie lub wentylację był kiepsko spasowany. Podsumowując, wymienione powody do marudzenia i narzekania zahamowały mój entuzjazm przed złożeniem zamówienia w salonie na swój wymarzony egzemplarz (postawiłbym na czarny lakier i czerwone wnętrze). Bo przecież nie chodzi o brakujący luźny milion złotych na moim koncie...

Tekst i fot. Maciej Woldan

Angora nr 12/2023

Ciekawostki motoryzacyjne

● Carl Benz opracował pierwszy samochód w 1885 roku – był to samochód z jednocylindrowym czterosuwowym silnikiem benznowym. Prędkość samochodu wynosiła 16 km na godzinę. Na tamte czasy był to doskonały projekt, nazwano go Benz Patent Motorwagen Nummer 1. Ważył 265kg.

● Choć wydawać się by mogło, że elektryki to nowość, to już XIX Gustave Trouvé w 1881 roku zaprezentował w Paryżu trycykl o napędzie elektrycznym.

● Któż nie słyszał słynnej dewizy Henry'ego Forda z 1914 roku: „możesz otrzymać samochód w każdym kolorze, pod warunkiem, że będzie to kolor czarny". W latach 1908-1914 model T Forda można było kupić w kilku różnych kolorach, ale nie w kolorze czarnym. Starając się uczynić produkcję tańszą i bardziej wydajną, Ford zdecydował się produkować wszystkie dalsze modele T tylko w kolorze czarnym (ponieważ czarny lakier był tani i trwały.

● Toyota Corolla (Japonia) produkowany od 1966 do dziś. W 2019 r. sprzedano 1 236 380 egzemplarzy.

● Najpopularniejszym samochodem na świecie w XX wieku był Volkswagen Beetle tzw. Garbus. Na całym świecie sprzedano ponad 20 milionów egzemplarzy, a Volkswagen Beetle znalazł się na liście najpopularniejszych samochodów.

● W kwietniu 2016 r. Rekord Guinessa na najszybszy samochód policyjny świata ustanowił Bugatti Veyron – Zjednoczone Emiraty Arabskie. Przy zawrotnej prędkości maksymalnej 407 km / h jego 16-cylindrowy silnik o mocy 1000 koni mechanicznych uruchamia samochód z prędkością od 0 do 100 km na godzinę w zaledwie 2,5 sekundy.

● Najdroższy samochód świata to 1963 FERRARI 250 GTO (4153 GT) sprzedany w maju 2018 roku w Niemczech za cenę 70.000.000 dolarów. Szczęśliwym nabywcą jest David MacNeil (USA). Ten konkretny model (4153 GT) w 1964 roku wygrał słynny Tour de France. 250 GTO ma 3-litrowy silnik V12, który jest w stanie przyspieszyć od 0 do 100 km na godzinę w 6,1 sekundy przy maksymalnej prędkości 280 km na godzinę.

Pod paragrafem

Pracownica banku w Tomaszowie Mazowieckim przez wiele lat kradła pieniądze z kont klientów

Zdradzieckie buziaki...

Zaczęło się od maila z Wielkiej Brytanii. Do komendy policji wysłała go kobieta w imieniu 79-letniej matki mieszkającej w Tomaszowie Mazowieckim. Córka napisała, że na podstawie analizy danych z banku wynika, że z konta matki zniknęło sporo pieniędzy. Brakowało około 70 tysięcy złotych.

Dziwny był też zarejestrowany przelew od kobiety, której właścicielka rachunku w ogóle nie znała, a później przelew pieniędzy na inne konto. Tomaszowianka od lat miała rachunek w tamtejszym banku i zawsze była obsługiwana przez tę samą kobietę – Adrianę J. Matka z córką wybrały się do banku i poprosiły o możliwość sprawdzenia wszystkich dotychczas założonych lokat. Dowiedziały się, że na sprawdzenie tego czeka się... ponad dwa miesiące. Taką kuriozalną odpowiedź nagrały na telefonie komórkowym.

Nierejestrowane lokaty

Skarg w sprawie znikających z rachunku pieniędzy zaczęło wpływać coraz więcej. Specjaliści ds. przeciwdziałania przestępstwom wewnętrznym w Alior Banku ustalili, że niektóre operacje finansowe na kontach klientów „budziły uzasadnione wątpliwości co do ich wiarygodności".

Reklamacji wciąż przybywało. Zgłaszali je wyłącznie klienci, których obsługiwała Adriana J. Komuś brakowało na koncie 50 tysięcy złotych, komuś innemu 80 albo 100 tysięcy. Jadwiga Z. zeznała, że z trzech jej kont i męża zniknęło około 142 tysięcy złotych. Pan Roman M. założył kilka lokat na kwotę 90 tysięcy. Skusiła go obietnica stosunkowo wysokiego oprocentowania, którego bank nie miał w oficjalnej ofercie. Gdy dowiedział się o oszustwach, sprawdził lokaty. Okazało się, że w ogóle nie były zarejestrowane w systemie bankowym, a umowy zwyczajnie podrobiono. Owszem, korzystał z bankowości elektronicznej i miał możliwość sprawdzania rachunku na bieżąco, ale od obsługującej go Adriany J. dowiedział się, że posiada „specjalne lokaty", które nie są widoczne po zalogowaniu.

Prowadzone w tej sprawie śledztwo wykazało, że Adriana J., będąc pracownikiem placówki partnerskiej Alior Bank SA, wprowadziła do obiegu podrobione dokumenty uwierzytelniające nielegalne operacje bankowe, a przestępstw miała dokonywać od lipca 2014 roku do sierpnia 2020 roku. W dniu jej zatrzymania wstępnie wyliczono, że straty klientów wynosiły ponad 700 tysięcy złotych, ale w toku prowadzonego śledztwa zgłaszali się kolejni oszukani i suma oszacowanych strat wzrosła do 2 milionów.

Stuprocentowe zaufanie?

Prokuratura ustaliła, że oszustka zakładała fikcyjne lokaty, podrabiając dokumenty, w tym potwierdzenia wpłat dla klientów, których nie wprowadzała do systemu bankowego.

Przelewała też pieniądze między rachunkami, wykorzystując telefony komórkowe pokrzywdzonych, żeby odbierać przesyłane im kody autoryzacyjne. Ofiarami byli przede wszystkim ludzie starsi, którzy przez lata darzyli swoją doradczynię zaufaniem. Adriana J. bywała również w ich domach i wysyłała świąteczne życzenia. Jeden z pokrzywdzonych zeznał:

– Lokowałem pieniądze w tym banku, bo miałem stuprocentowe zaufanie do pani Adriany i nie miałem wątpliwości, że nic nie stracę, a tylko zyskam.

Inna klientka tak bardzo nie mogła uwierzyć w przestępczą działalność swojej doradczyni bankowej, że na początku zaprzeczała podczas przesłuchania, że straciła pieniądze, bo „nie dopuszczała myśli, że mogła być oszukana przez panią Adrianę".

Alior Bank w dużej mierze wypłacił odszkodowania oszukanym klientom, ale nie wszystko odzyskali.

Po zatrzymaniu Adriana J. częściowo przyznała się do stawianych jej zarzutów i szczegółowo opisała mechanizm swojego działania.

– To byli przede wszystkim ludzie starsi, zazwyczaj emeryci, których zaufanie zdobywałam przez lata. Wykorzystywałam ich brak znajomości procedur bankowych i nieumiejętność korzystania z bankowości elektronicznej. Operacje, których dokonywałam, czyli zakładanie lokat oraz przelewy międzybankowe, nigdy nie były rejestrowane w systemie. Były przypadki, że klient chciał pobrać pieniądze ze swojego rachunku i wówczas generowałam dwa dokumenty wypłaty. Na jednym była kwota, jakiej sobie życzył klient, a na drugim znacznie wyższa. Podawałam dwa dokumenty do podpisania, co oznaczało, że dokonano dwóch wypłat.

Kobieta zapewniała, że nie okradała poszczególnych klientów z kwoty wyższej niż 50 tysięcy złotych. Przyznała jednak, że z uwagi na skalę tego procederu, nie panowała już nad tym, co robiła, i nie pamięta wszystkich operacji i zagarniętych kwot.

Pytana o motywy, wyjaśniła, że chciała pomagać ojcu, który wpadł w tarapaty finansowe.

Adriana J. pracowała na początku na stanowisku starszej asystentki, a później była doradcą klienta z funkcją kasjerki. Przez półtora roku zajmowała też kierownicze stanowisko. Według przełożonych była bardzo dobrym pracownikiem i lubianym przez klientów. Nigdy nie było na nią żadnych skarg. Była pracownica banku jest rozwódką, matką dwójki dzieci, nigdy dotychczas nie była karana.

Zgubna przyjaźń

Podczas pierwszej rozprawy oskarżona również częściowo przyznała się do oszustw i odmówiła składania wyjaśnień. Potwierdziła wszystko, co mówiła w śledztwie.

Zeznania składali zaś pokrzywdzeni przez nią klienci.

Świadek Anna G. pamięta, że jej „przygoda" z oskarżoną zaczęła się w 2014 roku.

– Miałam pewną sumę po sprzedaży nieruchomości, którą wpłaciłam do banku. Cały czas byłam pewna, że mam te pieniądze na koncie, bo ich nigdy nie wybierałam. Na konto wpływały jeszcze pieniądze z emerytury. Z tych bieżących wpływów coś wypłacałam, ale nie otrzymywałam nigdy żadnego potwierdzenia. Od czasu do czasu oskarżona dawała mi karteczkę z kwotą, jaką mam na rachunku. W 2020 roku było napisane, że mam 96 358 zł. Byłam trochę zdziwiona, bo kwota powinna być wyższa. Pani Adriana powiedziała mi wówczas, żebym się nie martwiła, bo niebawem wszystko będzie dopisane, łącznie z odsetkami. W rezultacie bank zwrócił mi chyba 12 tysięcy, bo uznano, że nie było moich podpisów na potwierdzeniach wypłat.

Świadek Zofia P.: – Kiedy dowiedziałam się z mediów o tej aferze, od razu poszłam do banku sprawdzić swoje oszczędności, bo miałam spore. To były pieniądze z całego mojego życia z różnymi odprawami i premiami jubileuszowymi, a także ze sprzedaży działki po rodzicach. Oniemiałam, gdy dowiedziałam się, że stan konta jest zerowy. Straciłam wszystko, ponad 163 tysiące złotych. Składałam reklamacje i bank zwrócił mi 100 tysięcy z trzech lokat terminowych, ale z rachunku oszczędnościowego już nie.

Kobieta opowiadała o kontaktach z oskarżoną.

– Zawsze byłam obsługiwana przez panią Adrianę. Była bardzo miła i grzeczna. Jak przychodziłam, to nawet dawała mi buziaka, którego teraz oceniam jako zdradziecki.

Świadek Lucyna W.:

– Chodziłam tylko do oskarżonej i tylko ona mnie obsługiwała. Można powiedzieć, że byłyśmy zaprzyjaźnione.

Świadek Barbara S.:

– Bywałam w tym banku co pół roku w celu wypłacania odsetek od lokat. Pani Adriana je wypłacała, ale nie dawała żadnego pokwitowania. To było bardzo dziwne, ale nie reagowaliśmy z mężem. Bywało też tak, że brała od nas telefon, coś z niego odczytywała i wprowadzała jakieś cyferki do komputera. Byliśmy zadowoleni, że nam pomaga. Ona chyba nas zauroczyła swoim urokiem osobistym.

Świadek Krzysztof M.:

– Wierzyliśmy, że wpłacone przez nas z żoną pieniądze ciągle dla nas pracują, a one zniknęły, jakby ich w ogóle nigdy nie było. W sumie ponad 12 tysięcy złotych. A tak się cieszyliśmy, że zajmowała się nami pracownica banku, która była bardzo sympatyczna i życzliwa... Pod koniec grudnia minionego roku zapadł w tej sprawie wyrok. Adriana J. skazana została na pięć lat pozbawienia wolności i musi także zapłacić grzywnę w wysokości 15 tysięcy złotych. Zdaniem sądu oskarżona dopuściła się czynu ciągłego, a jej działanie było wszechstronne i ukierunkowane na zagarnięcie pieniędzy klientów, którzy darzyli ją wręcz bezgranicznym zaufaniem.

– Oskarżonej nie powstrzymało nawet ujawnienie procederu przez bank, skierowanie jej na urlop oraz zakaz wchodzenia do placówki. Na jej niekorzyść przemawia też fakt, że wykonywała przez lata pracę zaufania publicznego, pełniąc także kierownicze stanowisko.

W żadnej mierze nie mogą usprawiedliwiać tego procederu motywy podane przez oskarżoną, czyli trudności finansowe ojca i jego znaczne długi – uzasadniał wyrok sędzia Sławomir Cyniak.

Sąd znalazł jednak okoliczności łagodzące. To przyznanie się w znacznej części do winy oraz szczere i obszerne wyjaśnienia opisujące mechanizm jej działania.

Apelację złożył obrońca oskarżonej i sprawa będzie teraz rozpatrywana przez sąd wyższej instancji.

Przestępstwo popłaca

Starsza pani chciała sprzedać mieszkanie na warszawskich Bielanach. Zawierzyła panu mecenasowi. Dała mu odpowiednie pełnomocnictwo notarialne.

Ten wraz ze wspólnikiem – policjantem – najpierw przeniósł panią do posiadanego przez siebie mieszkania przy ulicy Filtrowej, żeby tym swobodniej pokazywać puste już mieszkanie potencjalnym kupcom. Wreszcie sprzedał lokal, ale właścicielce nie dał ani grosza. Ona jednak bardzo długo nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Ostatecznie jej sprawą zajmował się nie byle kto – mecenas i jego wspólnik policjant. Bez szemrania zabrała się więc do remontowania lokum, w którym ją umieszczono, a które wymagało generalnego remontu. Tymczasem pan mecenas sprzedał lokal przy ul. Filtrowej siostrze swego wspólnika, policjanta.

Mecenas siedzi, bo w podobny sposób oszukał już wiele innych osób. Policjant też jest skazany. Ale to nie przeszkadza jego siostrze eksmitować starszą panią, ofiarę oszustwa popełnionego przez jej brata i byłego mecenasa. Eksmisję wyznaczono na 6 kwietnia. Tak oto szajka oszustów, która okradła kobietę, ma teraz „w majestacie prawa" wyeksmitować ją na bruk. Ktoś powie naiwna, cierpi z powodu własnej głupoty. Ale czy na pewno? To kobieta w starszym wieku. To pokolenie wierzy jeszcze, że adwokat i policjant to zawody zaufania publicznego. Nie mieści im się w głowie, że mogliby popełnić przestępstwo.

System, którym tak zręcznie posługują się przestępcy, jest wobec nich bezradny. Starszej kobiecie oczekującej na eksmisję towarzyszył inny poszkodowany przez byłego już mecenasa. Sąd zdecydował, że oszust ma mu zapłacić odszkodowanie w kwocie 270 tys. zł. I co z tego, skoro człowiek, który wyłudził od ludzi miliony złotych, oficjalnie niczego nie ma, bo zdążył swe łupy zabezpieczyć? Po połowie kary wyjdzie za dobre sprawowanie i będzie się cieszył zrabowanymi pieniędzmi, podczas gdy jego ofiary pozostaną gołe i bose. A sądy cywilne zgodnie z prawem orzekają eksmisję ofiary przestępstwa na żądanie siostry przestępcy. Powiecie, to siostra, ona nie musi być winna. Nie musi, ale jest, skoro bierze udział w machinacjach swego brata oszusta, byłego policjanta.

Uzależniony informatyk

Pod koniec ubiegłego roku Sąd Apelacyjny w Krakowie utrzymał wyrok pierwszej instancji wobec informatyka, który ukradł z Banku Spółdzielczego w świętokrzyskim Chmielniku ponad milion złotych. Wcześniej kielecki sąd skazał Radosława S. na karę czterech lat i ośmiu miesięcy pozbawienia wolności oraz zobowiązał go do naprawienia szkody wyrządzonej bankowi.

Skazany mężczyzna przez kilka lat pracował jako informatyk, zajmując się obsługą i kontrolą systemu teleinformatycznego oraz wdrażaniem nowych aplikacji i programów. Znał doskonale zabezpieczenia bankowe i miał na ten temat dużą wiedzę i szerokie uprawnienia. Wiedział, że wykonując jakikolwiek przelew w systemie finansowo-księgowym, ma możliwość zdjęcia tzw. blokady środków, bo przelew przed zaksięgowaniem był pokrywany wcześniej z rachunku technicznego banku. Później należało tylko skasować wszystkie transakcje przypisane do swojej karty i nie było po nich już żadnego śladu.

Oszustwo wyszło na jaw, gdy podejrzeń nabrała główna księgowa placówki. Radosław S. początkowo nie przyznawał się do oszustw, ale śledztwo wykazało coś zgoła innego. Według prokuratury wykonał prawie dwa tysiące nielegalnych transakcji. Przed sądem tłumaczył zaś, że jest uzależniony od hazardu – grał nałogowo na automatach. W ciągu jednego wieczora potrafił przegrać ogromne pieniądze. Brał zatem pożyczki w parabankach i miał już na głowie komornika.

– Początkowo grałem, żeby uzupełnić budżet, a później traktowałem to jako rozrywkę. Nie mogłem się powstrzymać. W pracy też grałem z nudów w loterie internetowe. Dziennie potrafiłem stracić nawet 40 tysięcy złotych – wyjaśniał.

Gdy został zatrzymany, miał jeszcze prawie 90 tysięcy złotych, których nie zdążył przegrać.

JACEK BINKOWSKI

PS Dane klientów i świadków zostały zmienione.

Angora nr 12/2023

Minęły już czasy, kiedy przestępcy zakopywali łupy w ogródku. Oni je inwestują w nieruchomości. Trzeba tylko, żeby się znalazł uczciwy, pracowity prokurator, który idąc śladem pieniędzy, odnajdzie majątek pochodzący z serii oszustw. Bo nie wystarczy oszusta zamknąć.

Trzeba odzyskać to, co zrabował, wyłudził, ukradł. W przeciwnym razie będziemy wciąż żyli w kraju, w którym przestępstwo popłaca.

Piotr Ikonowicz

Angora nr 12/2023

Tajemnice zbrodni w łódzkim pogotowiu

Łowcy skór

23 stycznia 2002 roku dziennikarze „Gazety Wyborczej" i Radia Łódź ujawnili, że pracownicy łódzkiego pogotowia przez wiele lat masowo sprzedawali informacje o zgonach pacjentów zakładom pogrzebowym, zarabiając przy tym olbrzymie pieniądze – o wiele większe niż dzięki pracy w karetce. Zakłady pogrzebowe powiększały potem cenę pogrzebu o kwotę przekazanej medykom łapówki.

By zwiększyć zysk, lekarze, sanitariusze i dyspozytorzy opóźniali też udzielenie pomocy chorym, a czasem w ogóle nie ratowali pacjentów. Co najbardziej wstrząsające, część medyków zabijała również pacjentów, wstrzykując w ich żyły m.in. zwiotczający mięśnie pavulon. Zbrodnia wydawała się doskonała, bo lek szybko znika z organizmu i jest praktycznie niewykrywalny w zwłokach. Dziś jeden ze współautorów głośnego reportażu – Tomasz Patora *– wraca do tej sprawy. W książce „Łowcy skór. Tajemnice zbrodni w łódzkim pogotowiu" opisuje kulisy śledztwa i ujawnia nieznane dotąd przerażające fakty. Między innymi ogromną liczbę potencjalnych ofiar zabójców z pogotowia oraz przyczyny, dla których politycy oraz środowisko lekarskie robili wszystko, by jedną z największych afer w Polsce zamieść pod dywan.*

Z czasem w pogotowiu procedurom przestała podlegać dystrybucja leków. Nadzór stał się fikcją, szczególnie w centrali. Jedyny znany mi wyjątek dotyczył leków o działaniu narkotycznym (dolarganu, morfiny), których pobór z apteki ściśle kontrolowano. Tymczasem w wypadku wszystkich innych leków badano wyłącznie to, czy pod przyniesioną do magazynu receptą znajduje się pieczątka lekarza (...). Tyle że wielu lekarzy koncentrowało się na tym, co przynosi zysk – handlu skórami (...). Sanitariusz Karol Bereś zrobił kiedyś eksperyment, o którym było głośno w pogotowiu. By wykazać, że lekarze podpisują na receptach wszystko, podsunął jednemu z nich recepturiusz, na którym wśród różnych leków wpisał pozycję: „bułka z masłem". „Doktor, podstempluj" – powiedział. Lekarz bez wahania przybił pieczątkę. Kolega Beresia, sanitariusz Nowicki mówił, że ten lekarz „podpisałby nawet własną kartę zgonu" (...).

Kierowniczka apteki jako pierwsza zwróciła uwagę anestezjologowi Januszowi Morawskiemu na dziwnie duże zużycie niektórych potencjalnie niebezpiecznych środków: chlorku potasu i leków zwiotczających mięśnie – pavulonu i skoliny. Wszystkie trzy leki łączy kilka cech: są bardzo tanie, mają nikłe zastosowanie w pogotowiu i niezwykle trudno wykryć je w organizmie. Co więcej, ich zużycie nie rozkładało się równomiernie: chlorek potasu i skolinę pobierała głównie jedna z karetek reanimacyjnych. Amatorów pavulonu było więcej – korzystało z niego kilkanaście zespołów – ale szczególnie dużo leku zużywały cztery załogi, a kosmiczne ilości pobierała jedna z nich, wypadkowa W-1.

Doktor Morawski dostał raport w środę po południu i już w piątek zameldował się u dyrektora pogotowia. Przekazał Ryszardowi Lewandowskiemu wydruk i w żołnierskich słowach powiedział mu, co to oznacza. – Odniosłem wrażenie, że nie był zaskoczony, ale się przeraził – wspominał Morawski. – Po weekendzie jego postawa radykalnie się zmieniła. To było w praktyce polecenie: powiedział, że nie widzi w obrocie lekami żadnych nieprawidłowości i zasugerował, żebym przestał zajmować się tą sprawą.

Morawski nie posłuchał dyrektora: w tych dniach nie wychodził ze stacji – palił i czytał. Zaczął od przeglądania kart wyjazdów karetek do poszczególnych pacjentów. Najpierw bieżących, potem sięgnął po archiwalne, szukając w wykazach zużytych środków medycznych podejrzanych leków. Przejrzał dokumentację około dziesięciu tysięcy pacjentów, ale śladowa liczba wpisów świadczących o podaniu pacjentom skoliny i chlorku potasu nijak się miała do ilości rzeczywiście pobranych leków. Z pavulonem sytuacja była jeszcze bardziej dramatyczna (...). W okresie od 1 grudnia 1997 roku do 1 grudnia 2000 roku pobrano aż 632 fiolki pavulonu. Gdy porównać dane z dokumentacją pacjentów, okazuje się, że oficjalne zużycie było w miarę stałe i wynosiło zaledwie kilkanaście ampułek rocznie. W poborze leku przodowały trzy załogi wyjazdowe karetek W-1, W-2 i R-7, choć zarzut dotyczył wielu innych zespołów. Zniknęło też około 200 fiolek skoliny – tu wszelkie tropy prowadziły z kolei do zespołu R-6 – oraz co najmniej tyle samo fiolek chlorku potasu.

Wiedzieliśmy, że leki, które zniknęły, były kompletnie nieprzydatne na potencjalnym czarnym rynku. Założenie, że ze wszystkich ampułek w karetce bez przerwy tłukły się wyłącznie te z pavulonem, ze skoliną i z chlorkiem potasu, również było absurdalne.

Niedługo później można było zderzyć powyższe wyniki z porównaniem liczby zgonów podczas udzielania pomocy przez poszczególne zespoły wyjazdowe pogotowia. Analiza obejmowała dość wąski okres, bo specjaliści nie byli w stanie w krótkim czasie przejrzeć setek tysięcy kart dokumentacji, ale zebrane dane były jeszcze większym szokiem. Okazało się, że w ambulansach, których obsady zużywały najwięcej podejrzanych leków, pacjenci umierali najczęściej. Od początku 2001 roku do końca sierpnia 2001 trzy zespoły wyjazdowe W-1, W-2 i R-6 odnotowały w sumie tyle samo zgonów co pozostałe wszystkie dwadzieścia cztery w łódzkim pogotowiu (...).

Zebranie faktów w całość oznaczało, że w pogotowiu zostało zamordowanych grubo ponad tysiąc osób!

Wszystko, co zaplanowano na tamten piątkowy wieczór oraz sobotni poranek, miało pomóc mu pęknąć. Gdy policjanci podjechali przed blok przy ulicy Zagranicznej, wieloletni sanitariusz łódzkiego pogotowia, teraz bezrobotny bez prawa do zasiłku, Nowicki, znany pod pseudonimami Koń, Doktor Ebrantil i Mengele, stał przed klatką schodową i dopijał ente tego dnia piwo.

Pił na tyle dużo i ostentacyjnie, że poza „wątpliwymi zgonami" w karetce to właśnie z picia był w pogotowiu znany (...).

Kluczowe dla zrozumienia tego, co wydarzyło się później, jest wejście w głowę podejrzanego sanitariusza. Najpierw setki dni od wybuchu afery spędzone na rozmyślaniach: „złapią, nie złapią?", potem zatrzymanie połączone z serią czynności, między innymi przeszukaniem (...). Być może też – nie mam na to żadnych dowodów, choć wykluczyć tego nie sposób – słówko na temat tego, co będzie dalej i co powinien zrobić, szepnął Nowickiemu któryś z policjantów asystujących mu od poprzedniego wieczora.

Nowicki czasu miał mało i nie poprosił o pomoc prawnika. Przede wszystkim zaś – choć działo się to zgodnie z prawem – jego jedyne narzędzie do oceny sytuacji, czyli zdrowy rozum, mogło nie działać zbyt sprawnie. Jak sam powiedział na drugi dzień po zatrzymaniu: „Pierwszy raz od kilkunastu miesięcy byłem trzeźwy". Po kilku miesiącach dodał, że tego dnia miał „wielkiego kaca" (...).

W sobotę 14 czerwca 2003 roku oświadczył, że chce składać wyjaśnienia, i zaczął mówić.

„Trudno mi sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy podałem pacjentowi pavulon, ale podałem go co najmniej dziesięciu pacjentom, w domu albo w karetce. Na pewno jednym z pierwszych był przypadek podczas transportu pacjentki do Szpitala im. Kopernika w Łodzi. Starsza pani miała duszności, była przewożona w pozycji siedzącej, miała założony wenflon (...). W pewnym momencie siedzący z przodu lekarz Kolski kiwnął do mnie znacząco głową. Owo skinienie odebrałem jako zachętę do podania pavulonu.

Podanie pavulonu odbyło się przez wenflon (...). Substancja działała od podania do śmierci mniej więcej pięć minut. Po podaniu po upływie około pół minuty pacjentka zaczęła być niespokojna, coś krzyczała, zaczęła zdzierać maskę tlenową, w końcu ją zdarła. Zaczęła się prężyć i dusić (...). W pewnym momencie powiedziałem do Kolskiego: »Doktor, zobacz, coś się dzieje z pacjentką«. Dziś trudno mi powiedzieć, dlaczego go wołałem, ale myślę, że były to jakieś resztki wyrzutów sumienia albo chęć podzielenia się – w pewnym sensie – odpowiedzialnością. Kolski kazał się zatrzymać, przeszedł do tylnej części karetki i – jak pamiętam – nie podjął żadnych czynności ratunkowych. Tak jakby czekał, aż pacjentka umrze. Pacjentka cały czas siedziała. Nie ruszała się. Umarła albo umierała. Kolski osłuchał ją słuchawką, sprawdzał jeszcze źrenice kobiety, upewniając się, że nie żyje. Żadnych jednak czynności nie podejmował, powiedział do kierowcy Marka: »Chodź, położymy ją na nosze«" (...). Karetka pojechała ze zwłokami przed dom zabitej kobiety, gdzie sanitariusz Nowicki poinformował jej męża o zgonie. Od razu zaproponował przy tym zrozpaczonemu mężczyźnie „przewiezienie zwłok do chłodni". Zespół łaskawie zgodził się zabrać wdowca na pokład karetki z ciałem żony i pojechał do firmy Czarna Róża. „Zachowywałem się wtedy jak aktor: wyrażałem wyrazy współczucia i go uspokajałem" – opisywał Nowicki. Po zawiezieniu zwłok do chłodni odebrał z zakładu 1000 złotych, pieniędzmi podzielił się jak zwykle z kierowcą, lekarzem i dyspozytorem.

Tomasz Patora

Angora nr 6/2023

PRENUMERATA to nasza specjalność od 1997 r.

- bez żadnych dodatkowych kosztów!
- prosto do skrzynki!
- **tanio i wygodnie!**
- ponad 250 tytułów!
- prenumerata na prezent!

www.prenumerata.de

Chcecie, to wierzcie

Zjawiskami, których oficjalna nauka nie potrafi wytłumaczyć, zajmują się jasnowidze

Wiedza tajemna

Historia nauki pełna jest błędów, które niemal w naturalny sposób ulegały korygowaniu w drodze postępu i coraz większych możliwości technologicznych. W obecnym stuleciu wiedza stoi na tak wysokim poziomie, że tylko zagadki Kosmosu wydają się jeszcze nie w pełni rozwiązane. Być może w ten sam śmiały sposób myślano już w średniowieczu, ale na szczęście głód wiedzy pozostaje dla człowieka nigdy niezaspokojony. Dysponując zaawansowaną technologią, współczesna nauka może badać atomy, rozbijać je na mniejsze części, zaglądać w głąb Ziemi i poza Układ Słoneczny. Nie wszystko jednak można dostrzec szkiełkiem i okiem.

Istnieje dziedzina wiedzy, której tajniki pozostają wciąż niezgłębione i niezrozumiałe. Parapsychologia zajmuje się badaniem zjawisk przeczących powszechnym prawom fizyki, biologii i innym policzalnym faktom. Mimo że zjawiska paranormalne czy anomalie przyrodnicze zdarzają się niezwykle rzadko, a ich charakter wzbudza wiele kontrowersji i podejrzeń, trudno zaprzeczyć ich występowaniu.

Magiczni „naukowcy”

W odległych czasach zagadnienie kojarzone było z magią i okultyzmem, które w kulturach pogańskich i plemiennych zastępowały, a raczej poprzedzały naukę. Rolę dzisiejszych naukowców odgrywali najczęściej druidzi, wróżbici i astrologowie, którzy przez wzgląd na swoje rzekomo magiczne zdolności stanowili autorytet w lokalnym środowisku. Prawdy głoszone przez ówczesnych „naukowców” nierzadko miały odzwierciedlenie w zjawiskach astronomicznych; potrafili np. przewidzieć zaćmienie Słońca czy kataklizm, dzięki czemu zyskiwali wiarygodność w oczach pospólstwa i władców. W okresie średniowiecznej chrystianizacji i inkwizycji wszelkie przejawy magii, a nawet nauk niezgodnych z doktryną Kościoła były skutecznie zwalczane, co nie wpłynęło korzystnie na rozwój wiedzy. Dopiero epoka renesansu nadała nauce nowy i wyjątkowo owocny bieg, a przy tym umożliwiła praktykowanie i badanie wiedzy tajemnej.

Zainteresowanie astrologią, wróżbiarstwem, kabałą i wieloma innymi dziedzinami tzw. białej magii odrodziło się na przełomie XV i XVI wieku w Europie za sprawą renesansowych uczonych dopatrujących się związku pomiędzy życiem człowieka a siłami przyrody i Kosmosu. Astrologią zajmowali się m.in. tak wybitni uczeni, jak Galileusz czy Kopernik, dla których obie gałęzie ówczesnej nauki (astrologia i astronomia) wyrastały z jednego pnia. Nikogo wówczas nie dziwił fakt układania horoskopów przez wybitnych przedstawicieli nauki; co więcej, z efektów ich pracy nierzadko korzystały głowy państwa i Kościoła.

Z usług Nostradamusa korzystała królowa Katarzyna Medycejska Fot. Wikipedia

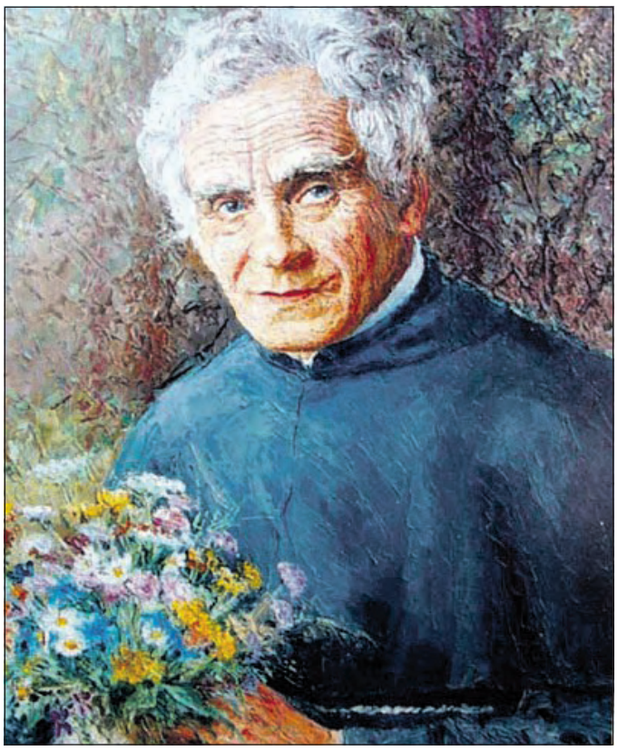

Ojciec Klimuszko przewidział wybór Wojtyły na papieża Fot. klimuszko.pl

Kontrowersyjną postacią XVI-wiecznej nauki i nurtu okultystycznego był niemiecki alchemik Heinrich Cornelius Agrippa, którego uważa się za pierwowzór postaci Fausta z dramatu Goethego. Agrippa był wszechstronnie wykształconym człowiekiem, który obok powszechnych dziedzin nauki interesował się kabałą i magią naturalną, których filozofię opisał w trzech tomach *De occulta philosophia libri*, wydanych po raz pierwszy pomiędzy 1531 a 1533 rokiem. Pisma Agrippy przybliżają teoretyczny związek magii i religii oraz metody wykorzystania tych relacji w medycynie, alchemii i praktykach wróżbiarskich. Z filozofią głoszoną przez Heinricha Corneliusa sympatyzowało wielu badaczy natury w kontekście magii i religii.

Jasnowidzenie to poważna sprawa

Jedną z najbardziej popularnych i wciąż praktykowanych dziedzin wiedzy tajemnej jest jasnowidzenie, często mylone lub łączone z wróżbiarstwem. Różnica jest w zasadzie niewielka, przy czym wszelkiego rodzaju wróżby kojarzone są raczej z magią, natomiast jasnowidzenie jest gałęzią parapsychologii, traktowane z nieco bardziej pragmatycznym podejściem. Nauka od wieków stara się zgłębić naturę jasnowidzenia, co jest procesem niezwykle trudnym, niedającym się zbadać konwencjonalnie, np. w laboratorium czy też na drodze eksperymentów fizycznych. Faktem jest, że znane są osoby posiadające dar przewidywania zdarzeń lub pozazmysłowego postrzegania w czasie i przestrzeni. W odróżnieniu od wróżbitów jasnowidze nie korzystają z rzekomo magicznych przedmiotów typu kryształowa kula, karty tarota czy kości; swoje nadnaturalne zdolności objawiają głównie w procesach myślowych. Ich wizje najczęściej ukazują się podczas snu, transu albo wymuszonego skupienia, kiedy starają się zlokalizować osobę lub przedmiot w przestrzeni. O tym, że jasnowidzenie traktowane jest w świecie nauki z powagą, świadczyć może fakt korzystania z pomocy jasnowidzów przez policję w prowadzonych śledztwach lub poszukiwaniach zaginionych osób. Choć na całym świecie znane jest mnóstwo przypadków, w których współpracujący z organami ścigania jasnowidze precyzyjnie wskazują miejsce ukrycia zwłok lub przetrzymywania porwanych osób, ich udział w śledztwie ma raczej nieoficjalny charakter.

Jak dotąd w badaniach naukowych nie udało się wskazać czy też udowodnić związku domniemanych zdolności jasnowidza ze skutecznością jego działań w odniesieniu do rzeczywistości. Przeprowadzono wiele eksperymentów, które potwierdzają tezę o „rachunku prawdopodobieństwa” w procesie jasnowidzenia. Niezależnie od liczby trafionych i nietrafionych

Chcecie, to wierzcie

przypadków przewidywań świat nauki nie jest w stanie podważyć faktu występowania tego typu zjawisk i jednoznacznie przypisać im znamion oszustwa.

Ponure wizje przyszłości

Jednym z najsłynniejszych jasnowidzów w historii był żyjący w XVI-wiecznej Francji astrolog Nostradamus, z którego usług korzystała sama królowa – Katarzyna Medycejska. Słynne *Centurie* Nostradamusa zawierające często apokaliptyczne przepowiednie dla świata są dziś najczęściej interpretowanymi proroctwami, w których zwolennicy wiedzy tajemnej dopatrują się ścisłego związku z historycznymi wydarzeniami. Francuskiemu astrologowi przypisuje się trafne przewidzenie zarówno globalnych wydarzeń, np. wybuchu drugiej wojny światowej, jak również osobistych tragedii wpływowych osób, np. śmierci księżnej Diany. Sceptycy raczej ostrożnie podchodzą do przepowiedni Nostradamusa, tłumacząc, że tak obszerne i poetyckie deskrypcje przyszłości łatwo nadinterpretować. Można podejrzewać, że Nostradamus i wielu innych znanych jasnowidzów opierało swoje proroctwa na przepowiedniach znanych im choćby z biblijnej Apokalipsy św. Jana lub dorobku żyjących wcześniej jasnowidzów. Analizując ponure wizje przyszłości wskazane przez żyjących w różnych okresach wizjonerów, można wyciągnąć z nich wspólny mianownik w postaci nieuchronnej zagłady świata i poprzedzających ten koniec katastroficznych wydarzeń.

Apokaliptyczne wizje niedalekiej przyszłości przewijają się również w przepowiedniach polskiego mistyka – ojca Klimuszki, który miał przewidzieć wybór Wojtyły na papieża. Proroctwa zmarłego w 1980 roku franciszkanina nie są tak dalekosiężne jak Nostradamusa, a ich odzwierciedlenie w zdarzeniach mających miejsce jeszcze za jego życia mogło wynikać zarówno z doskonałej intuicji, jak i rzekomych zdolności parapsychologicznych. Wizje Klimuszki niemal podręcznikowo sugerują rychły koniec starego porządku świata w wyniku totalnej wojny i kataklizmów.

Motyw końca świata jest pewnego rodzaju lękiem zaszytym głęboko w ludzkiej świadomości. We wszystkich kulturach można spotkać się z proroctwami opisującymi, jak będzie wyglądać dzień zagłady, a w bardziej śmiałych przewidywaniach doszukać można się również konkretnej daty. Szczęśliwie jak dotąd żaden z zapowiadanych końców świata nie nastąpił, ale sam fakt podejmowania prób jego przewidzenia stanowi ciekawy przedmiot badań naukowych.

Heinrich Cornelius Agrippa był alchemikiem, ale interesował się kabałą i magią
Fot. Wikipedia

Tajemniczy dar uzdrawiania

Jasnowidzenie w zakresie przewidywania przyszłości jest mało precyzyjne, a z naukowego punktu widzenia nieścisłe. Żadna przepowiednia nie jest w stanie określić szczegółowo czasu, miejsca i przebiegu mającego według niej nastąpić zdarzenia. Nawet najlepszy jasnowidz nie potrafi przewidzieć wyników rozgrywek sportowych czy zestawu zwycięskich liczb na loterii. Te argumenty są doskonałą pożywką dla sceptyków podważających nadprzyrodzone zdolności przepowiadaczy przyszłości.

Jak dotąd niewyjaśnioną zagadką zdają są „cudowne" zdolności uzdrowicieli, którzy nie mając wykształcenia medycznego, potrafią skutecznie pomagać nawet nieuleczalnie chorym. Uzdrowiciele, podobnie jak jasnowidze, utrzymują, że posiedli tajemniczy „dar", który pozwala im dokonywać rzeczy nieosiągalnych dla zwykłego człowieka. Przypadki cudownych uzdrowień, a nawet wskrzeszania zmarłych znane były już w starożytności, choć są trudne do zweryfikowania z uwagi na poziom ówczesnej medycyny.

Większość przypadków cudownych uzdrowień ma związek z kultem religijnym, a uzdrowiciel odgrywa rolę pośrednika. Trudno zaprzeczyć faktom, że takie przypadki mają miejsce, ale ich liczba jest znikoma w stosunku do osób, które oczekują skuteczności w leczeniu pozamedycznym. Pod koniec lat 80. ubiegłego wieku niezwykłą popularnością cieszył się rosyjski uzdrowiciel Anatolij Kaszpirowski, któremu przypisywano zdolność zbiorowego uzdrawiania, nawet za pośrednictwem transmisji telewizyjnej. Rosjanin był zawodowym psychiatrą i psychoterapeutą; jego metoda leczenia opierała się na hipnozie, której wielu uczestników seansów przypisywało niezwykłą skuteczność. Nie przeprowadzano jednak wiarygodnych badań, które potwierdzałyby wpływ terapii Kaszpirowskiego na leczenie chorób, ale udowodniono mu za to szkodliwość seansów prowadzących do problemów psychicznych rzekomo uzdrowionych ludzi.

W przypadku jasnowidzów, uzdrowicieli i innych przedstawicieli paranauki trudno jest jednoznacznie stwierdzić, czy ich zdolności wynikają z nich samych, czy może tylko przypisują im je ludzie, którzy wierzą w efekty ich działalności. Człowiek podatny na sugestie – a tym bardziej człowiek o niewielkiej wiedzy – daje się łatwo przekonać do narzuconych mu racji i często nie potrafi samodzielnie ocenić faktów.

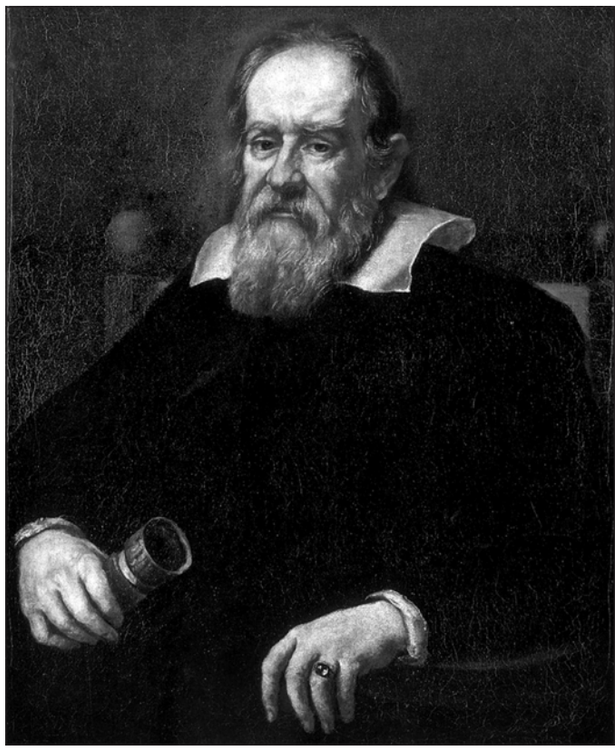
Galileusz również zajmował się astrologią Fot. Wikipedia

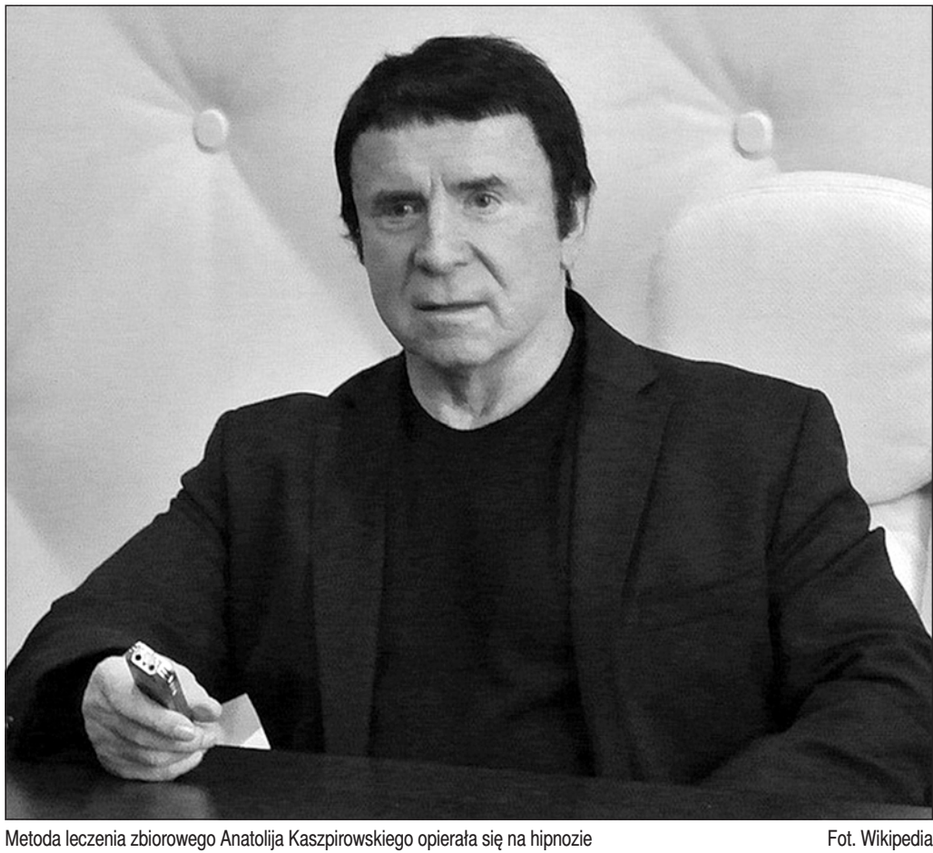
Metoda leczenia zbiorowego Anatolija Kaszpirowskiego opierała się na hipnozie Fot. Wikipedia

Marek Regner

„Książka dla ludzi mądrych", Warszawa 2020, s. 160.

Szczecińska tragedia

Haus Ponath, Karel Gott, pierwszy striptiz i...14 spalonych ofiar

Kaskada w ogniu

Kaskada została wybudowana w 1929 roku i nosiła wtedy nazwę Haus Ponath Fot. internet

Tamtej kwietniowej nocy alkohol lał się w Kaskadzie strumieniami, a rozbawieni goście odpalali papierosa od papierosa. W szczecińskim Kombinacie Gastronomicznym gospodarczej zapaści kraju nie było jeszcze widać.

Po wielu latach czekania nareszcie możemy robić zakupy w nowej Kaskadzie. I bardzo dobrze. Przy tej okazji warto jednak przypomnieć stary budynek, który swoje życie zakończył w dramatyczny sposób w kwietniu 1981 roku. Niezwykły gmach powstał o wiele wcześniej, na fali ostrej konkurencji dwóch firm walczących o serca dawnych szczecinian. A było to tak...

Rok 1929 zapisał się w historii niemieckiego Stettina kilkoma ważnymi wydarzeniami. Między innymi, niedaleko od siebie, bo w odległości zaledwie 10 min spacerem lub jednego przystanku tramwajem nr 3, otwarto dwa potężne obiekty w niespotykany do tej pory sposób łączące ze sobą handel i rozrywkę. Oba budynki były jak na tamte czasy bardzo duże i bardzo nowoczesne. Dla starszych wiekiem mieszkańców nawet zbyt szokujące, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę to, co znajdowało się w środku.

Przy Paradeplatz 60 (aleja Niepodległości) otwarto opisywany wcześniej UFA-Palast. Na parceli u zbiegu Bismarckstrasse 29 (ulica Obrońców Stalingradu) oraz Paradeplatz powstało konkurencyjne wielkie centrum rozrywkowe. Inwestorem był biznesmen Heinrich Ponath, stąd najczęściej używana nazwa Haus Ponath, choć pierwotnie planowano wykorzystanie tradycyjnej nazwy Café Bismarck (później zmieniono na Kaffe Bismarck i taki też napis widniał na ścianie budynku).

Tu również na kolejnych kondygnacjach połączono ze sobą różne restauracje, kawiarnię, doskonałą piwiarnię, winiarnię, sale gier oraz trochę tajemnicze z nazwy pokoje zabaw. Zadbano też o ultranowoczesny wystrój wnętrz, parkiety do tańczenia i oryginalną scenę dla zespołów muzycznych lub kabaretowych.

Formalnie budynek Haus Ponath powstał w wyniku przebudowy istniejącej tu wcześniej kamienicy. Na zachowanych starych zdjęciach i pocztówkach z przełomu XIX i XX wieku nie była ona nawet specjalnie w złym stanie, ale widać chęć otwarcia lokalu rozrywkowego w tak dobrej lokalizacji miasta była na tyle duża, że inwestor zdecydował się na wyburzenie starych murów i postawienie całkiem nowego gmachu. Trudno zrozumieć, jak udało się to ukryć pod nazwą „przebudowa", skoro nowoczesna konstrukcja Haus Ponath opierała się na modnym w latach 20. minionego wieku żelbecie wypełniającym specjalny szkielet, którego ani śladu nie mogło być w dawnej kamienicy. Cóż, i dziś słyszymy o podobnych „cudach", być może sto lat temu było podobnie.

Miejsce, w którym stał Haus Ponath, było rzeczywiście dość wyjątkowe, bo proszę pamiętać, że tuż obok znajdował się najpopularniejszy po słynnej Sedinie, a politycznie najbardziej poprawny, duży pomnik Cesarza Wilhelma na koniu. Monument przetrwał wojnę i zniszczono go dopiero po jej zakończeniu, natomiast budynek Haus Ponath ucierpiał już podczas alianckich bombardowań w 1944 roku. Na szczęście solidna żelbetowa konstrukcja okazała się nad wyraz mocna i całość nadawała się do odbudowy.

Niedługo po wojnie po dość prowizorycznych pracach otwarto tu na krótko szczeciński Dom Towarowy. Pod koniec lat 50. zapadła decyzja o przebudowie dawnego Haus Ponath na „kompleksowy lokal rozrywkowy". Oficjalnie nową Kaskadę otwarto w 1962 roku. I tak w szarych czasach gomułkowskiego PRL-u Kaskada jaśniała blaskiem dewizowego lokalu tajemniczego portowego miasta na zachodnich rubieżach Polski. Miejsce stało się szybko bardzo popularne i sławne w całym kraju. Tu występowali najlepsi artyści, wśród nich takie sławy, jak: Karel Gott, Helena Vondráčková, Ałła Pugaczowa, Czerwone Gitary, Irena Santor, Anna Jantar, Czesław Niemen i Jerzy Połomski. Tu w 1965 roku odbył się oficjalnie... pierwszy striptiz! Tu zjeżdżały się też na gościnne występy dewizowe panienki z całej Polski. Niepisaną zasadą lokalu było to, że nie miały one wstępu do najważniejszej Sali Kapitańskiej, za to bez problemu mogły czekać na klientów na piętrze, na tak zwanym Rondzie.

Roman Czejarek

„Sekrety Szczecina", Łódź 2014, s. 128.

Pierwsze ofiary pożaru

Nad ranem w poniedziałek 27 kwietnia ucichły dźwięki muzyki i podniesione głosy podchmielonych gości. O godzinie 8.00 – po krótkiej nocy – Kaskada się budziła. O tej porze w „Kaśce" – jak kombinat przezwali szczecinianie – powinno znajdować się 41 osób, ale sporo z nich utknęło gdzieś w korkach ulicznych lub dopiero wychodziło z domów. Kilkunastominutowe spóźnienia były tu tolerowane. Dlatego też o ósmej w budynku było zaledwie 21 osób, głównie sprzątaczki. Warczały odkurzacze, w kuchni zmywano brudne naczynia, które na stolikach pozostawili ostatni goście. W jednej z sal Kaskady zebrali się uczniowie klasy IIIc z Zespołu Szkół Gospodarczych imienia Mikołaja Reja, którzy tu odbywali praktyki zawodowe.

Historia zapisała ich imiona i nazwiska. Beata Tokarska mogła mieć przy sobie pracę dyplomową „Rola witamin w żywieniu", którą ręcznie wykaligrafowała na kartkach formatu A4. Elżbieta Grysikiewicz tego dnia zabrała z domu 500 złotych na zakup srebrnego pierścionka. A ponadto miała przy sobie otrzymane od babci pieniądze na opłacenie rachunku telefonicznego. Małgorzata Kondracka zamierzała opowiedzieć koleżankom wrażenia z niedzielnej wycieczki do Siekierek.

Wymienione wyżej uczennice, ich koledzy Waldemar Cyż i Tomasz Berger oraz koleżanka Danuta Domagalska z Dąbia nie będę się męczyć. Błyskawicznie stracą przytomność i wkrótce potem umrą zatruci fosgenem – toksycznym gazem wydzielanym przez płonące tworzywa, z których wykonano meble i wystrój Kaskady.

Żar wyginał znaki drogowe

Pierwsza ogień zauważyła Genowefa Bonter sprzątająca Salę Kapitańską na parterze. Najpierw na plecach poczuła falę ciepła. Czyżby – pomyślała – już tak mocno grzało kwietniowe słońce? Nie, to niemożliwe. Za wcześnie. Gdy po chwili się odwróciła, zamarła. Płomienie sięgały już sufitu. Próbowała jeszcze wyrwać z gniazdka przewód odkurzacza, ale to jej się nie udało. Krzycząc: „Pani Wando, pali się!", pobiegła do portierni. Nazwiska Bonter nie znajdziemy na liście pracowników Kaskady, którzy zginęli. Pani Genowefa przeżyła, ale płomienie pochłonęły jej torebkę, po którą – na szczęście – nie odważyła się

Szczecińska tragedia

wrócić. A tam znajdowały się jej skromne oszczędności, za które tego dnia zamierzała kupić dla wnuka prezent pierwszokomunijny.

Straż pożarna została poinformowana o pożarze o godzinie 8.07. Pierwsze wozy były na miejscu po kilku minutach. Trzy minuty później dowódca akcji został zmuszony do wycofania dwóch wozów strażackich. Powodem była bardzo wysoka temperatura bijąca od palącej się Kaskady. Zapaliły się rosnące przed budynkiem drzewo i dwa zaparkowane na ulicy Obrońców Stalingradu samochody. Od żaru wyginały się znaki drogowe ustawione prawie 20 metrów od „Kaśki".

Przez okno z drugiego piętra

Na liście ofiar nie ma też Alicji Ignacik, wówczas młodej dziewczyny pracującej w kuchni na drugim piętrze, gdzie została uwięziona przez pożar. Chciała żyć, więc nie szukała wyjścia wewnątrz objętego ogniem i dymem budynku, lecz doskoczyła do najbliższego okna. Nie udało się jej go otworzyć, więc kopnięciem wybiła szybę i klucząc wśród sterczących odłamków szkła, wyszła na parapet. I wtedy do jej świadomości doszło, że stoi na parapecie drugiego piętra, i, by nie spaść, kurczowo trzyma się ciepłej framugi, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej gorąca.

Setki szczecinian, którzy obserwowali pożar Kaskady, zapamiętało dziewczynę w białym fartuchu, która stojąc na parapecie okna na drugim piętrze, krzyczała: „Ratunku!". Ignacik powiedziała później, że wówczas myślała, iż na tle płonącej Kaskady nikt jej nie widzi. Było inaczej. Szybko znalazł się wysięgnik z koszem należący do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej w Szczecinie. Niestety, kosz nie sięgał miejsca, gdzie stała spanikowana Alicja, która po wyjściu za mąż nazywa się Rudawska.

– Oderwij się od parapetu! Chodź, nie bój się, złapię cię – namawiał ją znajdujący się w koszu Janusz Krzewiński, dekarz ze wspomnianego przedsiębiorstwa. Alicja przezwyciężyła strach i skoczyła. Po chwili była już na dole. Zanim radiowóz milicyjny na sygnale zawiózł ją na pogotowie, odpowiedziała na pytanie o znane jej osoby znajdujące się wewnątrz gmachu. Wymieniła swą szefową Danutę Lewandowską, powiedziała też o sprzątaczkach.

Lewandowska powinna być w tym czasie w domu i opiekować się chorą na różyczkę córką. Przyszła jednak do pracy, by otworzyć listę ofiar – pracowników Kaskady. Jako szefowa kuchni wśród tych, którzy zginęli w pożarze, zajmowała najwyższe stanowisko w hierarchii służbowej. Obok niej na liście ofiar widnieją cztery nazwiska sprzątaczek. Marianna Kowalczyk i Teresa Nowak były skoligacone (ojciec Teresy był mężem Marianny), Aniela Pyza osierociła dwójkę dzieci, a Elżbieta Wiktorko pięcioro. Oprócz nich śmierć poniosły kasjerka Janina Stępień, referentka rozliczeniowa Aniela Dubicka i kalkulatorka Teresa Kipel, która dojeżdżając z prawobrzeżnego Szczecina, w pracy zawsze była pierwsza. W sumie – wraz z uczniami Zespołu Szkół Gospodarczych – zginęło czternaście osób. Tylko czternaście, bo nawet trudno sobie wyobrazić, ile osób pochłonąłby pożar na przykład wieczorem, gdy w salach Kaskady było wielu na ogół mniej lub bardziej pijanych gości.

Nikt nie spłonął żywcem

Gdy kombinat już płonął, z kłębów dymu wynurzył się Darek – jeden z praktykantów z Reja, który próbując po omacku wydostać się z Kaskady, źle obliczył piętra i zbiegł do piwnicy. Gdy zauważył pomyłkę, wrócił na parter i przypadkiem trafił na niewidoczne w dymie główne wyjście. Był ostatnią osobą, która wyszła z płonącego budynku.

Pożar rozprzestrzeniał się błyskawicznie. W ciągu 15 minut cały budynek stał w ogniu. Płomieni nie gasiły nawet najsilniejsze motopompy zainstalowane w wozach strażackich, dlatego też na rozkaz dowodzącego akcją strumienie wody skierowano na sąsiednie budynki, zabezpieczając je przed przerzutem ognia. Tymczasem Kaskada się wypalała.

W zgliszczach znaleziono czternaście zwęglonych ciał. Czwórka praktykantów z Reja zginęła, siedząc przy stoliku. Nawet nie próbowali się ratować. Dlaczego? To wymagało wyjaśnienia.

Wnioski, które wkrótce przedstawiła specjalna komisja pracująca pod przewodnictwem prezydenta Szczecina Jana Stopyry, zaskoczyły wszystkich. W Kaskadzie nikt nie spłonął żywcem! Pracownicy kombinatu zginęli w identyczny sposób, co uczniowie. Cały budynek Kaskady wyłożony był łatwopalnymi wykładzinami, które w trakcie spalania wydzielały trujące gazy. Jeden z nich był związkiem chemicznym bardzo podobnym do gazu bojowego fosgenu. To on w ciągu kilku sekund doprowadził pozostałe w budynku osoby do utraty przytomności i śmierci. Płomienie przyszły później.

Następnego dnia po pożarze szczecińska Służba Bezpieczeństwa wszczęła sprawę operacyjnego sprawdzenia pod kryptonimem Kaskada, próbując ustalić, ile prawdy było w pierwszym zeznaniu dyrektora Kombinatu Gastronomicznego Włodzimierza M. Otóż powiedział on, że Kaskada została podpalona przez nieznanego mu mężczyznę, który wcześniej uratował zatrudnionego na czarno pracownika kombinatu. Ani SB, ani MO, ani prokuratura nie potwierdziły takiej wersji wydarzeń. Uznano, że przyczyną pożaru było zwarcie w instalacji elektrycznej, a ściślej iskra z gniazdka zamontowanego w Sali Kapitańskiej prowizorycznie, bez puszki izolacyjnej. Do tegoż gniazdka swój odkurzacz podłączyła Genowefa Bonter.

Winnych za tragedię nie było

Szybkiemu rozprzestrzenianiu się ognia sprzyjało tak zwane Rondo, wykonane w 1961 roku podczas adaptacji budynku na kombinat gastronomiczno-rozrywkowy. W jednym ze stropów w żelbecie wycięto wielki otwór, który miał dodać znajdującej się poniżej sali prestiżu, a 27 kwietnia 1981 roku wytworzył efekt komina, obficie zasilając pożar tlenem. Zmian w konstrukcji budynku nigdzie nie zgłoszono i nie odebrał ich żaden nadzór budowlany.

W 1961 roku przepisy bezpieczeństwa przeciwpożarowego nie były tak rygorystyczne, jak dwadzieścia lat później. Nie ulega jednak wątpliwości, że od samego początku gastronomiczno-rozrywkowej działalności Kaskady była ona bombą z opóźnionym zapłonem. Estetykę pomieszczeń wewnętrznych przedłożono nad bezpieczeństwo. To musiało się tak skończyć.

Przed Sądem Wojewódzkim w Szczecinie stanęły trzy osoby, które oskarżono o zaniedbanie obowiązków zapewnienia odpowiednich warunków ochrony przeciwpożarowej w zakresie bezpieczeństwa osób i mienia. Dyrektor Kaskady Włodzimierz M., inspektor ochrony przeciwpożarowej w Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem" w Szczecinie Andrzej J. i konserwator urządzeń elektrycznych w Kaskadzie Krzysztof P. zostali uniewinnieni. Sąd Najwyższy wyrok ten jednak uchylił w całości i sprawę przekazał Prokuraturze Wojewódzkiej w Szczecinie w celu uzupełnienia postępowania przygotowawczego.

Do kolejnej rozprawy już nie doszło. Sprawa karna została umorzona na mocy amnestii z 1984 roku z okazji 40-lecia Polski Ludowej. Za śmierć czternastu osób nikt zatem nie poniósł odpowiedzialności.

Służba Bezpieczeństwa ostatecznie wykluczyła udział osób trzecich w szczecińskiej tragedii i 22 kwietnia 1982 roku materiały zebrane w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia Kaskady złożono w archiwum Wydziału C Komendy Wojewódzkiej MO w Szczecinie.

Ofiary pożaru Kombinatu Gastronomicznego upamiętnia tablica wmurowana w ścianę galerii handlowej Kaskada, którą w latach 2009 – 2011 zbudowano w miejscu obiektu wcześniej noszącego tę nazwę.

Leszek Adamczewski

27 kwietnia 1981 roku. Trwa gaszenie Kombinatu Gastronomicznego Kaskada Fot. internet

„Katastrofy 2. Słynne i przemilczane tragedie powojennej Polski", Poznań 2020, s. 325.

Wakacje na Helu

Można tu przyjechać latem, jesienią i.. w lutym. Bo polski Bałtyk jest piękny o każdej porze. Czy odpoczynek będzie udany, zależy tylko od nas.

Miejscówka ważna rzecz

Dla wielbiących przestrzeń, ale nielubiących przemieszczania się wzdłuż brzegu, bo może nawet jest za zimno, jest do wzięcia apartament w spa w Jastarni, skąd widać cały Hel. To okazja. Bo zwykle jest okupowany i zajęty na cieplejsze miesiące z wyprzedzeniem na dwa lata. Naprawdę warto tam przyjechać zimą, by zobaczyć bałwany na plaży, bo przecież sztorm o tej porze to normalka. Wrażenia niezapomniane.

Inną propozycją, z kolei w Juracie, może być miejscówka w dawnym wojskowym domu wczasowym, dziś z nową nazwą, ale także przyjmującym gości spoza resortu, skąd widać mniej, ale za to stoi tuż nad samym morzem. Można stamtąd zobaczyć dzikie plaże, o tej porze roku zresztą wszędzie jest bezludnie, w jedną lub drugą stronę, na północnym wschodzie jest to były poligon wojskowy, gdzie piasek jest jaśniejszy niż gdziekolwiek.

Jeśli przejdziemy przez szosę, która prowadzi aż na sam cypel, a dawniej, za PRL-u, był to wjazd tylko za okazaniem przepustki, wiadomo – teren przygraniczny – to znajdziemy się w innym ośrodku wypoczynkowym, także kiedyś dla wojskowych, a dziś otwartym dla każdego, gdzie sceneria nie zmieniła się od lat. Jeśli więc ktoś lubi peerelowskie klimaty, może spokojnie w takim domu zamieszkać, wszystko tam jest jak przed pieriestrojką. Tylko sprzętu żeglarskiego brak, w ogóle nie ma jakichkolwiek łódek, ale zimą, wiadomo, będą i tak nieprzydatne.

Jurata czy Jastarnia?

Gdyby ktoś nie wiedział, to oficjalnie Jurata i Jastarnia to jedna miejscowość, a dokładnie ta pierwsza jest częścią drugiej. Czyli jadąc do Juraty, udajemy się faktycznie do Jastarni, a nigdy na odwrót. Dlatego może warto przypomnieć, że Jurata powstała dopiero w 1931 roku, dzięki spółce akcyjnej skupiającej przemysłowców, która zbudowała w ciągu kilku lat od podstaw ten kurort, bo przedtem były w tym miejscu jedynie wydmy i lasy. Inaczej było z Jastarnią, która jako wieś istniała już w XIV wieku, a prawa miejskie dostała dużo później, bo w 1973 roku.

Juratę, ale nie całą Jastarnię (!), nazywano w szalonych latach 30., gdy rozkwitała, polską Palm Beach. I bynajmniej nie ze względu na pensjonat Floryda, który mieścił się w jednej z wielu tu występujących modernistycznych willi, typowych dla architektury tamtych czasów. Bo do Juraty właśnie, tego modnego letniska, a nie do Jastarni, zjeżdżała w okresie międzywojennym śmietanka towarzyska. Bywały tu gwiazdy, bywali politycy i ludzie biznesu. W słynnym i najbardziej ekskluzywnym hotelu Lido nocowały znakomitości, jak: Wojciech Kossak, Jan Kiepura, Eugeniusz Bodo, Tola Mankiewiczówna, Jadwiga Smosarska, także generał Sikorski. I tutaj ciekawostka... Okazuje się, że w tamtych czasach w hotelu istniało połączenie telefoniczne nawet z Paryżem, a więc było naprawdę międzynarodowo i określenie „polska Palm Beach" nie było na wyrost. Towarzystwo spotykało się na rautach i dansingach, a najlepszy z nich podobno był w soboty w „Cafe Cassino", położonym prawie na plaży i to od strony otwartego morza. W tym samym miejscu stoi dziś równie ekskluzywny obiekt, gdzie czas spędzają współczesne gwiazdy, na przykład grając w tenisa. W Juracie wypadało mieć przed wojną, tak jest i w naszych czasach, swoją rezydencję, do której przyjeżdżało się bez względu na porę roku. Mieli je tu przedstawiciele arystokracji – Potoccy, Tyszkiewiczowie, Czetwertyńscy, a i niektórzy politycy – prezydent Ignacy Mościcki czy minister Józef Beck.

Za Peerelu Jurata nie wyszła z mody, odwiedzała ją nowa elita, ale bywał w tym miejscu i tzw. lud, dla którego tamtejsza władza zbudowała ośrodki wczasowe. Za czasów Gierka powstało od strony Zatoki Puckiej długie drewniane molo, które dotąd jest ozdobą kurortu i jednym z najbardziej atrakcyjnych spacerowo miejsc. Po transformacji ustrojowej powstały w Juracie ekskluzywne hotele i pensjonaty, do których zaczęli przyjeżdżać dygnitarze, znani i bogaci.

Czymś innym jest sama Jastarnia, dawna wieś rybacka, gdzie nadal można kupić świeżo złowioną rybę prosto z kutra. Albo przejść się wąziutkimi uliczkami pomiędzy niskimi chatami kaszubskimi, oglądając na ich szczytach kapliczki i wizerunki świętych. Warto przy okazji wpaść do neobarokowego kościoła o marynistycznym wystroju wnętrza, gdzie biało-niebiesko-seledynowe kolory podkreślają przywiązanie miejscowych do morza i jego tradycji. W środku zobaczymy ambonę w kształcie rybackiej łodzi, która płynie po wzburzonym morzu – rzecz niezwykła. Mnie porusza chata rybacka z końca XIX wieku, która jest zbudowana z desek pochodzących z rozbitych statków, które morze kiedyś wyrzuciło na brzeg. Pewnie, że mamy tu budownictwo modernistyczne z lat 30., jak choćby dom, w którym mieścił się kiedyś Hotel Europejski. Ale i tak Jastarnia to nie kurort. Tutaj pokoje częściej się wynajmuje u rybaków, a nie zamawia w luksusowym apartamentowcu.

Kaszubskie pagórki

Co można robić zimą nad Bałtykiem? Wiadomo, że nie jeździć na nartach. Chociaż gdyby wybrać się autem na południe, to kaszubskie pagórki nadają się jeśli nie do zjazdów, to na pewno do uprawiania narciarstwa skiturowego lub pohasania sobie na biegówkach. To zresztą da się zrobić nawet w dość rozległym lesie, zwłaszcza gdy wyjdzie się z jednego z byłych wojskowych domów wczasowych, a który prowadzi na sam Hel.

Nie wiem, ile to jest kilometrów drogi, ale pociągiem jedzie się z dziesięć minut, a bilet kosztuje 50 zł, co jak się zdaje, nie odzwierciedla długości trasy, jaką się przebrnie, chociaż jesteśmy chyba w pendolinie, bo wagony są bez przedziałów.

Pendolino w takim miejscu? Na półwyspie są tylko pojedyncze tory kolejowe i pociągi muszą na dłużej zatrzymywać się na stacjach, by przepuścić te jadące ze strony przeciwnej, co powoduje opóźnienia.

Na końcu cypla

W Helu, wiadomo, puchy, zresztą tak jest wszędzie, ale w tym największym miasteczku na półwyspie nieźle duje, tutaj mamy do czynienia z prawdziwym żywiołem i jeśli ktoś lubi tego typu doznania, to powinien koniecznie pójść na sam czubek cypla. Tam dopiero morze huczy, a fale bryzgają, bijąc wściekle o brzeg (jeśli ktoś nie lubi lekkiej grafomanii, może opuścić ten wtręt), który dość łagodnie zatacza półokrąg, jaki dałoby się wyciąć, gdyby Hel był na papierze. Zresztą wzdłuż nabrzeża prowadzi piękna promenada, możemy dojść, kierując się na sam kraniec, do samego „Początku Polski". Obelisk o tej nazwie powstał za rządów prezydenta Komorowskiego.

Wycieczka do Sopotu

W drugą stronę, do Chałup czy Kuźnicy, nie ma co jechać o tej porze, wszystko pozamykane, więc nie będzie gdzie nawet napić się herbaty. Zresztą i latem były z tym problemy, pamiętam, że obeszłam kiedyś całe Chałupy, szukając jakiegoś baru, a byłam zmęczona, bo szłam pieszo wzdłuż brzegu i nie było gdzie się zatrzymać, dopiero na koniec coś znalazłam, ale, niestety, było tylko piwo.

Można jednak wybrać się na wycieczkę do Trójmiasta. Co prawda o tej porze nie trafimy w Gdańsku na Jarmark Dominikański, funkcjonujący od czasów Peerelu, i nikomu to nie przeszkadzało, ale możemy skoczyć do pobliskiego Sopotu i przejść się po molo, o tej porze roku niezwykle klimatycznym, bez obrzydliwych straganów, które zaburzają estetykę jego otoczenia w czasie wakacji letnich. Kawa w Grandzie zawsze jest pyszna, można następnie pobrylować w kasynie, jeśli ktoś ma duszę hazardzisty, co namierzy komórka i już nas mają, że jesteśmy uzależnieni od gier, w razie czego szef ma na nas haczyk, jeśli mamy kogoś takiego nad sobą.

Nie ma już tej pięknej karuzeli, na której kręciłam się latem, zwinęli ją na zimę, a była jak z bajki albo jakiegoś kostiumowego filmu. To samo z koszami na plaży, które zniknęły; znowu nie ma się gdzie schować przed wiatrem, ha, trudno. Ale za to można przejść się uliczkami miasta, gdzie podziwiamy przepiękne modernistyczno-secesyjne budownictwo, tak samo jak w pobliskiej Gdyni, ale ja wolę Sopot.

Kawa po kapitańsku

Wracamy, zmarznięci, w końcu jest zima, do Juraty. I tutaj oprócz rozluźniających trunków są inne propozycje na rozgrzanie ciała, na przykład masaże. Rewelacja, możesz wybrać, jaki chcesz, ja decyduję się na mieszany. Czuję błogość, chciałabym od

razu zasnąć, ale trzeba się wziąć w garść i dojść do pokoju. A jednak wstępuję po drodze do barku, gdzie serwują pyszną kawkę po kapitańsku; nigdzie tak świetnej nie piłam jak tutaj, właściwie bardziej przypomina deser wzmacniany alkoholem niż napój serwowany w tym miejscu także za czasów „słusznie minionych".

W mieście puchy, wiadomo, jak to po sezonie. Ale jest czynna jedna kawiarenka, ulokowana przy pasażu równoległym do głównej szosy wiodącej przez Półwysep Helski, gdzie nie tylko można posiedzieć, lecz także rozerwać się kulturalnie. Na ścianach galerii, nie tylko z malarstwem, wiszą obrazy przedstawiające tutejsze klimaty. Gdybym miała duży dom, to zakupiłabym do niego przynajmniej dwa – jeden z kolorowymi żaglami, jakimi usiane jest letnie morze, bo tutaj mamy przecież zagłębie surfingu, zwłaszcza od strony zatoki, drugi – przedstawiający miejscowych kuracjuszy z epoki Witkacego, zresztą jest namalowany trochę Witkacym, że się tak wyrażę, ale bynajmniej nie jest to zarzut. Latem na deptaku można było nabyć mniejsze obrazki, równie ciekawe, ale innych autorów, wcale niebadziewne, zastanawiałam się, czemu nie są wystawione gdzieś w galerii, ale przypomniałam sobie, że jest ich ciągle za mało.

Więcej jodu

Co nam pozostaje, jeśli wrócimy do domu? Bo na molo nuda, nic się nie dzieje, zresztą latem też stał tam jakiś jeden wyleniały grajek. Wino, koniaczek, może partyjka brydża, jeśli ktoś lubi karty, albo oglądanie telewizji. Niestety, tutaj dostęp do kanałów komercyjnych jest ograniczony, co za szkoda.

No to może spanko? Tego nigdy za wiele, zwłaszcza w dzisiejszych trudnych i eksploatujących system nerwowy czasach. A tutaj... możemy mieć wszystko gdzieś. Sprzyja temu niskie ciśnienie, drzemkom o każdej porze dnia, mnie spało się tutaj świetnie nawet w środku lata. A teraz, gdy w morskim aerozolu jest szczególnie dużo jodu, odpoczynek jest na pewno jeszcze zdrowszy...

Chyba że wezwie nas morze i postanowimy zakończyć leżenie bykiem, by przejść się nadmorskim brzegiem. Dokąd się udamy? Nie byliśmy jeszcze w pewnym hotelu, wybudowanym na początku transformacji ustrojowej przez bardzo znanego biznesmena, gdzie chyba odpoczywał nawet sam pan prezydent... O tej porze roku wstęp jest wolny, nie zatrzymają nas wartownicy, prosząc o przepustkę. Wchodzimy. I jest pięknie.

BARBARA JAGAS

Fot. Dominik Kulaszewicz/PAP
Angora nr 11/2023

„Odpuśćmy stres", czyli joga w Essen

Zajęcia jogi w ramach imprez i spotkań organizowanych przez stowarzyszenie „Gmina Polska „Piast" w Essen to zupełna nowość. Ich organizatorzy mieli dużo wątpliwości, czy idea spotkań z jogą się przyjmie w polskim środowisku. Efekt przerósł jednak najśmielsze oczekiwania. Na pierwsze spotkanie przybyło ponad 30 osób. Wszyscy wyposażeni w sportowe ubranie oraz matę do ćwiczeń. Tematem pierwszych zajęć była dbałość o własny kręgosłup. Wszystko oczywiście na poziomie bardzo początkującym. Zajęcia trwały około 1,5 godziny, bez większego wysiłku i w absolutnym skupieniu. Sukces zajęć zawdzięczać można Ani Shanti Namdas, która prowadziła ćwiczenia, i potrafiła wprowadzić swoim tonem głosu, delikatną muzyką oraz dźwiękiem gongu w stan absolutnego odprężenia.

Ania jest na co dzień żoną, mamą, babcią i joginką. Pochodzi z Polski, a od 6 lat mieszka wraz z mężem w Dorsten. Joga to jej pasja, filozofia, sens życia i droga rozwoju duchowego. Jest nauczycielką jogi kundalini i instruktorką jogi hormonalnej oraz certyfikowaną uzdrowicielką w jogicznej tradycji Sat Nam Rasayan i terapii dźwiękiem. Za swoje powołanie uważa dzielenie się tymi wszystkimi darami z każdym, kto poczuje gotowość, żeby spróbować fascynującej podróży w głąb siebie w jej towarzystwie.

Marzy o stworzeniu tutaj w Niemczech jogicznej społeczności – rodziny z wyboru, w której wszyscy będą się wspierać, szanować i motywować. Będą wspólnie uczyć się świadomości oraz względu na innych i na siebie. Pragnie współtworzyć wspólnotę, w której każdy będzie przyjęty i uznany taki jaki jest, ze swoją gotowością na dziś. Będzie to przestrzeń otwarta, gdzie „nic nie musisz, a wszystko możesz", gdzie panuje radość, spokój i pokój. I nie uważa tego za utopię. Joga to znacznie więcej niż tylko ćwiczenia fizyczne i oddechowe, medytacja czy relaks. Joga oznacza unię, łączenie, jedność. Filozofia jogi to jej sposób na codzienne życie w spokoju, szczęściu i opiekowaniu się sobą. Ważne dla niej jest, by to, co wydarza się w trakcie ćwiczeń miało zastosowanie również w zwykłym życiu. Tego uczy i tym się dzieli na swoich zajęciach, które prowadzi w języku polskim. Kolejne spotkanie dotyczyć będzie radzenia sobie ze stresem. Już w fazie przygotowań spotyka się z dużym zainteresowaniem.

Tekst: Leonard Paszek
Zdjęcia: Robert Siera

Jak powstaje Jeep Avenger

W fabryce Stellantis (dawniej Fiat Auto Poland) w Tychach rozpoczęto seryjną produkcję nowego modelu samochodu – Jeepa Avengera. W tym roku auto to zdobyło prestiżowy tytuł European Car of the Year 2023 (Europejski Samochód Roku 2023) oraz Women's World Car of the Year 2023. To jednak jedynie pierwszy z planowanych samochodów elektrycznych, bowiem w 2020 roku rozpoczęto tutaj realizację planu rozwojowego o wartości ok. 170 mln euro. Zakłada on wytwarzanie trzech nowych modeli samochodów elektrycznych – po Avengerze, jeszcze w tym roku, planowane jest rozpoczęcie produkcji modelu Fiata, a w przyszłym roku – Alfy Romeo.

– Mamy obecnie dwie linie produkcyjne, jedna jest dedykowana bieżącej produkcji – Fiata 500, Abartha 500 i Lancii Ypsilon, drugą przygotowaliśmy do przyjęcia Jeepa Avengera – powiedział dyrektor Gębka. – To nie jest zupełnie nowa linia produkcyjna, jednak zoptymalizowaliśmy jej pracę i dofinansowaliśmy ją. Trzeba było wszystko przygotować tak, by jak najlepiej wykonać i obsłużyć to wszystko, co wnosi ze sobą nowy model jeepa oraz co wnosi elektryfikacja. Kluczowym dla nas słowem stała się „elastyczność", jednak dziś rozumiemy ją inaczej niż jeszcze kilka lat temu. Wówczas wyrażała ona umiejętność reagowania na zmiany mniej więcej raz do roku, teraz – w zasadzie każdego dnia. A dotyczy to zarówno spraw najważniejszych, które mogą mieć wpływ na losy zakładu, na to czy przetrwamy, ale także nadal pojawiających się problemów z dostawami różnych części i podzespołów.

W tyskim zakładzie produkowany jest Jeep Avenger w wersji elektrycznej i spalinowej, a proporcje tej produkcji kształtowało będzie zapotrzebowanie na rynku. Warto dodać, iż silniki elektryczne Stellantis wytwarza Francja, natomiast spalinowe – tyski zakład produkujący silniki „PureTech".

Obecnie fabryka zatrudnia około 2.200 osób i pracuje na dwie zmiany. Seryjna produkcja auta ruszyła na przełomie stycznia i lutego, więc można powiedzieć, że dopiero się rozpędza, stąd dyrektor Gębka nie chciał mówić o planowanej wielkości produkcji Avengerów. Samochody wytwarzane w tyskim zakładzie trafiają głównie na rynki pięciu państw: Włochy, Hiszpania, Francja, Niemcy i Wielka Brytania, choć oczywiście nie tylko. Należy przypuszczać, że podobnie będzie z Jeepem Avengerem. Jak powiedział dyrektor Gębka, przed nowym modelem „już otworzyły się drzwi do Europy", bo na początku marca pierwsze auta opuściły Polskę.

Na montażu zaprezentowano m.in. baterię, która montowana jest w pojazdach elektrycznych Jeepa Avengera. Umieszczona została pod przednim i tylnym siedzeniem oraz tunelem środkowym. Ma ona zasięg w cyklu mieszanym do 400 km i ponad 550 km w trybie jazdy miejskiej. Przy użyciu kabla do szybkiego ładowania prądem stałym 100 kW na publicznych stacjach ładowania (jest możliwość ładowania w domu) wystarczą trzy minuty, aby naładować energię pozwalającą na przejechanie 30 km jazdy, czyli jest tyle, ile wynosi średnia dzienna odległość pokonywana przez kierowców z Europy. Z danych technicznych wynika, iż akumulator w tym samochodzie można ładować prądem zmiennym AC z mocą do 11 kW oraz prądem stałym DC nawet 100 kW. W pierwszym przypadku uzupełnienie baterii od 0 do 100 proc. trwa 5 i pół godziny, w drugim (od 20 do 80 proc. naładowania) zaledwie 24 minuty.

A ile ma w Polsce kosztować Jeep Avenger? Najtańsza wersja z silnikiem spalinowym – ok. 99 tys. zł, z elektrycznym – ponad 174 tys. zł, jednak dzięki rządowym ulgom na elektryki cena ta może spaść do 147 tys. zł.

Fot. i tekst (kor)

Trudna historia

Dlaczego Icchak Rabin musiał zginąć

Męczennik pokoju

„Pojęcia nie miałem, że wyznaczę mu godzinę śmierci" – westchnął w szoku francuski biznesmen Jean Frydman. Podczas drugiej wojny światowej jako członek ruchu oporu Frydman został aresztowany przez Gestapo i w jednym z ostatnich transportów deportowany do KZ Buchenwald, skąd zbiegł. Po wojnie rozpoczął udaną karierę w biznesie, a jeszcze bardziej spektakularną w mediach. Kursował między Nowym Jorkiem i Paryżem. W Izraelu zakotwiczył się w roli doradcy tamtejszych prominentnych polityków. Należał do wąskiego kręgu osób, które jesienią 1995 roku zorganizowały w stolicy wiec poparcia dla premiera Icchaka Rabina i jego programu „Ziemia za pokój", kładącego kres konfliktowi żydowsko-palestyńskiemu. Jeszcze nim wiec się skończył, izraelski szef rządu dziękował stojącemu obok Francuzowi: „Zawdzięczam ci najpiękniejsze godziny życia". Chwilę później nie żył.

Groźby w Tel Awiwie

Policję na kilka dni przed wiecem postawiono w stan najwyższej gotowości. W kraju wrzało. Informacje o groźbie spektakularnych akcji detonowania samochodów pułapek na izraelskich ulicach przez Palestyńczyków dotarły do Szin Betu. Kilka dni wcześniej agenci wywiadu zabili na Malcie szefa islamskiego dżihadu w Palestynie Fathiego Szikakiego powiązanego według służb z „Bractwem Muzułmańskim w Egipcie i kręgiem zamachowców egipskiego prezydenta Sadata". Szikaki, absolwent medycyny, lekarski kitel porzucił dla karabinu. Na koncie miał liczne zamachy, w Palestynie rzeszę wielbicieli, a w libijskim dyktatorze Muammarze Kaddafim oddanego przyjaciela. Podczas powrotu z Tunisu, gdy w trakcie międzylądowania na Malcie udał się do centrum La Valetty na zakupy, został z trzema świeżo nabytymi koszulami w ręku zastrzelony na ulicy. Palestyńczycy dyszeli zemstą. Burmistrz Tel Awiwu odebrał telefon, w którym grożono mu śmiercią, jeżeli pojawi się na wiecu. Ale czy groźba pochodziła od Palestyńczyków? Odkładając słuchawkę, anonimowy szantażysta rzucił po niemiecku: „Ty świnio!". „Grożą nam, a na końcu nas wszystkich zamordują", prorokował burmistrz Szelomo Lahat. Wywiad izraelski zrobił rozpoznanie. Dwa dni przed wiecem jeden telefon rozwiał wątpliwości. Wysoki rangą funkcjonariusz Szin Betu zatelefonował do dowódcy okręgu południowego Ichaka Ihana, zajmującego się gromadzeniem danych wywiadowczych, z pytaniem: „Czy po zamordowaniu Szikakiego islamski dżihad przygotowuje odwet na premierze Rabinie?". Han zaprzeczył. Jednak w trosce o bezpieczeństwo polityków wszystkie samochody usunięto z placu, a uczestników wiecu skrupulatnie kontrolowano. Po rewizji osobistej każdy otrzymywał plakietkę zezwalającą na wejście na plac leżący w samym centrum Tel Awiwu.

Odzew na wiec był wielką niewiadomą. Do bojkotu wezwał opozycyjny, prawicowy Likud. Do udziału nawoływała rządząca Partia Pracy. Dla chętnych spoza Jerozolimy podstawiano autobusy. Wieczorem 4 listopada 1995 roku na placu Królów Izraela w Tel Awiwie zebrało się 150 tys. ludzi. Głównym przemawiającym był premier.

Naród Izraela chce pokoju

Tego dnia Icchak Rabin obudził się przed 7 z lekką infekcją oka. W planie miał najpierw mecz tenisa, potem serię politycznych spotkań, wieczorem udział w wiecu. W wieku 73 lat regularnie co sobotę rozgrywał kilka setów w klubie, w przerwach popijał drinka i konferował z politykami. Ale infekcja – oko spuchło i się zaczerwieniło – przekreśliła sportowe plany. Nim Rabin odwołał mecz tenisowy, żona znalazła świetnego okulistę. Przynajmniej został uratowany wiec, a Rabin miał więcej czasu, by przemyśleć przemówienie. Swoje ostatnie:

„Przez 27 lat byłem żołnierzem. Tak długo, jak nie było szansy na pokój, walczyłem. Ale dziś taka szansa, wielka szansa, się otwiera. Nie wolno nam jej zaprzepaścić. Dla dobra tych, którzy dziś są razem z nami. Ale także dla tych, których tu nie ma (...). Droga pokoju jest trudna i bolesna. Ale dla Izraela nigdy nie było drogi nienaznaczonej bólem. A jednak trzeba wybrać drogę pokoju nad drogę wojny. Mówi to wojskowy, minister obrony, który spoglądał w oczy rodzinom żołnierzy. Dla nich, dla naszych synów i wnuków, chcę, by ten rząd wykorzystał każdą okazję i możliwość do zawarcia pokoju. Z tego wiecu kierujemy przesłanie do całego Izraela, do Żydów na całym świecie, do mas ludzkich we wszystkich krajach arabskich, do całego świata: naród Izraela chce pokoju i wspiera go! I za to wam dziś dziękuję!".

Te słowa wywołały euforię. Demonstracja poparcia dla rządu wyciągającego rękę do palestyńskiego wroga zamieniła się w festyn pokoju. Ludzie śpiewali i wznosili ręce. Z wyciągniętymi ku górze dłońmi song „Szir ha-szalom" na cześć pokoju śpiewał także Rabin, choć słoń mu na ucho nadepnął. Przebieg wiecu przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Szczęśliwy machał ręką w stronę tłumów. Objął wpół stojącego obok niego Awiwa Geffena, gwiazdora pop, który wspomagał muzyczną stronę mityngu. Na oczach wszystkich przycisnął do piersi także Szimona Peresa, ministra spraw zagranicznych. Od ponad dwóch lat prawica nie zostawiała suchej nitki na jego polityce pojednania z palestyńskim arcywrogiem. „W końcu daliśmy odpowiedź na upokorzenia i rzucane na nas kalumnie" – powiedział Rabin do swojego ministra. Po zakończeniu wiecu mógł ze szczęścia objąć każdego. Zszedł ze sceny, kierując się do opancerzonej limuzyny. Otaczało go czterech funkcjonariuszy Szin Betu. Doszedł do tylnych drzwi, nie przeczuwając, że w jego plecy celuje z beretty 84F stojący pół metra dalej student Jigal Amir.

Również Palestyńczycy byli zrozpaczeni z powodu śmierci Icchaka Rabina
Fot. keyworbaskets.com

Strzał prosto w plecy

Ortodoksyjny student ze stołecznego uniwersytetu, śniady, niewysoki, 24-letni Jigal Amir szabatowe przedpołudnie spędził w synagodze w rodzinnym mieście Herclijja. To sypialnia stolicy, a jednocześnie kurort z plażami i siedziba dużych firm branży high-tech. Amir modlił się o szczęśliwy finał przedsięwzięcia. Dawał sobie szanse jeden do dziesięciu, że z zamachu wyjdzie żywy. W synagodze czytał biblijne wersy.

W południe Amir tradycyjnie zasiadł z rodzicami i siedmiorgiem rodzeństwa do obiadu. Gdy pierwsze gwiazdy na niebie oznajmiły koniec szabatu, włożył dżinsy, szafirową koszulkę, wsadził dziewięciomilimetrowy pistolet za pasek spodni i wsiadł do autobusu linii 284. Na placu Królów Izraela stwierdził, że stoi zbyt daleko od sceny. Przeszedł na parking, gdzie spodziewał się przyjazdu limuzyny Rabina. Kręcił się tam przez dobre pół godziny, udając policjanta w cywilu. Nie wpadł nawet wtedy, gdy zagadnęli go prawdziwi stróże prawa. Był na tyle wiarygodny, że nie wzbudził podejrzeń. Amatorskie nagranie odtworzone już po zamachu pokazuje, jak konwersuje z trzema policjantami. Wspólnie z nimi po skończonym wiecu obserwował, jak wyraźnie rozluźniony Rabin w towarzystwie liderki jednej z kobiecych organizacji, Miriam Oren, otoczony przez czterech ochroniarzy, skierował się w stronę parkingu. Żona Lea szła 3 metry za nim. Kiedy Rabin doszedł do auta, Amir zeskoczył z betonowego kwietnika i zbliżył się do premiera. Dostrzegł lukę w otaczającym go pierścieniu ochroniarzy, bo nieoczekiwanie jeden z nich pozostał w tyle, a drugi wysunął się do przodu. Przez nikogo niezatrzymywany Amir wyciągnął pistolet. Niemal dotykał pleców premiera. Wystrzelił. Szef ochrony Joram Rubin skoczył na zabójcę zgodnie z tym, jak szkolono go na ewentualność takiego zajścia. Gdyby wyciągnął pistolet, byłby wolniejszy. Ale Amir zdążył oddać jeszcze dwa strzały. Rabin osunął się na drzwi limuzyny. Jeden z ochroniarzy pośpiesznie wepchnął go na tylne siedzenie. Kierowca z piskiem opon ruszył do szpitala. Odległość od placu w linii prostej wynosiła niecałe 200 m. Trzy minuty spacerem, pół minuty jazdy samochodem. Jednak ze względu na wypełniający plac tłum kierowca musiał jechać zygzakiem. Tak się później tłumaczył. Kłamał?

W samochodzie Rabin jeszcze żył. „Boli mnie w plecach, ale nie za bardzo" – powiedział kierowcy, po czym stracił przytomność. W szpitalu lekarze zdiagnozowali brak tętna. Już pierwszy strzał rozerwał prawe płuco. Dzięki masażowi serca i 22 transfuzjom krwi przywrócono puls i wyrównano ciśnienie. Mimo to po 40 minutach reanimacji nastąpił zgon. Opublikowany krótko przed północą biuletyn lekarski jako przyczynę śmierci podawał naczyniowy zator powietrzny. Oznaczało to, że wraz z przerwaniem systemu naczyniowego do krwiobiegu przedostało się powietrze. Jego pęcherzyki zaczopowały dopływ krwi do mózgu.

Żyd nigdy nie zabije Żyda?

„Rząd Izraela z wielkim bólem i żalem informuje o śmierci premiera i ministra obrony Icchaka Rabina, który zginął dziś wieczorem w zamachu" – brzmiał oficjalny komunikat. Wiadomość wywołała szok. Rabin nie był w Izraelu pierwszym politykiem, który zginął od kuli. Był jednak pierwszym, który zginął z ręki rodaka. Do tej pory Izraelczycy z poczuciem wyższości patrzyli na Arabów, speców od politycznego mordu, przekonani, że nigdy Żyd nie zabije Żyda. Przekonanie starsze niż utworzenie państwa Izrael w 1948 roku. Wystarczyło bowiem, że spojrzeli na Ścianę Płaczu, ruiny dawnej świątyni Salomona, którą w 70 roku n.e. zrównały z ziemią legiony cesarza Tytusa.

Ostateczny podbój starożytnego Izraela przez Rzymian ułatwili sami Żydzi podczas antyrzymskiego powstania podzieleni na zwalczające się frakcje. Wewnętrzne niesnaski i bratobójcze walki doprowadziły do spalenia zapasów żywności w Jerozolimie, która bez nich nie mogła przetrwać oblężenia przez Rzymian. Nie pomógł heroizm obrońców. Rzymianie wdarli się do świątyni, wyrżnęli w pień obrońców, ludność wywieźli. Na miejscu zburzonego miasta wznieśli nowe – Aelia Capitolina, z zakazem wstępu dla Żydów. Ci od tej pory żyli rozproszeni po świecie, pod egidą rabinów jak ognia unikając bratobójczych walk. Przekonanie, że wszędzie stanowią mniejszość i muszą się trzymać razem, stało się filarem ich egzystencji. Przemocy wobec swoich unikały także pierwsze pokolenia syjonistów, które budowały nowożytne państwo izraelskie. Zabicie Rabina złamało to tabu. Izrael spowił kir żałoby. Ku czci zabitego

Trudna historia

plac Królów Izraela nazwano jego imieniem. Na zwołany tam kilka dni po zamachu wiec pamięci ściągnęło ćwierć miliona Izraelczyków. W większości młodzież. Szlochający gimnazjaliści padali sobie w ramiona. Dla nich Rabin ucieleśniał lepszą przyszłość. Tę bez wojny. „Umarł, byśmy nie musieli zostać wysłani z karabinem do Strefy Gazy". To zdanie wypowiedziane przez jednego z uczestników wiecu zrobiło furorę w mediach.

Uścisk dłoni z Arafatem

Żałoba trwała tydzień. Imponująco przebiegły uroczystości pogrzebowe. Przed trumną przewinął się milion Izraelczyków. 80 szefów państw i rządów pochyliło przed nią głowy. Z wyjątkiem jednego. Przywódca Palestyńczyków Jasir Arafat ze względów bezpieczeństwa nie uczestniczył w pogrzebie. Trzy dni później pojawił się w mieszkaniu wdowy z kondolencjami. Ubrany w długi płaszcz, owinięty szalem, z nasadzonym na głowę kapeluszem i w czarnych okularach. Wszystkich domowników ucałował w głowę, wdowę trzykrotnie. Świadek tego spotkania, 18-letnia wnuczka Rabina Noa Ben Artzi, przyglądała się bacznie, „czy Arafat nie ma przypadkiem trzeciego oka, czterech uszu, a z tyłu głowy wystającej antenki".

„Błagam anioły, które cię przyjęły, by cię dobrze chroniły, bo zasłużyłeś sobie na ich opiekę" – płakała podczas państwowej ceremonii pogrzebowej. Dzięki transmisji telewizyjnej pół świata jak zahipnotyzowane wpatrywało się w szczuplutką postać Noy Ben Artzi, która po dziadku odziedziczyła półuśmiech i – jak sama przyznała – „zbyt małe i piegowate dłonie". Wnuczka i cały świat mieli za co Rabinowi dziękować. „Wasz premier okazał się męczennikiem pokoju, ale przede wszystkim człowiekiem, który przezwyciężył nienawiść" – powiedział w poruszającej mowie pogrzebowej prezydent USA Bill Clinton.

Wiedział, co mówił. To w jego obecności 13 września 1993 roku Rabin i Arafat uścisnęli sobie dłonie. Gest dwóch nieprzejednanych do tej pory wrogów wywołał najpierw westchnienie ulgi, a chwilę potem aplauz 3 tys. gości zebranych w ogrodzie Białego Domu. Rabin oświadczył wtedy: „My, żołnierze, którzy wróciliśmy z bitwy z zakrwawioną twarzą, którzy walczyliśmy z wami, Palestyńczycy, mówimy dziś do was głośno i wyraźnie: Wystarczy krwi i łez! Dosyć!". Obydwaj z Arafatem podpisali porozumienie dopiero co wynegocjowane w Oslo. Na tę okoliczność Clinton wytaszczył do ogrodu ten sam drewniany stół, przy którym w 1979 roku przedstawiciele Izraela i Egiptu podpisali traktat pokojowy w Camp David. Te dwa porozumienia zasadniczo się jednak różniły. Układ z Oslo nie przynosił trwałego pokoju, był umową tymczasową. Istota zakończonych w stolicy Norwegii negocjacji polegała na tym, że Izrael opuszczał okupowane po 1967 roku obszary Judei, Samarii i Strefy Gazy, oddając Palestyńczykom te ziemie i godząc się na „powstanie administracji palestyńskiej, która miała przejąć ich zarząd". Aż do ustanowienia państwa palestyńskiego. Porozumienie z Oslo nie tworzyło jeszcze palestyńskiej autonomii, ale ją zapowiadało. Mimo wszystko rewolucyjny krok.

Historyczny uścisk dłoni Icchaka Rabina z Jasirem Arafatem w obecności Billa Clintona Fot. bilogy-forums.com

Wnuczka Rabina wspominała: „Kiedy dziadek czytał list od Arafata, w którym ten wyrzekał się terroryzmu i uznawał prawo Izraela do istnienia, nie mógł powstrzymać się od ironicznego komentarza: «Teraz Arafat będzie miał takie same problemy jak ja». W oczach wielu Palestyńczyków Arafat kapitulował, tak jak według części Izraelczyków skapitulował Rabin".

Parafowane w Waszyngtonie porozumienie z Oslo kończyło dwie i pół dekady okupacji ziem palestyńskich przez Izrael. Od czasów wojny sześciodniowej w 1967 roku.

Pierwszy zamach się nie udał

„Podziwiamy go za konsekwencję" – powiedział o mordercy Rabina szef Ejalu Avishai Raviv. Najprawdopodobniej tajny współpracownik Szin Betu, zarazem wiecowy agitator. Jego konspiracyjna ksywa „Szampan" nawiązywała do akcji podburzania przeciwko Rabinowi. To właśnie Raviv na demonstrację miesiąc przed zamachem przygotował portret premiera w mundurze SS. Dzień przed zabójstwem pozwolił sobie na makabryczny żart. Wysłał dziennikarzom komunikat: „Tym razem wymknął się nam, ale następnym razem go dosięgniemy". Raviv, student uniwersytetu w Tel Awiwie, rzadko bywał na sali wykładowej, był zajęty organizowaniem wieców. Usunięty za nazistowskie wywody pojawił się na innym uniwersytecie – Bar-Ilanie. Tam poznał Jigala Amira. Do grupki studentów zamachowców należeli też narzeczony siostry Amira Dror Edni i jego przyjaciel Ohad Skornik. Trio zaczęło snuć plany zamachu zaraz po podpisaniu porozumienia z Oslo. Scenariusze przewidywały m.in. podłożenie bomby w samochodzie Rabina, użycie magnetofonu z ładunkiem wybuchowym lub wpuszczenie nitrogliceryny do sieci wodociągowej w mieszkaniu premiera. Amirowi, przebranemu za hydraulika, udało się nawet wejść do domu Rabina, by wpuścić nitroglicerynę do rury z wodą. Plan spalił na panewce tylko dlatego, że zawiodła wiertarka. Ostatecznie zdecydowano się na klasyczne użycie pistoletu. Lista ofiar fanatycznej trójki nie kończyła się na Rabinie. Figurowali na niej Jasir Arafat i Fajsal al-Husajni, minister Arafata do spraw Jerozolimy.

Z morderczym trio sympatyzował starszy brat Amira Hagai. Wtajemniczony w zamach kupił zwykłe naboje i przerobił je domowym sposobem na dum-dum. Nazwa pochodzi od zbrojowni w Dum Dum koło Kalkuty w Indiach, gdzie po raz pierwszy takie naboje wyprodukowano. Mają tę właściwość, że rozrywają się w ciele, powodując rozległe rany.

„Nie sądziłem, że będzie to takie łatwe" – oświadczył Amir podczas pierwszego policyjnego przesłuchania. Został obezwładniony na miejscu zamachu i przewieziony na posterunek policji. Nie krył radości przed przesłuchującymi go policjantami. Zaproponował im wypicie butelki wina za udany zamach. Zgodnie z żydowskim prawem, w chwili gdy Żyd oddaje swoją ziemię i zamieszkujących ją ludzi wrogowi, „jest zdrajcą i musi zostać zabity" – powtarzał. Wypełniało go poczucie misji. Szaleniec? Absolutnie nie.

Amir, rocznik 1967 – akurat rok zdobycia arabskich obszarów na Zachodnim Brzegu i Strefy Gazy – fanatyzmem religijnym i nacjonalizmem zaraził się w rodzinnym domu. Rodzina z Jemenu należała do mizrachijczyków, jak określano Żydów mieszkających w państwach arabskich. Aszkenazyjscy pobratymcy w Izraelu traktowali tę kategorię jako poślednią. Antagonizm między obydwiema grupami Żydów sięgał końca XIX wieku. Rodzice Amira pomimo mizrachijskiego rodowodu kształcili się w szkołach aszkenazyjskich, tak jak później Amir i jego starszy brat. Ojciec, brodaty patriarcha, trudnił się przepisywaniem Tory, nadzorował koszerny ubój kurczaków i nauczał w szabat religii przy miejscowej synagodze. Matka zarządzała prywatnym przedszkolem w ich domu. Ojciec Amira, zawsze z posępną twarzą, niezmiennie w czarnym stroju ortodoksów, każdego ranka wychodził do synagogi. Syn ze swoją introwertyczną osobowością schronił się w prestiżowej jeszziwie New Yishuv, skąd wyszło wielu rabinów, profesorów i polityków. Dla niego skok na głęboką wodę. W jeszziwie był najmłodszy, musiał dojeżdżać do centrum Tel Awiwu, nauka była trudna, a w przeciwieństwie do większości kolegów nie miał nobilitującego pochodzenia.

Pobożny zamachowiec

W armii, gdzie trafił po maturze, nazywano go pogardliwie przywódcą „gangu jemeńskiego". Jeśli tylko nie tkwił w koszarach, przesiadywał na modlitwach w synagodze. Nie interesował się kinem, literaturą ani sportem. Z książek czytał jedynie Biblię. Podczas służby wojskowej przyłączył się do paramilitarnej talmudycznej jeszziwy Hesder, dzięki której pobożni żołnierze mogli dzielić czas między poligon a studia nad Torą. Pięć lat w talmudycznej szkole uczyniło go fanatykiem. Służył w plutonie, którego wszyscy członkowie byli ultrareligijni. Ale nawet na ich tle wyróżniał się gorliwością.

Podczas studiów na uniwersytecie Bar-Ilan – wylęgarni religijnych fundamentalistów – udzielał się czynnie w Ejalu. Rzeź modlących się w meczecie w Hebronie muzułmanów w lutym 1994 roku nadała jego życiu misyjne przesłanie. Poprzysiągł zabić Rabina. Zabierał pistolet, gdy wybierał się na publiczne wystąpienia premiera. Zamachowiec Baruch Goldstein był dla niego wzorem. Na razie na uniwersytecie angażował się w organizowanie weekendowych wyjazdów studentów na ziemie okupowane, by pomagać tamtejszym osadnikom w pracach budowlanych. Z wieloma z nich zaprzyjaźnił się osobiście, nawiązał kontakty z tamtejszym środowiskiem rabinów. Najcenniejszy – z ojcem chrzestnym osadnictwa w Hebronie Mosze Lewingerem. Drugi cel pielgrzymek prowadził do Kirjat Arba, gdzie grób Barucha Goldsteina niczym mauzoleum górował nad kamienistą okolicą. W weekendowe eskapady Amir wkładał całe serce. Liczba werbowanych przez niego neofitów nie była mała, frustrowało go jednak, że studenci weekendowe wypady traktują bardziej towarzysko niż politycznie. W miarę rozszerzania się pokojowej polityki rządu Amir przekształcał studencki Ejal w zorganizowany ruch, który w nieodległej przyszłości miał wspierać izraelskich osadników. Już po zamachu znaleziono w jego mieszkaniu trzy książki: „Dzień Szakala" Fryderyka Forsytha o zamachu na gen. de Gaulle'a, „Akta Rabina", paszkwil na premiera pióra ultraprawicowego historyka Uri Milsteina, i esej Icchaka Ginsburga „Baruch Hagever" („Święty człowiek"), wyrażający podziw dla Goldsteina, a zawierający pomysły, które najwyraźniej korespondowały z przekonaniami Amira. Ale rodzina nie traktowała poważnie jego zapowiedzi zabicia Rabina – „jedynego środka, który zawróciłby Izrael z drogi katastrofy, z drogi fałszywego programu pokoju".

➔ 20

O czym powinni wiedzieć faceci

Męczennik pokoju

➔ 19

Amir nie należał do marginesu izraelskiej młodzieży. Reprezentował pokolenie roku '67, wrogie procesowi pokojowemu. Podzielał popularną opinię, że Arabowie godzą się na pokojową politykę Rabina tylko dla zamydlenia oczu, by w korzystnej dla siebie sytuacji wszcząć wojnę. Dlatego w wyborach 1992 roku głosował na ultraprawicową partię Moledet (Ojczyzna). Z programem eksmisji Palestyńczyków z okupowanych przez Izrael ziem do sąsiednich krajów arabskich. Kontakty, które nawiązywał, prowadziły go do myślących podobnie jak on. Stąd zdumiewa, jak uległa jego czarowi wprawdzie pobożna, ale niezwykle inteligentna 22-letnia Nava Holtzman, zielonooka blondynka z szanowanej rodziny. To jej zamożni rodzice, którzy spoglądali z góry na nieaszkenazyjczyka o najbardziej ciemnym odcieniu skóry w etnicznej palecie jemeńskich Żydów, położyli kres związkowi. „Ludzie na uniwersytecie szybko łączą się w pary, ale nie zawierają małżeństwa z pierwszą osobą, z którą zdarzy się im być" – obniżała temperaturę rozstania Nava Holtzman. Ale wkrótce po zerwaniu z Amirem wyszła za mąż za jednego z jego przyjaciół, tyle że z zasobnym portfelem. Amir był zdruzgotany, a szok, jaki wywołał u niego powód zerwania romantycznego związku, zradykalizował go politycznie. Wiele lat później ojciec Amira spekulował, że rozstanie z Navą było cezurą w jego życiu – że gdyby ożenił się z panną Holtzman, nigdy nie zabiłby Rabina.

Druga jego przyjaciółka, z długim czarnym warkoczem, znacznie bardziej ekscentryczna 20-letnia Margalit Har-Shefi, z Wydziału Prawa Uniwersytetu w Tel Awiwie, podzielała jego poglądy i uczestniczyła w weekendowych akcjach u osadników. Sama pochodziła z osiedla Beit El na Zachodnim Brzegu. A co ważniejsze, tak jak brat Amira, została wtajemniczona w plan zabicia Rabina. Nie uwierzyła jednak w – jak w jidysz nazywa się – bajki opowiadane dzieciom do poduszki. Na krótko przed zamachem zerwała z Amirem kontakt, co przesądziło o tym, że otrzymała wyrok tylko 18 miesięcy więzienia, a po odbyciu połowy kary została ułaskawiona przez prezydenta.

„Bóg zlecił mi ten mord"

Przed dokonaniem zamachu Amir udał się do dwóch rabinów, którzy wzorem nowojorskiego rabina Hechta uznali premiera Izraela za *rodefa* (prześladowcę). Pod tym pojęciem średniowieczne prawo żydowskie, zgodnie z wykładnią Majmonidesa, rozumiało Żyda, który wspólnotę wystawia na niebezpieczeństwo i którego trzeba usunąć. Według starego prawa sanhedrynu obrzucenie Rabina tą inwektywą oznaczało wydanie na niego wyroku śmierci. Oskarżony bez ogródek wyjawił śledczym, że uważa się za emisariusza rabinów, który realizuje ich wyrok.

„Zamach na Rabina był mordem nie politycznym, tylko religijnym" – wyjaśniał Awraham Burg, jeden z nielicznych Żydów z Partii Pracy noszący jarmułkę. W trakcie śledztwa ustalono nazwiska obydwu podżegaczy, Dawida Kava z wojskowego rabinatu i Szmula Dvira. Nie postawiono ich w stan oskarżenia, obawiając się wrzawy w kręgach konserwatywnych. Rząd Peresa potrzebował przed zbliżającymi się wyborami 29 maja 1996 roku poparcia środowisk pobożnych Żydów.

„Bóg zlecił mi ten mord" – powiedział przed sądem Amir, czym udowodnił, że posłużył się sankcją moralną. Kiedy sędzia zapytał go, czy zna dziesięć przykazań, a wśród nich piąte, nie zabijaj, zamachowiec z poczuciem wyższości odparł, iż wielce by go zasmuciło, gdyby wiedza sędziego wyczerpywała się na dziesięciu przykazaniach. I skwapliwie przywoływał teologiczne konstrukcje, które legitymizowały mord na tych Żydach, którzy wystawiwszy członków wspólnoty na niebezpieczeństwo śmierci, stracili prawo przynależności do niej.

Podczas procesu Amir nie żałował swojego czynu. Przeciwnie, uśmiechając się, zdradzał dumę z zamordowania Rabina. „Ten uśmiech, dokładnie taki, z jakiego go znałem. Jego znak rozpoznawczy, cyniczny uśmiech w kącikach ust" – powiedział po procesie Boaz Nagar, kolega z wojska. Amir tłumaczył, że został przez Boga wybrany do odczytania jego przekazu i zatrzymania kupczenia ziemią obiecaną. Przekonany o swojej misji nie ustalił nawet linii obrony z prawnikami. Zbladł dopiero, gdy odczytano mu wyrok dożywocia. „Jego nazwisko jest trwałą hańbą w historii Izraela i całą resztę życia powinien spędzić w więzieniu" – stwierdził ogłaszający wyrok sędzia. Przewodniczący składu sędziowskiego dobrze wiedział, że w procesie chodzi nie tylko o ukaranie przestępcy, lecz także o to, czy państwo prawa obroni się przed religijnym fundamentalizmem.

Arkadiusz Stempin

„Większe zło. Polityczne zabójstwa, krwawe zamachy, kościelne spiski", Warszawa 2022, s. 358.

Kobiety są z Wenus...

Pewien grecki mit opowiada o tym, jak Hera i Zeus spierali się o to, kto jest bardziej skłonny ulegać pokusom miłości i kto przeżywa silniejsze orgazmy. Hera uparcie wskazywała na mężczyzn, podczas gdy Zeus twierdził, że kobiety. Skłóceni małżonkowie wezwali na sędziego Tejrezjasza, ponieważ przez część życia był kobietą. Rozsądził on tak: „Gdyby suma miłosnych rozkoszy wynosiła 10, to kobiecie przypadłoby 9, a mężczyźnie tylko 1". Po tych słowach wściekła Hera sprawiła, że oślepł. Zeus z kolei uczynił go nieśmiertelnym i przyznał mu dar przewidywania przyszłości.

Dziesięć rzeczy, w których kobiety są lepsze od mężczyzn:

• Sprawniej wykonują kilka czynności jednocześnie.

• Są mniej narażone na śmierć w wypadku samochodowym. Badania na ten temat przeprowadzono w Carnegie Mellon University.

• Są czystsze. Badanie uczonych z Uniwersytetu San Diego wykazało, że na biurkach mężczyzn znajduje się nawet do 20 proc. więcej bakterii niż na kobiecych.

• Mniej dotyczy ich recesja. Wśród Amerykanów, którzy stracili pracę od 2007 roku, aż 80 proc. to mężczyźni.

• Mają wyższy iloraz IQ. Uczony James Flynn przebadał tysiące osób z różnych krajów świata. Wynik był jednoznaczny – kobiety są bystrzejsze od mężczyzn. Dlaczego tak się dzieje? Panie rozwijają się szybciej i nic nie wskazuje na to, by miały oddać pierwszeństwo samcom.

• Zdrowiej się odżywiają. Badanie przeprowadzone przez Uniwersytet Minnesoty wykazało, że kobiety preferują zdrowszą żywność niż mężczyźni. Ci ostatni częściej sięgają po pizzę i czerwone mięso, kobiety po owoce i warzywa.

• Mają silniejszy niż mężczyźni układ odpornościowy.

• Dłużej żyją. Średnia długość życia kobiet to 79 lat. Mężczyzn – 71.

• Sprawniej zarządzają ludźmi i lepiej od mężczyzn radzą sobie ze stresem, na przykład podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

• Są coraz piękniejsze. Badania wykazują, że w toku ewolucji kobiety stają się coraz piękniejsze, podczas gdy mężczyźni pozostają tacy sami.

Aż 68 proc. kobiet wdałoby się w romans, gdyby miało stuprocentową pewność, że ich partner nigdy się o tym nie dowie.

Izrael jest jedynym krajem na świecie, gdzie powołuje się kobiety do służby wojskowej.

Badania uczonych z University of the West of England w Bristolu wykazały, że kobiety doświadczają większej liczby koszmarów niż mężczyźni. Miewają również bardziej emocjonalne sny.

Badanie sieci kosmetycznej Superdrug wykazało, że brunetki są lepszymi przyjaciółkami i żonami, zaś blondynki lepszymi kochankami.

Według badań Uniwersytetu w Stanford kobiety mają bardziej wyrafinowane poczucie humoru niż faceci.

Przeciętna Brytyjka kupuje średnio 17 par butów rocznie, z czego pięciu nigdy nie włoży. Łączne roczne straty wszystkich Brytyjek szacuje się na 3,3 miliarda funtów.

* * *

Taki zdaniem kobiet powinien być idealny mężczyzna...

Redaktorzy magazynu „Cosmopolitan" przebadali 1200 kobiet, sprawdzając ich preferencje. Redaktorzy chcieli w ten sposób stworzyć portret idealnego mężczyzny. Wyniki były zaskakujące. Okazało się, że tylko 2 proc. pań przykłada wielką wagę do wyglądu partnera, a zaledwie 3 proc. do jego pieniędzy; 42 proc. chce, by mężczyzna miał poczucie humoru, a 38 proc., by okazywał partnerce czułość; 74 proc. pań oczekuje od mężczyzny umiejętnego całowania. Inne preferują, by partner nie był porywczy, za to zaradny, nie udawał kogoś innego (kobiety lubią być sobą, gdy czują się komfortowo), był dżentelmenem, wzbudzał zaufanie, nie flirtował z innymi kobietami i... był dobry w łóżku. Aż 84 proc. kobiet oczekuje, że partner wytrzyma podczas stosunku co najmniej 15 minut.

* * *

Mogę się sobie przyjrzeć w twoich okularach?

Gdy następnym razem dziewczyna zawiesi wzrok na twoich okularach przeciwsłonecznych, nie spodziewaj się, że spyta, gdzie je kupiłeś. Badanie przeprowadzone przez Simple Skincare dowodzi, że panie przeglądają się w lustrze średnio 8 razy dziennie. Co ciekawe, uwielbiają także przeglądać się w ekranach telefonów czy właśnie w okularach przeciwsłonecznych innych ludzi. Inne popularne miejsca to lustra w sklepach, boczne lusterka w samochodzie i szklane szyby na budynkach.

Naukowcy z Uniwersytetu Montrealskiego dowiedli, że zapach noworodka ma wpływ na samopoczucie świeżo upieczonych mam. Analizowali oni w szczególności sposób, w jaki mózg matki reaguje na woń niemowlęcia. Odkryli, że specyficzny zapach aktywizuje w mózgu ośrodek nagrody, który także odpowiada za euforię po uprawianiu seksu lub wzięciu narkotyku. Również dlatego więź matki i dziecka jest tak silna.

Marcel Szuplewski
Dawid Tekiela

Bezużyteczna.pl. Codzienna dawka wiedzy bezużytecznej, Kraków 2015, s. 97.

Istnieje książka pod tytułem „Wszystko, co mężczyźni wiedzą o kobietach".

Składa się ona ze stu kompletnie niezapisanych stron. Jej autorem jest doktor Alan Francis. W opisie można przeczytać: „Znany amerykański psycholog Alan Lowell Francis, opierając się na wieloletnich badaniach i sondażach przeprowadzonych wśród tysięcy mężczyzn, stara się odpowiedzieć na pytanie, co wiedzą inni o przyjaźni z kobietami, budowaniu intymnej więzi, zaspokajaniu seksualnych potrzeb partnerki, emocjonalnym zaangażowaniu, pielęgnowaniu uczuć. W swojej pracy szczerze i wnikliwie przedstawia stan wiedzy mężczyzn o najbardziej skomplikowanej ze wszystkich istot – kobiecie". W samych Stanach Zjednoczonych książkę kupiło ponad milion osób!

- Najmłodszą rozwódką na świecie była 8-letnia Fatima Mangre z Indii.
- Dziewczynka porzuciła swego 14-letniego męża, którego poślubiła w wieku zaledwie 4 lat.
- Ciężarne kobiety, które chrapią podczas snu co najmniej trzy razy w tygodniu, częściej rodzą mniejsze dzieci.
- Mężczyzna mniej się męczy podczas biegania, gdy biega z kobietą.
- Tylko 2 proc. kobiet uważa się za piękne – wykazało badanie firmy Dove.
- W Nowym Jorku kobiety mają prawo chodzić topless ulicą.
- Kobieta może zajść w ciążę nawet 5 – 8 dni po stosunku.
- Chińskie linie lotnicze nie chcą zatrudniać nieatrakcyjnych kobiet. Idealna stewardesa musi mieć mniej niż 25 lat, być singielką, mieć od 150 do 180 cm wzrostu, zgrabne nogi, nie nosić okularów i nie mieć widocznych blizn lub tatuaży. W efekcie 98 proc. kobiet nie przechodzi pierwszej rozmowy kwalifikacyjnej.
- Huragany mające żeńskie imiona zabijają więcej osób niż „męskie" huragany, ponieważ ludzie podświadomie bardziej je lekceważą.
- Aż 75 proc. kobiet odmówiłoby randki z bezrobotnym mężczyzną, nawet gdyby był w ich typie.
- Kobiety w starożytnym Rzymie smarowały się potem gladiatorów, aby poprawić wygląd skóry.
- Co czwarta kobieta uważa, że mężczyzna jest bardziej seksowny, jeżeli ma dużo pieniędzy.
- Przeciętna kobieta poświęca 287 dni w życiu na podejmowanie decyzji, w co się ubrać.
- Przeciętny czas, w którym kobieta jest w stanie dotrzymać tajemnicy, wynosi 47 godzin i 15 minut.
- Kobiety, które piją przynajmniej 4 kubki kawy dziennie, narażone są na mniejsze ryzyko depresji.

Uśmiechnij się...

Facet wraca do domu po całonocnej libacji alkoholowej o 6 nad ranem. Drzwi otwiera zaspana żona i pyta:
– Zakładam, że masz bardzo dobry powód, dla którego pojawiasz się o tej godzinie?!
Na co on odpowiada:
– Śniadanie, kochanie!

* * *

W aptece:
– Jest kwas acetylosalicylowy?
– Chodzi pani o aspirynę?
– Tak, ciągle zapominam tej nazwy...

* * *

Pułkownik pyta swoich żołnierzy:
– Kto jedzie na wykopki ziemniaków do siostry generała?
Zgłasza się trójka ochotników.
– Dobrze więc, wy jedziecie, reszta idzie na nie piechotą.

* * *

Autobusowa wycieczka zagraniczna. Przed granicą autokar staje; panie na prawo, panowie na lewo. Potem wracają, a kierowca pyta:
– Czy nikogo wam nie brakuje?
Cisza, autokar odjeżdża. Przed kolejną granicą do kierowcy podchodzi podchmielony pasażer:
– Panie kierowco, nie ma mojej żony.
– Przecież pytałem, czy nikogo wam nie brakuje!
– Mnie jej nie brakuje, tylko po prostu mówię, że jej nie ma.

* * *

Ojciec do syna:
– A ty co się tak kręcisz po domu, przecież masz lekcje online?
– Tak, ale dziś jest wycieczka!

* * *

– Pan Kowalski?
– Tak.
– Proszę przyjechać po Jasia do szkoły.
– No nie... Co znowu narozrabiał?
– Nic, ale jest już prawie północ.

* * *

Lekarz do pacjenta:
– Gratuluję, nie ma pan już wysokiego ciśnienia.
– To zasługa żony.
– Tak dba o pana?
– Wyjechała do sanatorium.

* * *

Małżeństwo podczas kolacji. Pan domu podsuwa swój talerz psu.
– Ależ, kochanie, nie chcesz chyba oddać swojej porcji Azorowi! – oponuje małżonka.
– Oddać nie – mruczy pod nosem mąż – tylko zamienić...

* * *

Rozmawiają dwaj koledzy:
– Chyba zatrudniłam niewłaściwą ekipę do wykończenia mieszkania.
– Dlaczego tak sądzisz?
– Wykończyli mi wszystkie alkohole i całe jedzenie z lodówki.

* * *

W kinie facet położył rękę na kolanie swojej sąsiadki.
– Pan się chyba pomylił?! – protestuje kobieta.
– A więc to nie jest pani kolano?

* * *

W mieszkaniu dzwoni telefon.
Kowalski, ojciec trzech dorastających córek, podnosi słuchawkę.
– Halooo, czy to ty, Żabciu? – słyszy w słuchawce ciepły baryton.
– Nie, przy telefonie właściciel stawu.

* * *

Facet pyta kolegę:
– Dlaczego ty zawsze nosisz buty za małe o dwa numery?
– Jestem na bezrobociu, mam obrzydliwą żonę, syn ma w szkole same pały, teściowa od rana wrzeszczy... Jedyną radością w moim życiu jest chwila, gdy wieczorem zdejmuję buty.

* * *

Przychodzi Marian do lekarza. Lekarz zbadał go i mówi:
– Nie pić, nie palić, nie denerwować się.
Marian wstaje i kieruje się do wyjścia.
– Dlaczego pan wychodzi?
– Żeby się nie denerwować!

* * *

Wchodzi baca do sklepu i nie zamyka drzwi.
– Baco, drzwi w domu nie macie? – krzyczy ekspedientka.
– Mom, i taką cholerę jak wy tyz mom.

* * *

– Postanowiłem dać żonie więcej swobody – mówi kumpel do kumpla.
– W jaki sposób?
– Powiększam kuchnię…

* * *

Jaś pyta dziadka:
– Dziadku, czy leciałeś już samolotem?
– Tak.
– A bałeś się?
– Tylko za pierwszym razem.
– A później?
– Później już nie latałem.

* * *

Trzej faceci rozmawiają o tym, co chcieliby usłyszeć na swoim pogrzebie. Pierwszy mówi:
– Chciałbym, aby w mowie pogrzebowej postawili mnie jako wzór ojca, przykład kochającego męża i oddanego pracownika...
Drugi mówi:
– Ja to bym chciał, żeby powiedzieli o mnie, że zawsze za mną szalały kobiety.
– A ja chciałbym usłyszeć – mówi trzeci – „Patrzcie, patrzcie, on się chyba rusza!”.

* * *

Wchodzi gościu do knajpy, a tam zadymiona atmosfera. Rozgląda się – wszystkie miejsca zajęte... Przy jednym ze stolików trzech siedzi – jedno miejsce wolne.
– Czy to jedno miejsce jest wolne?
Jeden z trzech siedzących zagląda pod stół i pyta:
– Sssttassieek, beedziesz jeszcze ssiedział...?

* * *

Przychodzi facet do spowiedzi:
– Ojcze, cały czas słyszę głos, który mówi mi, co mam robić. Czy jestem opętany?
– Nie, synu! Jesteś żonaty.

* * *

Niemiec, Anglik i Polak dostaną 1 000 000 zł, jeśli przejadą przez rój komarów bez ukąszenia.
1. Niemiec jedzie mercem 300 km/godz. – ugryzł go komar.
2. Anglik jedzie astonem martinem 330 km/godz. – ugryzł go komar.
3. Polak jedzie „komarkiem” 25 km/godz., a przywódca komarów mówi:
– Stać! To nasz! *(cdn.)*

Wytęż wzrok...

...i znajdź 10 szczegółów różniących te dwa obrazki.

Fot. Domena publiczna

Zagadka

Ukryta nazwa

Jak szybko zdołasz odnaleźć słowo RANGOON? Pojawia się tylko raz i może być usytuowane poziomo, pionowo lub po przekątnej i biec od lewej do prawej strony lub od prawej do lewej.

N	O	N	O	G	G	O	R	O	R	A	N
R	R	O	O	O	A	N	O	A	G	A	A
R	O	N	N	R	N	N	A	O	O	R	R
G	N	N	O	G	G	O	A	R	A	N	N
N	N	O	O	O	N	N	N	R	G	N	R
O	O	R	O	O	R	G	O	N	O	A	N
O	A	O	N	G	O	A	N	N	A	R	O
N	G	N	N	G	N	N	N	O	O	G	O
G	N	R	G	O	O	A	O	N	A	O	A
N	N	N	A	R	G	O	R	O	A	R	R
N	G	O	N	O	R	O	R	N	N	G	O
O	N	N	N	O	O	O	N	O	R	A	G

Rozwiązanie 3/2023

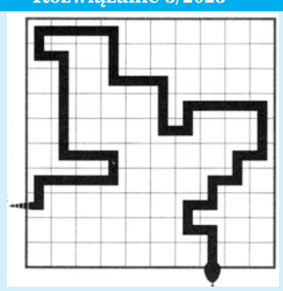

Przede wszystkim aktorka

To film Radosława Piwowarskiego „Pociąg do Hollywood” zrobił z niej gwiazdę

Nie tylko figura. Katarzyna Figura

Pojawiła się w polskim kinie w 1985 roku, gdy największe triumfy święciła Grażyna Szapołowska. W kategorii ekranowych obiektów pożądania uśmiechnięta blondynka z dużym biustem stała się niejako przeciwieństwem swojej poprzedniczki. Jedna – tajemnicza i zmysłowa, z predyspozycją do dramatów psychologicznych, druga – nieskomplikowana i chętna do wygłupów, najlepiej odnajdująca się w komedii, a nawet grotesce. Uroda długo była największym atutem Figury. Bił od niej blask iście hollywoodzki, a przecież jednocześnie wydawała się bardzo swojska, nasza, słowiańska.

Ekspres do sławy

Wydaje się, że film taki jak „Pociąg do Hollywood” Radosława Piwowarskiego (1986) musiał się pojawić w filmografii Katarzyny Figury. Po prostu naturalną koleją rzeczy po coraz większych i ważniejszych rolach pojawiła się taka, która zrobiła z niej gwiazdę. Na podobny tytuł czekali praktycznie wszyscy, zarówno sama aktorka, publiczność, jak też krytycy potrzebujący ostatecznego potwierdzenia jej talentu. Postać Marioli Wafelek zwanej Merlin tak zrosła się z wizerunkiem Figury, że trudno sobie wyobrazić kogoś innego na jej miejscu, ale scenariusz był pisany z myślą o innej aktorce. Radosław Piwowarski tworzył go dla Joanny Pacuły, z którą współpracował dwa razy na przełomie lat 70. i 80. przy telewizyjnym filmie „Córka albo syn” (1979) i serialu „Jan Serce” (1981). W połowie lat 80., po roli w „Parku Gorkiego” Michaela Apteda (1983), Pacuła miała otwarte drzwi do hollywoodzkiej kariery. „Pociąg do Hollywood” miał być ironicznym komentarzem do jej drogi życiowej, dziewczyny z Tomaszowa Mazowieckiego, której udało się przebić na amerykańskim rynku filmowym i zagrać u boku Williama Hurta i Lee Marvina. Pacuła nie była jednak zainteresowana powrotem do polskiego kina, czemu trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że właśnie wówczas została zaangażowana, między innymi z Rutgerem Hauerem i Alanem Arkinem, do słynnej „Ucieczki z Sobiboru” Jacka Golda (1987).

Tęsknota do lepszego świata

Tym samym pojawiła się szansa dla Figury, którą wykorzystała w stu procentach, bez przesady można bowiem powiedzieć, że największym atutem filmu jest jej rola. Nasyciła postać nie tylko ekspresją i naturalnością, ale także uwiarygodniła zafascynowanie bohaterki Marilyn Monroe i tęsknotę do innego, lepszego świata. Jeśli „Pociąg do Hollywood” można dziś oglądać bez znużenia, to właśnie dzięki Figurze, której postać łączy ze sobą mniej lub bardziej interesujące epizody. Nieoczekiwanie moment, gdy film wchodził na ekrany, nadał mu dodatkowe znaczenie. Banalna w gruncie rzeczy opowieść o potrzebie marzeń i miłości do kina stała się przypowieścią o pokoleniu Polaków i Polek, którzy w połowie lat 80. podobnie jak Mariola Wafelek czekali w marazmie na cud. W takiej interpretacji będzie to nadchodząca transformacja ustrojowa, która rozpoczęła się w 1989 roku. U Piwowarskiego cudem w sekwencji końcowej jest naga Katarzyna Figura i telefon z propozycją współpracy od Billy'ego Wildera, który przecież przebył drogę z Suchej Beskidzkiej do Hollywood. Mamy więc obietnicę nieskrępowanego seksu i współczesny raj, czyli mityczną Amerykę i jej dolary. Tak właśnie większość ówczesnego społeczeństwa wyobrażała sobie ustrój kapitalistyczny, który, jak się szybko okaże, niekoniecznie będzie mieć dobrotliwy głos weterana fabryki snów. Planowane zakończenie filmu było jeszcze bardziej jednoznaczne i rozgrywało się w Kalifornii, dokąd miała dotrzeć Merlin, by spotkać się z Billym Wilderem mającym zagrać samego siebie. Ze względu na niewielki budżet do Hollywood nie udało się dolecieć, o czym Figura powiedziała w wywiadzie dla „Sukcesu”: „Nie dojechaliśmy tam z kamerami, chociaż scenariusz filmu kończył się scenami na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Nie starczyło pieniędzy na realizację zdjęć. W tym czasie budżet kinematografii był bardzo skromny, a teraz jest... jeszcze gorzej”.

Narodziny gwiazdy

Film spotkał się z dobrym przyjęciem, jej rola – z bardzo dobrym. „Pociąg do Hollywood” zrobił z niej gwiazdę. Jak głosi anegdota, sprawę przypieczętował Piwowarski, który podczas pokazu filmu na festiwalu w Gdyni powiedział dziennikarzom: „Myślę, że narodziła się gwiazda”. Po czym dodał: „Gwiazda nie może być z nami, bo właśnie pojechała na porodówkę”. Przyjęcie było ciepłe, chociaż Brązowymi Lwami gdańskimi nagrodzono jedynie Jerzego Stuhra za rolę drugoplanową. Czy Katarzyna Figura miała wówczas szansę na jakiekolwiek aktorskie wyróżnienie? Raczej nie, bo w 1987 roku w konkursie startowało wiele filmów zdjętych z półek po kilkuletnim leżakowaniu i to one wzbudzały największe zainteresowanie, ostatecznie triumfując, z „Matką Królów” Janusza Zaorskiego (1982) na czele, która otrzymała Grand Prix, a odtwarzającą tytułową postać Magdę Teresę Wójcik wyróżniono za pierwszoplanową rolę kobiecą. Dziennikarz „Przekroju”, pisząc o konkurentkach Wójcik do nagrody, o Figurze nawet nie wspomniał. Skupił się na kreacjach Joanny Sienkiewicz w „Życiu wewnętrznym” Marka Koterskiego (1986) oraz Małgorzaty Pieczyńskiej, która zachwyciła zarówno w starszej „Wiernej rzece” Tadeusza Chmielewskiego (1983), jak i nowej „Komediantce”, gdzie grała główną bohaterkę. Zupełnie inaczej zdecydowała publiczność, a konkretnie czytelnicy i czytelniczki „Filmu”, przyznając Figurze Złotą Kaczkę za rok 1987. Przy okazji redakcja pisma zdradziła, że już w poprzednim roku aktorka znalazła się wśród faworytek do nagrody, wówczas jednak wyprzedziły ją starsze koleżanki – Ewa Wiśniewska i Krystyna Janda. Tym razem drugie miejsce zajęła Magda Teresa Wójcik, a tuż za „Matką Królów” w kategorii najlepszego filmu uplasował się „Pociąg do Hollywood”. Sukces u Piwowarskiego uczynił z Figury nie tylko gwiazdę, ale i symbol seksu. Niektórzy krytycy niemal jawnie deklarowali pożądanie odczuwane na widok aktorki. Maciej Pawlicki zachwycał się w „Filmie”: „Myślę, że jednym z istotnych składników jej sukcesu jest czar. Jest kimś, na kogo lubimy patrzeć, lubimy słuchać, chcemy jego obecności. Akceptujemy jej gesty, spojrzenia, intonację głosu; gdybym był dziewczyną, pewnie bym wszystko to próbował naśladować. Ale dziewczyną nie jestem i patrząc na Katarzynę Figurę, wiem, że bardzo nie jestem”. Niezwykłość całej sytuacji polegała na tym, że w „Pociągu do Hollywood” nie było wątku miłosnego. Ostatnia scena z nagą aktorką miała sprawić przyjemność szczególnie męskiej części widowni, ale na tym kończył się jej erotyzm. Bo Merlin kocha kino i siebie jako gwiazdę i w przeciwieństwie do współlokatorki Sandry (Grażyna Kruk) nie jest zainteresowana mężczyznami, co najwyżej może godzić się na adorowanie, jak w wypadku Żeni (Eugeniusz Priwieziencew), ale nie chce się wiązać. Najlepiej układa się jej relacja z Piotrusiem (Piotr Siwkiewicz), bo traktuje go po przyjacielsku; nawet ich pocałunki są tylko zabawą.

Tak będzie też w kolejnych rolach Figury. Jej bohaterki raczej dają się kochać, niż same kochają, ubierają się i rozbierają dla przyjemności widza, a do łóżka ewentualnie mogłyby pójść, żeby sobie coś załatwić. To bardzo znaczące, że na pierwszym etapie kariery aktorka nie miała na swoim koncie odważnych scen łóżkowych. Zagra w nich dopiero, gdy będzie występować za granicą.

Katarzyna Figura w „Pociągu do Hollywood” w 1986 roku. Partneruje jej Piotr Siwkiewicz Fot. Filmweb.pl

Przede wszystkim aktorka

W filmie „Kingsajz" Jacek Chmielnik chodzi po wielkim ciele Katarzyny Figury, próbując ja obudzić Fot. youtube

Nie chcę być seksbombą

Kiedy czyta się wywiady prasowe z Katarzyną Figurą z lat 80., uderza w nich, jak bardzo na początku uosabiała wyobrażenie o skromnej i ambitnej młodej aktorce, która chce rozwijać talent i udowodnić, że uroda i ciało nie są jej jedynymi atutami. Unikała łatwych porównań, pytana o ulubionych aktorów, wymieniała Jacka Nicholsona i Jane Fondę, a wciąż nagabywana o Marilyn Monroe, odpowiedziała: „Wolałabym być porównywana do Romy Schneider". Deklarowała: „Jestem aktorką zawodową i zapewniam panią, że nie zdecydowała o tym uroda. Gdyby tak było, może pracowałabym na przykład jako modelka albo hostessa". Część jej pozytywnego wizerunku stanowiło podejście do seksu na ekranie: „Mój stosunek do filmowej erotyki jest powściągliwy, ale nie pruderyjny. Powściągliwy w tym sensie, że nie znoszę nadużywania seksu jako taniego efektu. Miałam ostatnio mnóstwo propozycji, by zagrać w filmach współczesnych, w których moja rola była pretekstem do rozbieranek i soczystych scen erotycznych. Wyobraża pan sobie, jaką popularność mogłabym zdobyć, gdybym się na to zgodziła? Tylko że nie mam ochoty na karierę striptizerki ani aktorki filmów soft porno. Mogę zaakceptować erotyzm z moim udziałem, jeśli jest uczciwie wpisany w obraz zachowań i przeżyć ekranowych postaci. Jeśli pokazuje kontakt dwojga ludzi, a nie tylko dwóch ciał". W tym samym wywiadzie z końca 1987 roku stwierdziła wręcz, że nie lubi traktowania jej jako seksbomby: „Od pewnego czasu dostrzegam w niektórych publikacjach prasowych, także opiniach wyrażanych w innej formie, tendencję do traktowania mnie wyłącznie jako wizualnej ozdoby ekranów, symbolu seksu. Moja rola w «Pociągu do Hollywood» sprowadzona została w niektórych tekstach do końcowej «rozbieranej» sceny. Pewnie pan zauważył, że nie dążę do epatowania widzów swoją nagością, ale z drugiej strony wiem, że stereotypy łatwo zadomowiają się w ludzkiej świadomości i moja sytuacja nie jest czymś wyjątkowym. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy felietoniści zawsze będą się zachowywać jak chłopcy w wieku dojrzewania, a inni muszą przecież szukać materiału do cotygodniowej porcji koszarowych dowcipów. Biust Figury jest dla nich znakomitym tematem".

Częścią ucieczki przed tego rodzaju zaszufladkowaniem była rezygnacja z roli w „...jestem przeciw" Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego (1985): „Bardzo chciałam zagrać w tym filmie, długo przygotowywałam się do roli. W ostatniej chwili zrezygnowałam, gdyż scena, w której miałam wystąpić nago, była w moim rozumieniu bezsensowna, a dla mnie jako aktorki upokarzająca". Chodziło prawdopodobnie o postać Jolki, zagraną ostatecznie przez Annę Gornostaj, i scenę, w której zdesperowana bohaterka, aby zdobyć kolejną działkę narkotyków, idzie do dilera (Mieczysław Hryniewicz), rozbiera się do pasa i daje się namówić na seks oralny, który jednak zostaje raczej zasugerowany niż pokazany. Najsłynniejsza jest jednak inna oferta, którą Figura wówczas odrzuciła. I nie chodziło o rolę, lecz o sesję zdjęciową: „Podczas festiwalu w Miami na jednym z przyjęć podeszła do mnie fotografka z «Playboya» i zaproponowała dwa dni zdjęć na plaży. Żadnych perwersji. Po prostu piękna kobieta w pięknym otoczeniu. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć, więc zapytałam, ile mi zapłacą. «9 tysięcy dolarów» – odpowiedziała. Stojący obok mnie Piotrek Siwkiewicz odciął: «Mało», bo też nie wiedział, co powiedzieć. Na tym rozmowa się skończyła. Ale następnego dnia dostałam oficjalną ofertę zgłoszoną przez biuro dyrektora festiwalu: «Playboy» proponował mi dwudniową sesję zdjęciową za sumę czterokrotnie wyższą od tej, o której mówiła fotografka. Zdjęcia miały być podpisane: «Katarzyna Figura, aktorka z Polski», trudno o lepszą reklamę. I co wtedy zrobiła mała Kasia Figura? Spakowała walizki i uciekła. Bo się bała".

Jej stosunek do nagości szybko się jednak zmienił i już wkrótce aktorka nie będzie mieć podobnych oporów. Ostatni raz broniła się przed rozbieranymi scenami w wywiadzie z 1990 roku: „Jeśli to możliwe, staram się unikać tego rodzaju sytuacji i decyduję się na te sceny tylko wówczas, gdy uznaję je za potrzebne".

Od początku bardzo chętnie pokazywała się za to z synem, nazywanym życiowym osiągnięciem i największą miłością. Zapewniała też, że nie poprzestanie na jednym dziecku: „Zamierzam mieć dużo dzieci, co najmniej trójkę. Niebawem planuję drugie".

Chciałbym być twoim krasnoludkiem

Po „Pociągu do Hollywood" dobra passa Katarzyny Figury trwała. Aktorka dostawała następne role, często trafiała na okładki pism, udzielała wywiadów. Kolejnym filmem, który podtrzymał jej popularność, był „Kingsajz" Juliusza Machulskiego (1987). Współczesna baśń o krasnoludkach nie mogła się równać pod względem powodzenia z podobną pod wieloma względami „Seksmisją", ale i tak przyciągnęła do kin ponad półtora miliona widzów, stając się drugim najpopularniejszym polskim filmem 1988 roku. Komediowe zacięcie Figury pozwoliło jej znakomicie odnaleźć się w nieco absurdalnym świecie Kingsajzu. Jako Ala, projektantka mody, która wspiera Ola (Jacek Chmielnik) w walce z podziemną dyktaturą, była dobrym i ciepłym przeciwieństwem wyniosłej Ewy (Liza Machulska), poprzedniej narzeczonej bohatera. Rodzące się uczucie Ali i Ola nie zostało pokazane na ekranie; para sprzymierza się raczej we wspólnej sprawie, niż oddaje namiętności.

Jest tam jednak scena, która nie tylko została uznana za bardzo erotyczną, ale bez wątpienia przyczyniła się do utrwalenia wizerunku Figury jako seksbomby. Chodzi o moment, w którym Olo jako krasnoludek chodzi po wielkim ciele partnerki, próbując ją obudzić. Ekspozycja była niesamowita, widz razem z kamerą wędrował centymetr po centymetrze po gigantycznej Figurze wypełniającej cały ekran. Pokazane w „królewskim rozmiarze" krągłości aktorki i jej słowa: „Musimy koniecznie coś zrobić, żebyś znowu przeszedł w kingsajz", zostały odebrane jako bardzo zmysłowa obietnica seksu. Mężczyźni słali do aktorki listy z wyznaniem: „Chciałbym być twoim krasnoludkiem". Kadr z tej sceny trafił na plakat reklamowy filmu, a trzydzieści lat po realizacji została ona nagrodzona w konkursie miesięcznika „Film" jako „Najlepsza scena erotyczna polskiego kina". Sama Figura mówiła o swojej roli jak o nowym wyzwaniu aktorskim: „Ala w «Kinzsajzie» Juliusza Machulskiego to osoba zdecydowana, niezależna, pewna siebie. Po raz pierwsze stworzyłam taką postać. Musiałam zdecydowanie wyeliminować z gry jedną z zasadniczych moich cech – nerwowość".

Krzysztof Tomasik

„Seksbomby PRL-u", Warszawa 2014, s. 460.

Smacznego

W kuchni Ewy Wachowicz

Prosty przepis na makaron z brokułami

Brokuły – jedni je uwielbiają, inni za nimi nie przepadają. Warto jednak włączyć je do swojej diety, ponieważ mają dużo prozdrowotnych właściwości. Co więcej, można wykorzystać je w kuchni na wiele różnych smacznych sposobów. Dzisiaj zaprezentuję przepis na makaron z brokułami.

Nie ukrywam, że w mojej rodzinie nie brakuje osób, które nie lubią brokułów. Mimo iż te warzywa mają charakterystyczny smak, który nie wszystkim odpowiada, to istnieją kulinarne triki, które pomagają go zniwelować. Wszystko zależy od tego, jakie danie będziemy przygotowywać, a przede wszystkim, jakie przyprawy do niego dodamy. To właśnie one są w stanie całkowicie zmienić charakter potrawy. Można do nich zaliczyć na przykład gałkę muszkatołową, czosnek, a nawet serek mascarpone.

Gdy mówimy o brokułach i ich wykorzystaniu w kuchni, bardzo często przychodzi nam na myśl zupa krem. Jest to jedna z opcji, którą bardzo lubię. Niemniej polecam także makaron z dodatkiem brokułów. To przepis na zdrowy i szybki obiad, który bez problemu możecie też wziąć ze sobą do pracy. Gwarantuję, że jego przygotowanie nie zajmie dużo czasu, a efekt zaskoczy nawet tych, którzy do tej pory nie byli fanami brokułów. Warto spróbować, ponieważ warzywa te zawierają wiele witamin oraz minerałów. Bardzo często mówi się też o ich właściwościach antynowotworowych. Mają wpływ na usprawnienie krążenia krwi i obniżenie ciśnienia tętniczego. Brokuły są odpowiednie dla cukrzyków (mają niski indeks glikemiczny) oraz dla osób, które dbają o zgrabną sylwetkę. To bez wątpienia dietetyczny produkt. Zachęcam was do wykorzystania poniższego przepisu i wzbogacenia go waszymi ulubionymi przyprawami. Polecam też nakłonić dzieciaki do jego skosztowania – warto wyrabiać dobre nawyki żywieniowe wśród najmłodszych!

Składniki:

- makaron wstążki
- jeden brokuł
- cebula
- 2 ząbki czosnku
- pół szklanki śmietany kremówki
- kawałek sera dojrzewającego typu parmezan
- masło klarowane
- sól
- pieprz
- gałka muszkatołowa

Przygotowanie:

1. Na wrzątek wrzucić różyczki brokułu i gotować bez przykrycia kilka minut. Warzywo powinno być wystarczająco miękkie, ale jędrne jednocześnie.
2. Zahartować w zimnej wodzie i odcedzić brokuły na sitku. Po przestudzeniu można je drobniej pokroić i umieścić w misce.
3. Na patelni roztopić masło i zeszklić na nim cebulkę pokrojoną w drobną kostkę. Do cebuli wrzucić czosnek przeciśnięty przez praskę. Smażyć już tylko chwilę, uważając, aby czosnek się nie przypalił.
4. Do cebuli z czosnkiem dolać śmietanę i zetrzeć ser, zostawiając go trochę do posypania gotowej potrawy. Przyprawić solą, pieprzem i świeżo startą gałką muszkatołową. Podgrzewać, aż sos zgęstnieje.
5. Makaron ugotować al dente. Odcedzić i przełożyć do sosu. Delikatnie wymieszać.
6. Na talerz nałożyć makaron i dodać różyczki brokułu. Posypać resztą startego sera.

Fot. archiwum prywatne

Marek Brzeziński PROPONUJE

Pstrąg jak łosoś i w pysznym sosie

Tym razem chodzi o pstrąga nazywanego w Polsce tęczowym, a we Francji morskim. Jest tańszy od łososia – ryby królewskiej – lecz nie mniej od swojego kuzyna smaczny. Przez to pokrewieństwo można często u francuskich „rybiarzy" kupić jego płaty lub filety z pstrąga łososiowatego.

Pstrąg tęczowy pochodzi z wód Ameryki Północnej (od Alaski po Meksyk), ale w tej chwili można tę rybę spotkać na wszystkich kontynentach poza Antarktydą. Trafimy na nią i w wodach w Polsce. Żyje w rzekach, potokach i jeziorach, ale również w wodach morskich. Lubi, gdy jest ona chłodna i czysta.

Świetny na przekąskę

Podobnie jak w przypadku łososia mięso pstrąga odpowiednio spreparowane doskonale nadaje się do tak zwanych aperos, czyli rodzaju kulinarnego aperitifu zwanego tutaj amuse-bouches, czyli „rozbaw buzię". W maleńkich szklaneczkach na kawałkach awokado układa się wąskie plasterki wędzonego pstrąga i skrapia się je świeżo wyciśniętym sokiem z limonki. Szczypta cayenne. Całość dekorujemy posiekaną kolendrą i gałązkami koperku. Innym pomysłem na „drobną przyjemność na podniebieniu" jest siekany pstrąg z rozdrobnionymi przegrzebkami św. Jakuba, z dodatkiem koperku, drobniutko pociętej szalotki, słodkawej cebulki, a całość znów jest skropiona sokiem z limonki.

Przepis mistrza

Jeden z trzech największych kucharzy francuskich XX wieku i początków XXI stulecia Joël Robuchon poleca pstrąga tęczowego w bulionie z warzyw. Od jego przygotowania zaczynamy, bo potem musimy nasz wywar schłodzić. Gotujemy litr wody, doprowadzając ją do bulgotania. Dorzucamy bukiet garni, czyli trzy gałązki pietruszki, jedną tymianku i listek laurowy – wszystko to owinięte w dwa liście pora i mocno zawiązane kuchennym szpagatem. Dodajemy zmiażdżony nożem na płask czosnek i marchewkę z grubsza pokrojoną w kawałki. 10 minut gotowania i dorzucamy plasterki białej i czerwonej cebuli. Trzy czwarte szklanki białego, wytrawnego wina. Sól. Ziarnka pieprzu. Sok z cytryny. Po zagotowaniu garnek odstawiamy i czekamy, aż wywar wystygnie.

Fot. autor

Pstrąga należy starannie opłukać, wsadzić do miski z lodowatą wodą, a potem trzeba go dokładnie wytrzeć papierowym ręcznikiem i wsadzić do lodówki. W czasie gdy bulion stygnie, przygotowujemy sos. Zimne masło kroimy na niewielkie kostki i wsadzamy je do lodówki. Na patelni ląduje szalotka, którą posypujemy posiekaną kolendrą i dolewamy szklankę białego wytrawnego wina. Redukujemy. Powoli, jedna kostka po drugiej, dorzucamy wychłodzone masło, czekając, aż poprzednia kostka się rozpuści. Całość przecedzamy przez sitko, rozcierając starannie łyżką stołową. Pstrąg wędruje na ogromną patelnię. Rybę polewamy bulionem. W ostatniej chwili dodajemy sosy.

Pstrąga przyrządzimy tak, jak radził wielki mistrz Joël Robuchon – w warzywach i w białym winie. Biała fasola, zapiekana na maśle z czosnkiem niedźwiedzim, szczypta espelette; bez niej nie można żyć. No i wino. Langwedocja. Kraina langue d'oc – języka trubadurów. A zatem i miejscowe wyborne białe wina. Catalan Chardonnay. 2014. Aromatyczne, o olśniewającym bukiecie. Pełnym owocowych nut.

Zamek dla psa premiera Orbána

Węgry stanęły w obliczu gospodarczego kryzysu. Szerzy się bieda. Mimo ekonomicznej mizerii premier Viktor Orbán buduje sobie luksusową rezydencję w pobliżu rodzinnej wsi Felcsút.

W styczniu br. inflacja w kraju bratanków wyniosła 25,7 proc. i jest najwyższa w Unii Europejskiej. W grudniu 2022 roku obroty produktami żywnościowymi były o 8,3 proc. mniejsze niż w tym samym miesiącu roku poprzedniego. Kraj wszedł w trwałą recesję. Dzieje się tak mimo prorosyjskiej polityki premiera Viktora Orbána, która zapewnia Madziarom tańsze surowce energetyczne. Za to Węgry nazywane są „koniem trojańskim Putina w Unii Europejskiej".

Mimo wszelkich kłopotów szef gabinetu, dygnitarze rządzącej partii Fidesz oraz związani z władzą oligarchowie mają się jak pączki w maśle. Umiejętnie wykorzystują bowiem fundusze Unii Europejskiej, które pokrywają 6 do 7 proc. wydatków budżetowych. Według organizacji Transparency International w 2022 roku Węgry zajmowały pierwsze miejsce na liście najbardziej skorumpowanych krajów UE. Dochodzenia przeprowadzone przez niezależny Ośrodek Badań nad Korupcją w Budapeszcie wykazały, że w latach 2005--2021 jedna piąta wartości wszystkich publicznych kontraktów, finansowanych przede wszystkim przez eurofundusze, trafiła do 12 osób związanych z rządem. Byli wśród nich ojciec premiera Orbána, jego bracia i zięć.

Lörincz Mészáros, kolega z dzieciństwa szefa rządu, w 1999 roku właściciel podupadającego zakładu instalacji gazowych, stał się najbogatszym człowiekiem w kraju. Obecnie należy do niego około 200 przedsiębiorstw różnych branż, zgrupowanych w pięciu koncernach. W 2019 roku magazyn „Forbes" ocenił wartość majątku madziarskiego oligarchy na 1,3 miliarda dolarów. Niektórzy uważają, że Lörincz Mészáros to „człowiek słup narodu" czy też „człowiek podpis", który umożliwia klanowi Orbána gromadzenie dóbr doczesnych. Lörincz Mészáros w latach 2011 – 2018 był burmistrzem Felcsút, wsi w północnych Węgrzech, w której dorastał obecny premier. Właśnie ta miejscowość stała się symbolem dziwnych operacji finansowych i wielkopańskich manier obozu rządzącego. W 2005 roku Orbán założył tu klub piłkarski Puskás Akadémia FC, który osiem lat później awansował do pierwszej ligi. Na potrzeby klubu w latach 2012--2014 zbudowano stadion Pancho Aréna dla 3816 widzów, podczas gdy we wsi mieszka najwyżej 1800 osób. W 2015 roku powstała kolej wąskotorowa Vál-Völgyi, kursująca pomiędzy stadionem a arboretum w Alcsútdoboz na odcinku 6 km. Bruksela przeznaczyła na ten cel prawie 2 miliony euro. Obecnie w Felcsút budowana jest kładka w kształcie łabędzia, prowadząca na sztuczną wyspę, oraz

Rys. Mirosław Stankiewicz

restauracja o szklanych ścianach. Kontrakt na te inwestycje otrzymał Lörincz Mészáros. Ten obrotny miliarder wziął w okolicy w dzierżawę liczne rozległe grunty. Pewien oburzony rolnik, któremu nie przedłużono umowy dzierżawnej, powiedział, że cały region powinien zostać przemianowany na „Mészáros-Orbán".

Machinacje premiera i jego wiernych niestrudzenie tropią dziennikarze portalów dochodzeniowych oraz niezależny deputowany Ákos Hadházy. To jeden z najodważniejszych opozycjonistów w kraju. Pewnego razu, gdy w parlamencie przemawiał szef rządu, Hadházy wstał ze swego miejsca, trzymając tablicę z napisem: „On musi kłamać, bo ukradł za wiele". Dociekliwy poseł często lata małym samolotem nad regionem Felcsút, aby sprawdzić, co się dzieje. Wypatrzył, że na posesji o powierzchni 13 hektarów od 2019 roku trwają intensywne prace budowlane. A nie powinny, ponieważ nieruchomości to dawna wiejska rezydencja arcyksięcia Józefa Habsburga (1776 – 1847), feldmarszałka i palatyna Węgier, nosząca nazwę Hatvanpuszta. Najwidoczniej nikt nie przejmuje się takimi drobiazgami, konserwator nie zaprotestował. Na terenie posiadłości zburzono dawne owczarnie, objęte ochroną zabytków, i na ich miejsce postawiono nowe. Budynek mieszkalny został odrestaurowany, dobudowano do niego nowe skrzydło. Powstają podziemne garaże, domki dla gości, kaplica, obiekt z przeznaczeniem na klub, miejsca do ładowania samochodów elektrycznych. Trwają prace wykończeniowe w sali bibliotecznej w osobnym budynku z atrium i galerią. Niezależni dziennikarze oceniają, że koszty budowy to miliardy forintów. Fama głosi, że będzie to luksusowa rezydencja dla szefa rządu i jego rodziny. Plac budowy został odizolowany od świata, wprowadzono zakaz operowania dronami nad tą „prywatną posiadłością". Ludzie zauważyli jednak, że na terenie dawnej siedziby arcyksięcia często hasa biały pies. Deputowany Ákos Hadházy jest z zawodu weterynarzem. Sprawdził w rejestrach weterynaryjnych i dowiedział się, że czworonóg należy do Viktora Orbána i ma imię Nárcisz (Narcyz). Odtąd dowcipni Madziarowie nazywają posiadłość „zamkiem psa pana premiera". Niezależni dziennikarze ustalili, że nieruchomość nabył w 2011 roku ojciec szefa rządu Győzö Orbán i wydzierżawił na dziesięć lat Lörinczowi Mészárosowi, a po dekadzie odzyskał. Polityk Hadházy twierdzi, że tata szefa gabinetu jest także właścicielem położonego w pobliżu klubu golfowego. Znajduje się tam sprzęt do gry w golfa, który Viktorowi Orbánowi podarował Donald Trump.

W najnowszej deklaracji majątkowej premier Orbán wpisał, że jest posiadaczem tylko połowy mieszkania w Budapeszcie, skromnego domku wakacyjnego w Felcsút oraz 14 milionów forintów oszczędności (około 169 tysięcy zł). Panuje jednak powszechne przekonanie, że węgierski przywódca „oszczędził" znacznie więcej. (KK)

Na podst.:
Neue Zürcher Zeitung,
444.hu, Népszava,
The Telegraph, Die Presse
Angora nr 9/2023

Dyrektor baletu zemścił się na dziennikarce

Kupa w operze

Brzydko pachnąca afera wstrząsa szacowną Operą Państwową w Hanowerze i całym niemieckim światem kultury. Dyrektor baletu i główny choreograf Marco Goecke zaatakował Wiebke Hüster, dziennikarkę „Frankfurter Allgemeine Zeitung", i wysmarował jej twarz świeżą psią kupą. Była to zemsta za mało pochlebną recenzję jego spektaklu.

Oburzony komentator dziennika „Hannoversche Allgemeine Zeitung" napisał, że dyrektor powinien poszukać sobie nowego zawodu, ponieważ zachował się w sposób niecywilizowany i wstrętny. „Jaka tancerka i jaki tancerz będą teraz chcieli kontynuować pełną zaufania współpracę z człowiekiem, który wcisnął swej krytyczce w twarz psie odchody?".

50-letni Marco Goecke należy do luminarzy współczesnego niemieckiego teatru. Stworzył ponad 60 przedstawień na scenach RFN, a także Paryża i Zurychu. W ubiegłym roku został wyróżniony Niemiecką Nagrodą Tańca. Od 2019 roku jest dyrektorem Baletu Państwowego w Hanowerze, będącego częścią Opery Państwowej. 57-letnia Wiebke Hüster to doświadczona dziennikarka, na łamach opiniotwórczej „FAZ" recenzuje wydarzenia kulturalne od 23 lat. W sobotę 11 lutego krytyczka opublikowała felieton, w którym oceniła wieczór baletowy „In the Dutch Mountains" (W górach holenderskich). Przedstawienie to Marco Goecke wystawia w Hadze. Dziennikarka nie miała litości. Pisała o „syntaktycznym bezsensie abstrakcyjnej choreografii" i o tym, że tancerze mieli „ramiona przyklejone do ciała jak podwinięte psie ogony". Stwierdziła, że widzom groziło na przemian szaleństwo albo śmierć z nudów. Tego samego dnia wieczorem Wiebke Hüster udała się do Opery Państwowej w Hanowerze na premierę baletu „Wiara-Miłość--Nadzieja", którego twórcą jest Goecke. Podstępny los sprawił, że spotkała dyrektora podczas pierwszej przerwy. Marco Goecke jako ekscentryczny artysta nie rozstaje się ze swym jamnikiem imieniem Gustaw, którego nosi w teczce. Tuż przed przerwą piesek zrobił kupę, a jego pan starannie zebrał odchody do torebki. Gdy dyrektor baletu ujrzał dziennikarkę, ogarnęła go furia. Oskarżył recenzentkę o to, że uprawia krytykę w sposób zbyt osobisty i że z powodu jej tekstów widzowie rezygnują z abonamentu do opery. Zagroził, że zakaże jej wstępu do swego teatru.

Rys. Katarzyna Zalepa

Wiebke Hüster opowiadała później: „Nagle wyjął z teczki torebkę i wysmarował mi twarz psimi odchodami. Kiedy to poczułam, krzyknęłam". Sprawca odszedł jak gdyby nigdy nic przez zatłoczone foyer. Rzeczniczka prasowa teatru pomogła dziennikarce umyć się w łazience dyrekcji. Doprowadziwszy się do porządku Hüster natychmiast pojechała na policję i złożyła oficjalną skargę. Funkcjonariusze wszczęli dochodzenie. Dyrektor baletu podejrzany jest o uszkodzenie ciała i o znieważenie. Mundurowi zakomunikowali, że nie udało się zabezpieczyć dowodów rzeczowych w postaci psich fekaliów, wobec tego śledztwo będzie opierać się na zeznaniach świadków.

Rozpętała się prawdziwa burza. „Frankfurter Allgemeine Zeitung" żalił się, że doszło do „upokarzającego aktu" i „przekroczenia granicy". Nastąpiło nie tylko uszkodzenie ciała, ale także próba zastraszenia swobodnej krytyki wydarzeń kulturalnych. Frank Rieger, przewodniczący Związku Niemieckich Dziennikarzy w Dolnej Saksonii, oznajmił, że sprawca dokonał ataku na wolność prasy. 13 lutego dyrekcja Opery Państwowej wysłała winowajcę na przymusowy urlop. Marco Goecke nie okazał skruchy i zagrzmiał na Instagramie: „Po 20 latach tego g... wreszcie przebrała się miarka!". 16 lutego Marco Goecke został zwolniony z pracy w hanowerskiej operze. (KK)

Na podst.: Hannoversche Allgemeine Zeitung, Frankfurter Allgemeine Zeitung, Bild Zeitung, Die Welt, Der Spiegel, Deutsche Welle

Angora nr 9/2023

HOROSKOP

Gwiazdy patrzą na nas..

BARAN

Pamiętaj: jaki poniedziałek, taka reszta tygodnia. Dlatego na teren firmy nie wchodź w bojowym nastroju. Takimi emocjami pobudzisz innych wyłącznie do kłótni. Na niej niczego konstruktywnego nie zbudujesz. Ogranicz spożycie czerwonego mięsa i zwiększ ilość wysiłku fizycznego.

BYK

W tym tygodniu w ważnych sprawach będziesz mieć decydujący głos. Postaraj się, by był donośny. Pamiętaj także o mowie ciała. Takie argumenty zrobią wrażenie na sporej grupie słuchaczy. Mądrz postąpisz, słuchając pomysłów innych.

BLIŹNIĘTA

Stań przed lustrem i oceń swoją sylwetkę. Siedzący tryb życia i podjadanie zrobiły swoje. Nadmiar tu i ówdzie nie dodaje ci urody. W branży, w której pracujesz, wygląd ma dość istotne znaczenie. W tym tygodniu zapisz się na intensywne ćwiczenia. Nie żałuj na osobistego trenera.

RAK

Pokaż swoje zalety w pełnej krasie. Szkody, by się nadal marnowały. Brakuj ci siły przebicia. Skorzystaj z warsztatów autoprezentacji. Wkrótce ta umiejętność ci się przyda. Będziesz miał szansę wypłynąć na szersze wody. Kapcie zamień na obuwie sportowe.

LEW

Uważaj, by w tym tygodniu nie zaplątać się w niejasne sytuacje. Mogą narazić cię one na nieprzyjemności prawne, a także pogrążyć finansowo. Nie szukaj łatwych i szybkich rozwiązań. To pułapki i miraże. Przy okazji nie gmatwaj relacji rodzinnych.

PANNA

W tym tygodniu możesz się czuć jak bateria, którą odcięto od zasilania. To efekt przepracowania. Właściwie za czym tak gonisz? Jeśli nie przewartościujesz swojego życia, staniesz się ludzkim wrakiem. Ślepa ambicja odcięła cię od zdrowego trybu życia.

WAGA

Ten tydzień będzie niezłym maratonem. Do tej pory narzekałeś na męczący marazm. Taka diametralna zmiana też nie przypadnie ci do gustu. Zamiast jednak narzekać, spróbuj się dostosować. Im szybciej, tym lepiej. Warto wreszcie podnieść sobie poprzeczkę.

SKORPION

Uważaj! Balansujesz na krawędzi. Adrenalina nieźle buzuje w twoich żyłach. Niestety, grozi ci uzależnienie od tych emocji. Twoi najbliżsi za tobą nie nadążają. Wręcz przeciwnie. Obecna sytuacja zaczyna ich niepokoić. Daj im wreszcie dojść do głosu.

STRZELEC

Warto w tym tygodniu wyjść na „polowanie". Chodzi oczywiście o złowienie dobrej posady. Utrata poprzedniej była dość bolesna. Nie ma sensu nadal to roztrząsać. Weź się w garść. Jest szansa na ciekawą propozycję. Musisz jej jednak sprostać. Wszystko w twoich rękach.

KOZIOROŻEC

Możesz być w tym tygodniu pierwszoligowym pracownikiem. By tego dokonać, popracuj nad kondycją. Nastaw budzik na wcześniejszą godzinę niż do tej pory. Poranna gimnastyka da ci odpowiedniego energetycznego „kopa". W weekend biegaj i ćwicz.

WODNIK

Powściągnij swój temperament. W ślepym uniesieniu popełniasz liczne błędy. Naprawianie ich to dodatkowa utrata energii. Do tej pory wszystkich, którzy ci się przeciwstawili, uderzałeś złością. Koniecznie zdiagnozuj przyczynę swojej agresji.

RYBY

Trudno nie doceniać wartości pieniędzy, bez nich po prostu nie da się żyć. Ty jednak chyba jak najszybciej chcesz być Rockefellerem. W tym tygodniu łakomie rzucisz się na nowe zadania. Pracujesz coraz więcej. Bezwzględnie postaw na zmianę trybu życia.

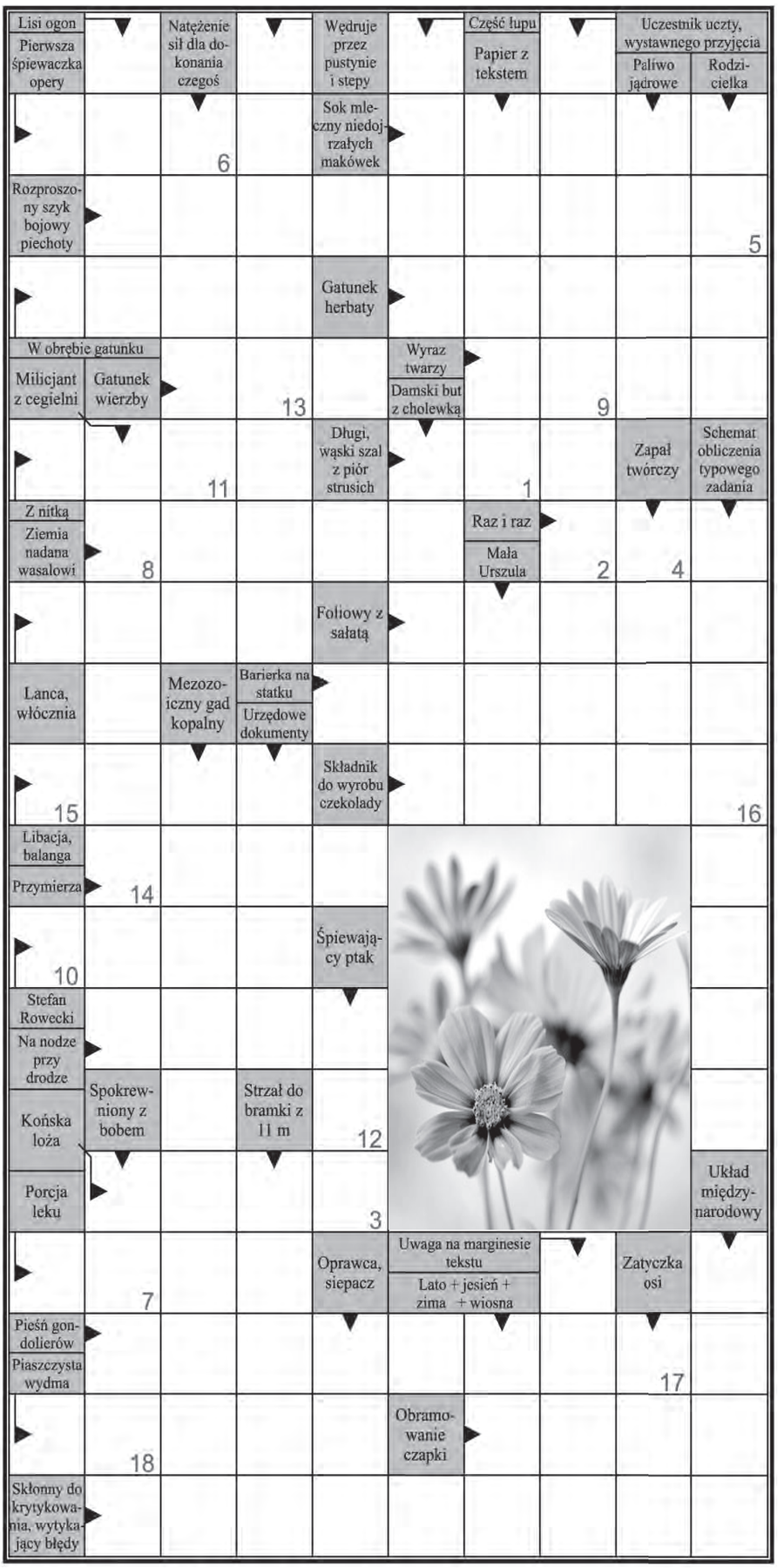

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16	17	18

Krzyżówka z przymrużeniem oka

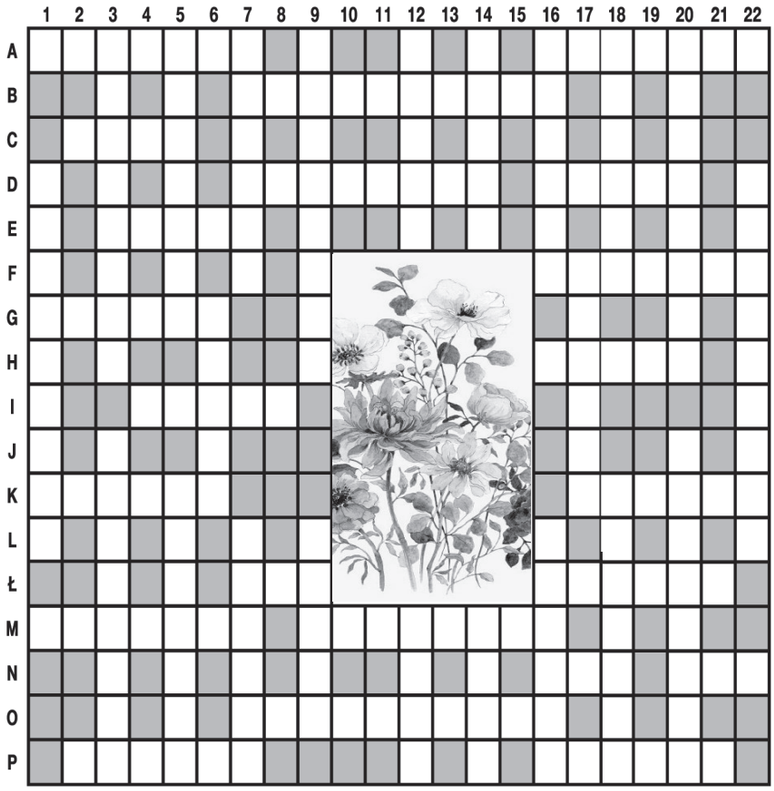

POZIOMO:

A1 norma dla przedmiotów takich jak on
A16 pokaz jednoosobowy
B7 polecenie dostarczenia
C2 raczej nie zejdzie się z koleżanką
D7 ma uchodzić za oryginał
D16 porcja wełny
E3 matka skamieniała z rozpaczy
F16 wyrodna matka obrosła w piórka
G1 słodycz w lampce
H16 tępak z ogrodzenia
I4 tajemnicze zawiadomienie o szwindlach sąsiada
K1 silny jak tur
K17 „przewrotna" gra z kulą i pachołkami
Ł7 łąka wymagająca zakładania kaloszy
Ł16 upodobanie do bawienia się
M1 dopingują... w sposób niedozwolony
M9 kasa za prawo do prawa
N16 grecka litera z książki
N20 owad dla malucha
O7 ubierające rzemiosło
P2 olbrzymie dzieci Gai i Uranosa
P16 skrytka w NBP

PIONOWO:

1D słup od jaskiniowej podłogi do sufitu
3A zdania – nic konkretnego
3J środki na wychowanie niewidzianej dziatwy
5A nieobce Ci damy
5K i latający Holender, i jemu podobny
6G ważność... pana generała
7A nieprzemakalne nakrycie głowy
7L światła nagłe, szybkie i krótkie
9A kleszczyki dla ślusarczyka?
9L w Helladzie do zgromadzeń
12A pod gołym sypiają
12M dał się zdominować azotowi
14A książę z Litwy rodem
14M kiełbasiane kółko
16A ptasie obrady przed wyborem trasy
16L nie dość, że chwast, to truje... z kotem
17F tyle górnicy na powierzchnię wydobyli
18A pasek jadalnej gumy
18K mama z papą
20A homo lupus
20J ważne w toalecie araba
22D czarny, silny albo łagodny

Jolka

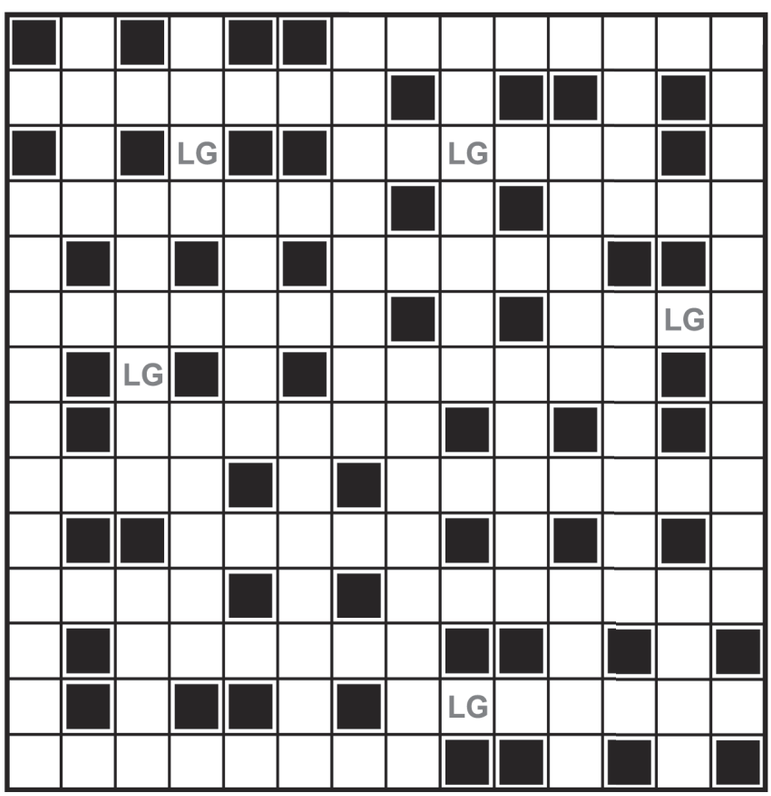

Znaczenia wyrazów (w zmienionej kolejności):

- uczestniczy w narodzinach dziecka
- zielona na łące
- prawy dopływ Amuru
- stawianie najwyższych wymagań sobie i innym
- tajna policja polityczna III Rzeszy
- brukselki znad Skaldy
- przestarzałe miano partnera w tańcu
- planeta nazywana Gwiazdą Poranną
- masa skalna powstała ze skrzepnięcia magmy wciśnięta w pokłady skalne (ze słowa lolitka)
- John (zm. 2000), brytyjski aktor, odtwórca ról szekspirowskich
- samochód do przewożenia szaf
- poetycko o Włoszech
- seria krótkich, wyrywkowych zdjęć wyświetlanych w TV
- jednostka masy o symbolu mg
- chroniony, melodyjnie gwiżdżący ptak
- ciężki oddech u niemowlęcia
- drogocenny wyrób jubilerski
- wysokogórskie jezioro w Chinach (anagramowo: krasa)
- okres tysiąca lat
- potocznie o farmaceucie z apteki
- afrykańskie, dziesiąte co do wielkości państwo świata
- okres godowy cietrzewi
- drobne, żółtobrunatne plamki na nosie
- wejście do schronu
- nie zna się na rzeczy; dyletant
- właściciele dużych powierzchni rolnych
- oblegany przez fanki
- islamskie państwo – odpowiednik zachodnioeuropejskiego księstwa
- niezbędny do oddychania
- prezentowana na wybiegu
- dać ją komuś – znaczy zmniejszyć ograniczenia
- Kornel (zm. 1897), polski poeta („Pieśni Salomona")
- daleko od Krymu
- w bok – to kuksaniec
- góra, miejsce ukrzyżowania Chrystusa
- paczka banknotów

www.sklep.de

KREM DO TWARZY

- Wygładzający
- Normalizujący
- Kojący

4,50 euro

Telefon: 02174 8941155, Fax: 02174 8941156, E-Mail: kundenservice@sklep.de

Reklama

CENTRUM DENTYSTYCZNE Dr. Prośniak

Usługi dentystyczne
Wszystkie specjalności
Na miejscu Labor i RTG

Katowice ul. Zbożowa 20
Katowice ul. Dębowa 4
Tel. 0048 32 202 90 95
www.centrumdentystyczne.pl
biurop@centrumdentystyczne.pl

Gruchel

- pomoc w zakładaniu firm
- kompleksowa obsługa biurowa
- rozliczenia finansowe firm oraz osób prywatnych

Finanzwirt Marian Gruchel
Lise-Meitner-Str.-1-3, 42119 Wuppertal
Tel.: 0202-60933172
finanzwirt@gruchel.com

Damian Ballon Rechtsanwalt

Alt-Griesheim 18
65933 Frankfurt
Tel. 069-67739093
www.adwokat-frankfurt.pl

Kancelaria adwokacka w Monachium
Izabela S. Demacker
Rechtsanwältin
Kompleksowa obsługa prawna w języku polskim i niemieckim
Müllerstr. 40, 80469 München
Fon: 089 / 85 63 63 55
Fax: 089 / 85 63 63 56
www.kanzlei-demacker.de
info@kanzlei-demacker.de

Praktyka lekarska ogólna w Helmstedt, założona od wielu lat, dobra lokalizacja poszukuje **lekarza, następcy** do 31.12.2023 lub później. Wymagana jest dobra znajomość języka niemieckiego i polskiego.
Tel. 05351-6267
praxis-staniek@t-online.de

IMMOBILIEN POLAND FUNDUS CERTUS
Biuro Nieruchomości
KUPNO-SPRZEDAŻ-WYNAJEM
Wyjaśniamy skomplikowane stany prawne.
Przyjmujemy zlecenia na pośrednictwo.
Działamy na terenie całej Polski.
ul. J.Ligęzy 12, 40-551 Katowice POLAND
e-mail: funduscertus@gmail.com
tel. 0048-793-747447 www.funduscertus.pl
Licencja Pośrednika w Obrocie Nieruchomościami Polskiej Federacji Rynku Nieruchomości NR 11751

Rechtsanwaltskanzlei
Gregor Matuszczyk
Springestraße 8
45894 Gelsenkirchen - Buer
Tel.: 0209 / 318 22 30 (Sekretärin)
Tel.: 0209 / 318 22 22 (direkt)
Fax: 0209 / 318 22 12
Mobil: 0172 / 56 74 289
e-mail: info@ra-matuszczyk.de
Porady prawne w języku polskim i niemieckim
Bürozeiten: Mo.-Fr. 9-12:30 und 15-18 Uhr
Termine nach tel. Vereinbarung

KANCELARIA ADWOKACKA

DIPL.-JUR. MARKUS G. MATUSCHCZYK
RECHTSANWALT
ADWOKAT • TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
- porady prawne w języku polskim i niemieckim dla firm i osób prywatnych
- reprezentacja przed urzędami i sądami w Niemczech i w Polsce
- wszystkie dziedziny prawa

Kommandanturstr. 8
30169 **HANNOVER**
tel.: **+49 (0) 511 – 35 779 888**
e-mail: info@matuschczyk.com

Firma budowlana z Polski szuka zleceń na budowy domów od podstaw, dachy.
Tel: 0048-608-729122

Kupię KAŻDĄ nieruchomość w Polsce, a także UDZIAŁY (w kamienicach, domach, mieszkaniach, działkach). Mogą być z problemem prawnym, zadłużone lub z lokatorem. Załatwiam wszystkie formalności!
Tel. 0048-535-787267

sklep.de

Gartenbau, Abbruch, Pflaster, Fliessen - Firma sucht ab sofort
2 Mitarbeiter mit Berufserfahrung
für Voll/Teilzeit **in Dortmund**
Wohnung (WG) ist vorhanden.
Wir sprechen kein polnisch, bitte per Mail/Whatsapp oder wenn man etwas deutsch Spricht per
Telefon: 0157-58094224

ADWOKACI w DORTMUNDZIE
SEROWIK
Rechtsanwälte Serowik
Rosental 1
44135 Dortmund
Tel. 0231 - 1857403
Fax 0231 - 1857404
sekretariat@serowik.de
- udzielamy porad także w języku polskim
- reprezentujemy naszych klientów na terenie całych Niemiec we wszystkich dziedzinach prawa
- na terenie Polski w wybranych dziedzinach prawa
- współpracujemy z notariuszem
- rok założenia kancelarii 2001
- w nagłych przypadkach tel. kom. 0172-7261623

www.serowik.de

Hurt i kolportaż polskiej prasy
Tel. 02174 - 894 11 55
Fax 02174 - 894 11 56

Dr. Andrzej Remin
adwokat/Rechtsanwalt
FACHANWALT für ERBRECHT
(adwokat - specjalista od prawa spadkowego)
tłumacz przysięgły języka niemieckiego
kancelarie adwokackie w Niemczech, Polsce i Austrii
obsługa w języku polskim
postępowania spadkowe, zachowek, testamenty, dziedziczenie ustawowe
w **Niemczech** i w **Polsce**
sprawy rodzinne (rozwody, alimenty)
obrońca w sprawach karnych
50672 KÖLN
Hohenzollernring 1-3
Telefon: 0221.925.37.56
Telefax: 0221.925.37.58
komórka: 0172.290.22.13
www.remin.de
e-mail: remin@t-online.de

Mini Shop
51375 Leverkusen
Am Kühnsbusch 2
Godziny otwarcia:
pon.-piąt. 6.30-12.00 i 15.00-19.00
sob. 8.00-12.00 i 15.00-19.00

Zapraszamy na zakupy

Reklama

Międzywodzie – cicha miejscowość nadmorska

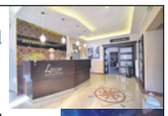

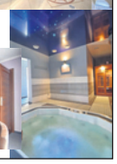

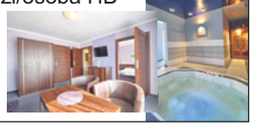

Kameralny obiekt ze strefą SPA i domową kuchnią. Blisko wejścia na plażę, przy lesie. Nocleg ze śniadaniem i obiadokolacją, dostęp do SPA oraz parking w cenie. Obiekt z windą.
Pakiet Wielkanocny - 07.04-10.04.2023 cena 1050zł/osoba HB
Pobyty wakacyjne - 498zł/pokój 2-osobowy HB

recepcja@pensjonat-lazur.pl
www.pensjonat-lazur.pl
☎ +48 603 598102

Lazur Wellness & Spa

Ustronie Morskie

pokoje gościnne z łazienkami, telewizor, lodówka, balkon, sprzęt plażowy, parking zamknięty.
Czerwiec i wrzesień TANIEJ!
Tel. 0048-94-3519508
lub 0048-506-558336
www.udastina.fajnewczasy.pl

Gegr. Anno 1981

BERG

Ekspresowe transfery do hoteli nad Bałtykiem

Świnoujście - Międzyzdroje
Pobierowo - Rewal - Kołobrzeg

Świeradów Zdrój - Szklarska Poręba
Polanica Zdrój - Kudowa Zdrój

Bilety autobusowe dla SINDBADA
Bilety lotnicze WIZZ - RYANAIR

Międzyzdroje Hotel TROFANA
02.04. - 15.04.2023
755,- € HP - Bus

Kołobrzeg Sanatorium SAN
16.04. - 29.04.2023
699,- € - zabiegi - Bus

Katalog 2023
www.polenfahrer.eu
polenfahrer@gmx.de
0209 - 58 60 20
02362 - 983 88 32

JAWA-Reisen GmbH (od 1989)

Kołobrzeg: H°°°+ 14 dni, HP, DZ, 20 zabiegów od € **290,-**
Wakacje w Świnoujściu: H°°°, 14 dni, HP, DZ od € **494,-**
Świeradów: H°°°°, 14 dni, HP, DZ, 30 zabiegów od € **458,-**
Przejazd z odbiorem z domu od € **99,-**

Giersstr. 20 33098 Paderborn Tel. 05251- 390 900

SAT - RUDEK

Oferujemy:
- Sprzedaż anten satelitarnych oraz akcesoriów
- Polska telewizja NC+ z umową lub bez umowy
- Doładowanie kart NC+
- Dekodery
- Moduły CI

Gwarancja niskich cen i pełnego serwisu!

Odwiedź nasz sklep:
www.sat-rudek.de
Tel. 05031 9585207
0176 62596861

GLÜCKLICH ALTERN IN POLEN
FREIE PLÄTZE IN DER SENIORENRESIDENZEN

In mehreren neuen Seniorenresidenzen im Westen/Norden von Polen bieten wir einen günstigen Aufenthalt mit professioneller, deutschsprachiger Pflege. Ebenso einen allumfassenden Service im Bereich Rehabilitation und betreutes Wohnen. Unsere Einrichtungen zählen zu den modernsten Häusern in Europa. Ein Aufenthalt ist bereits **ab 1250,- €** /Monat im Bereich Pflege (inkl. 24-Stunden Pflege, 5 Mahlzeiten/Tag, Reha Maßnahmen, viele Freizeitangebote) und ab **1200,- €** /Monat im betreuten Wohnen als Kennenlernen Angebot möglich. Auf Wunsch buchen wir für Sie schnell, unbürokratisch ein zeitlich begrenztes Probewohnen und den Transport in die Residenz. Wir hoffen auf Ihr Interesse und freuen uns sehr, Sie bald umfassend und unverbindlich beraten zu dürfen. **Fragen Sie Ihre Berater. Wir sprechen sowohl Deutsch als auch Polnisch.**

mkd HEALTHCARE GmbH Anratherstr. 21 47877 Willich
Tel. 02154/8970170 Fax 02154/8970177 info@mkd-consulting.de

Rechtsanwälte

uprawnieni do występowania przed wszystkimi sądami w Niemczech

Markus Hüsges
Fachlehrgang Arbeitsrecht

Dierk Bernhardt
(ausgeschieden zum 31.12.2019)

Marlies Ziemer

Herbert Ziemer †

Dr. Monika Everschor
Fachanwältin für Verkehrsrecht

Max Ziemer
zugleich Fachanwalt für Miet- & WEG-Recht
zugleich Fachanwalt für Strafrecht

Mirka Johanna Ziemer
Fachanwältin für Familienrecht
Rechtsberatung auch in polnischer Sprache

Rechtsanwältin

Mirka Johanna Ziemer
(geb. Barski)

Fachanwältin für Familienrecht
Specjalistka prawa rodzinnego

Porady i obsługi w **języku niemieckim i polskim** we wszystkich dziedzinach prawa

Öffnungszeiten: montags bis freitags von 08.00 Uhr - 18.00 Uhr
- Sprechstunden nach Vereinbarung -

Anschrift: Römerstr. 32, 53840 Troisdorf
(pomiędzy Köln i Bonn / naprzeciwko Burg Wissem)

Tel: 02241/75001 - Fax: 02241 / 79690
Email: info@bzwh.de

→ Masz wykształcenie z Polski, ale w Niemczech nie pracujesz **w swoim zawodzie**?

→ Chcesz to zmienić i zacząć pracować **zgodnie ze swoimi kwalifikacjami**?

→ Nie masz pojęcia **jak się za to zabrać** i do którego urzędu zgłosić się po uznanie?

→ **Skontaktuj się z nami! Pomagamy bezpłatnie!**

PRORECOGNITION
Professional & Vocational Qualifications for Germany

GEFÖRDERT VOM
Bundesministerium für Bildung und Forschung

www.prorecognition.pl
info@prorecognition.pl

Tel.: +48 22 53 10 502
+48 22 53 10 515
+48 572 703 061

Zamówienia pisemne:
Verlag Matuszczyk KG, Luisental 2, 51399 Burscheid
Zamówienia telefoniczne: **02174 8964480**
Na stronie internetowej: **www.sklep.de**

Szt.	Książki dla dzieci	Cena
	Bajki i wiersze dla dzieci - J. Brzechwa, M. Konopnicka, S. Jachowicz, I. Krasicki	10,90
	Bajki o konikach na dobranoc - Elżbieta Safarzyńska	4,90
	Elementarz - Marian Falski tw.opr.	19,90
	Księga ulubionych wierszy - Brzechwa, Tuwim i inni	**9,90**
	Kuferek bajek - Fakt	3,50
	Najpiękniejsze wiersze dla dzieci - Jan Brzechwa	6,90
	Proszę państwa, oto miś. Najpiękniejsze wiersze dla dzieci - Jan Brzechwa,	
	Julian Tuwim i inni tw.opr.	10,90
	Rymowanki, wyliczanki - Fakt bajki	3,50
	Samochodzik Franek, Pociągi - Elżbieta Wójcik	2,90
	Samochodzik Franek, Straż pożarna - Elżbieta Wójcik	2,90
	Wiersze dla dzieci - Julian Tuwim tw. opr.	10,90
	Wiersze dla dzieci - A. Fredro, S. Jachowicz, W. Bełza, M. Konopnicka, J. Słowacki,	
	A. Mickiewicz, I. Krasicki	6,90

Księga ulubionych wierszy - Brzechwa, Tuwim i inni

Oto kięga, w której zebrano najpiękniejsze i najbardziej lubiane przez wszystkie dzieci wiersze wybitnych poetów. Wyjątkowa antologia, w której znajdziesz utwory m.in.: Jana Brzechwy, Juliana Tuwima, Marii Konopnickiej, Aleksandra Fredry i wielu innych. Wyjątkowe, ponadczasowe wiersze, na których wychowały się pokolenia Polaków. Rozwijaj wyobraźnię i przenieś się do niesamowitego świata, gdzie wszystko staje się możliwe.

Te książki sprawdzą się na prezent

Szt.	Książki - Kryminały	Cena
	Behawiorysta - Remigiusz Mróz tw.opr.	8,90
	Czarna Madonna - Remigiusz Mróz tw.opr.	8,90
	Fabrykantka aniołków - Camilla Läckberg tw.opr.	9,90
	Farma lalek - Wojciech Chmielarz	**10,90**
	Hashtag - Remigiusz Mróz tw.opr.	8,90
	Kabalista - Remigiusz Mróz	**11,90**
	Kratki się Pani odbiły - Jacek Galiński	9,90
	Liczby Charona - Marek Krajewski tw.opr.	8,90
	Mock - Marek Krajewski tw.opr.	8,90
	Mock. Ludzkie ZOO - Marek Krajewski tw.opr.	8,90
	Mock. Pojedynek - Marek Krajewski tw.opr.	8,90
	Osaczona - Tess Gerritsen	8,90
	Oskarżenie - Remigiusz Mróz tw.opr.	8,90
	Pogromca lwów - Camilla Läckberg tw.opr.	9,90
	Prawo matki - Przemysław Piotrowski	10,90
	Rzeka zimna - Magdalena Kawka	9,90
	Seans w Domu Egipskim - Maryla Szymiczkowa tw.opr.	8,90
	Sezon drugi - Max Czornyj	9,90
	Skaza - Robert Małecki	10,90
	Zmora - Robert Małecki	9,90
	Żałobnica - Robert Małecki	9,90

Farma lalek - Wojciech Chmielarz

W karkonoskich Krotowicach ginie jedenastoletnia Marta. To już drugi przypadek zaginięcia w ciągu ostatnich miesięcy. Policja podejrzewa pedofila, ale trop okazuje się fałszywy. Wkrótce Marta, cała i zdrowa, zostaje odnaleziona w starej kopalni uranu. Niestety, wraz z dziewczynką śledczy odkrywają ciała czterech niezidentyfikowanych kobiet. Komisarz Jakub Mortka do sennego miasteczka zostaje zesłany w ramach kary za niesubordynację, a pobyt w Krotowicach ma być okazją do odpoczynku i refleksji. Zamiast tego śledczemu przyjdzie się zmierzyć nie tylko z makabryczną zbrodnią...

Kabalista - Remigiusz Mróz

Półtora roku po wyjeździe Małgorzaty Rosy do Warszawy szefostwo stacji telewizyjnej chce jej powrotu do rodzinnego miasta. Miałaby stworzyć materiał dotyczący ofiary gwałtu, która nie mogła liczyć na pomoc ze strony opolskiej prokuratury. Prokuratura uznała zeznania dziewczyny za niewiarygodne, więc nie podjęła się szukania sprawcy ani nie wszczęła śledztwa. Rosa po przyjeździe na miejsce przekonuje się, że w całym Opolu obowiązuje zmowa milczenia. Musi zwrócić się po pomoc do jedynej zaufanej osoby w prokuraturze. Niestety, nowa szefowa odsunęła Gerarda Edlinga na boczny tor...

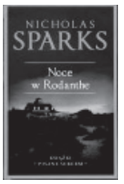

Noce w Rodanthe - Nicholas Sparks

Adrienne Willis została porzucona przez męża dla młodszej kobiety. Chcąc oderwać się od pełnej chaosu rzeczywistości, przyjeżdża do Rodanthe, aby pomóc przyjaciółce w prowadzeniu pensjonatu. Jednym z gości hotelu jest chirurg, Paul Flanner. Oboje są ludźmi po przejściach i dla obojga Rodanthe jest miejscem ucieczki. Kilkudniowa znajomość wywraca ich świat do góry nogami. Postanawiają wspólnie spędzić resztę życia, ale co innego jest im pisane…
Na podstawie książki powstał film z Diane Lane i Richardem Gere'em.

Szt.	Książki - Nicholas Sparks	Cena
	Dla ciebie wszystko - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	I wciąż ją kocham - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Jesienna miłość - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Na ratunek - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Na zakręcie - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Najdłuższa podróż - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Noce w Rodanthe - Nicholas Sparks tw.opr.	**8,90**
	Od pierwszego wejrzenia - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Ostatnia piosenka - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Prawdziwy cud - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Spójrz na mnie - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Szczęściarz - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Ślub - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90
	Wybór - Nicholas Sparks tw.opr.	8,90

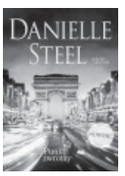

Punkt zwrotny - Danielle Steel

Bill, Stephanie, Wendy i Tom to lekarze pogotowia ratunkowego, najlepsi specjaliści w swojej dziedzinie. W życiu prywatnym obrali jednak zupełnie różne ścieżki. Bill po rozwodzie z żoną arystokratką całkowicie poświęca się pracy. Stephanie usiłuje pogodzić karierę z wychowaniem ukochanych synów. Wendy tkwi w związku bez przyszłości, a przystojny Tom łamie kobietom serca, lecz żadnej nie pozwala się do siebie zbliżyć. Pewnego dnia zostają zaproszeni do Paryża na prestiżowe szkolenie z udzielania pomocy ofiarom katastrof. Miasto miliona świateł oferuje im ekscytującą przygodę i mnóstwo możliwości.

Szt.	Książki - Danielle Steel	Cena
	Cicha noc - Danielle Steel, pocket	6,90
	Dziecinna gra - Danielle Steel	10,90
	Komplikacje - Danielle Steel	10,90
	Księżna - Danielle Steel	10,90
	Latające Anioły - Danielle Steel	10,90
	Niewidzialna - Danielle Steel	10,90
	Odnaleźć Ashley - Danielle Steel	10,90
	Odpowiedni moment - Danielle Steel	10,90
	Punkt zwrotny - Danielle Steel, pocket	**6,90**
	Sąsiedzi - Danielle Steel	10,90
	Siostry - Danielle Steel	10,90
	Szczęście w nieszczęściu - Danielle Steel	10,90
	Szczęście w nieszczęściu - Danielle Steel, pocket	6,90
	Szczęśliwe liczby - Danielle Steel, pocket	6,90
	Szpieg - Danielle Steel, pocket	6,90
	Wysoka stawka - Danielle Steel	10,90
	Zgubić i odnaleźć - Danielle Steel, pocket	6,90

Niewinni i cała reszta - Dana Spiotta

Meadow Mori i Carrie Wexler są przyjaciółkami z czasów szkolnych. Obie wychowały się w Los Angeles w latach 80. i zajmują się tworzeniem filmów. Meadow nagrywa ambitne produkcje dokumentalne. Carrie jest zwolenniczką kina komercyjnego. Pewnego dnia Meadow przypadkiem dowiaduje się o Nicole – tajemniczej kobiecie, która przez telefon uwodzi wpływowych mężczyzn z branży filmowej. Mimo że w kręgach wszyscy ją znają, nikt jej nigdy nie widział. Meadow wyczuwa w tej historii idealny materiał na film. Gdy odkrywa, że od pewnego czasu słuch po Nicole zaginął, kobieta postanawia ją odnaleźć.

Szt.	Książki - Powieści	Cena
	25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy - Grzegorz Głuszak	12,90
	365 dni - Blanka Lipińska	10,90
	A ja na ciebie zaczekam - Magdalena Kordel	8,90
	Anioł w kapeluszu - Monika Szwaja	7,90
	Dziewice, do boju! - Monika Szwaja	7,90
	Klub mało używanych dziewic - Monika Szwaja	7,90
	Kobiety nieidealne. Baśka - Magdalena Kawka, Małgorzata Hayles	9,90
	Kobiety nieidealne. Iza - Magdalena Kawka, Małgorzata Hayles	9,90
	Kobiety nieidealne. Joanna - Magdalena Kawka, Małgorzata Hayles	9,90
	Kobiety nieidealne. Magda - Magdalena Kawka, Małgorzata Hayles	9,90
	Kolejne 365 dni - Blanka Lipińska	10,90
	Król - Szczepan Twardoch	12,90
	Matka wszystkich lalek - Monika Szwaja	7,90
	Moje serce w dwóch światach - Jojo Moyes	10,90
	Morfina - Szczepan Twardoch	13,90
	Muzyka nocy - Jojo Moyes	12,90
	Niewinni i cała reszta - Dana Spiotta	**8,90**
	Oddaj albo giń! - Olga Rudnicka	10,90
	Ostatni list od kochanka - Jojo Moyes	10,90
	Pod osłoną deszczu - Jojo Moyes	12,90
	Przesilenie - Dawid Ś. Adrian	9,90
	Przesilenie tom 2 - Dawid Ś. Adrian	10,90
	Ten dzień - Blanka Lipińska	10,90
	To nie jest mój mąż - Olga Rudnicka	10,90
	Współlokatorzy - Beth O'Leary	7,90
	Zanim się pojawiłeś - Jojo Moyes	10,90
	Zatoka trujących jabłuszek - Monika Szwaja	7,90
	Zupa z ryby fugu - Monika Szwaja	7,90
	Żony Konstancina - Ewelina Ślotała	9,90
	Życie na wynos - Olga Rudnicka	10,90

Szt.	DVD - Seriale	Cena
	DVD Blondynka - 4DVD / reż. Gronowski Mirosław	8,90
	DVD Daleko od szosy - 4DVD / reż. Chmielewski Zbigniew	15,90
	DVD Droga - 2DVD / reż. Chęciński Sylwester	9,90
	DVD Jan Serce - 4DVD / reż. Piwowarski Radosław	**14,90**
	DVD Janosik - 4DVD / reż. Jerzy Passendorfer / rekonstrukcja cyfrowa	18,90
	DVD Komisarz Alex. Seria 1 - 4DVD / reż. Wichrowski Robert	7,90
	DVD Komisarz Alex. Seria 2 - 4DVD / reż. Wichrowski Robert, Lang Krzysztof	7,90
	DVD Komisja morderstw. Sezon 1 - 3DVD / reż.Marszewski Jarosław, Panek Adrian	9,90
	DVD Ludzie i bogowie - 4DVD / reż. Kox Bodo	12,90
	DVD Młody Piłsudski - 4DVD / reż. Marszewski Jarosław	12,90
	DVD Noce i dnie - 4DVD serial / reż. Antczak Jerzy / rekonstrukcja cyfrowa	19,90
	DVD Sława i chwała - 3DVD / reż. Kutz Kazimierz / rekonstrukcja cyfrowa	18,90

DVD - Jan Serce (4DVD)

Wrażliwy idealista, człowiek szlachetny i prawy, marzy o prawdziwej, wielkiej miłości. Mimo skończonej czterdziestki ciągle poszukuje tej jedynej... Zanim los nieoczekiwanie okaże się przychylny, przeżywa kolejne uczuciowe perypetie. Refleksyjnej opowieści o niezmiennej ludzkiej tęsknocie za dobrem i uczciwością szczególny ton nadaje nastrojowa muzyka Seweryna Krajewskiego. **Obsada:** Kaczor Kazimierz, Kuryluk Jadwiga, Kociniak Marian, Nehrebecka Anna, Michnikowski Wiesław, Jankowska-Cieślak Jadwiga, Stankówna Hanna, Szykulska Ewa, Pacuła Joanna, Himilsbach Jan i inni

Szt.	DVD - Dramaty	Cena
	DVD Amnestia / reż. Jędryka Stanisław	6,90
	DVD Antek / reż. Fiwek Wojciech	6,90
	DVD Bad Boy / reż. Vega Patryk	9,90
	DVD Banksterzy / reż. Ziębiński Marcin	11,90
	DVD Bez znieczulenia / reż. Wajda Andrzej / rekonstrukcja cyfrowa	8,90
	DVD Ciotka Hitlera / reż. Rogalski Michał	9,90
	DVD Córka trenera / reż. Grzegorzek Łukasz	**7,90**
	DVD Cudak / reż. Kazejak Anna	8,90
	DVD Człowiek z marmuru / reż. Wajda Andrzej / rekonstrukcja cyfrowa	9,90
	DVD Dwie Korony / reż. Kondrat Michał	9,90
	DVD Historia niemoralna / reż. Sass Barbara	6,90
	DVD Jestem przeciw / reż. Trzos-Rastawiecki Andrzej	6,90
	DVD Marzec '68 / reż. Lang Krzysztof	10,90
	DVD Na chwilę na zawsze / reż. Trzaskalski Piotr	**10,90**
	DVD Obietnica / reż. Kazejak Anna	4,00
	DVD Orzeł. Ostatni patrol / reż. Bławut Jacek	10,90
	DVD Pornografia / reż. Kolski Jan Jakub	7,50
	DVD Skrzydlate świnie / reż. Kazejak Anna	**8,90**
	DVD Wałęsa. Człowiek z nadziei / reż. Wajda Andrzej	8,50
	DVD Wielki tydzień / reż. Wajda Andrzej	7,90
	DVD Wodzirej / reż. Falk Feliks	**8,90**

DVD - Córka trenera

Upalne lato. Maciej Kornet (Jacek Braciak) podróżuje po Polsce wraz z 17-letnią córką Wiktorią (Karolina Bruchnicka). Od wielu lat są tylko we dwoje, zawsze razem. Ich trasę wyznaczają zawody w tenisie ziemnym. Ona jest jego oczkiem w głowie, córeczką tatusia i jego wielką chlubą. Chciałby aby była najlepsza. On jest dla niej całym światem. Do czasu, gdy dołącza do nich Igor (Bartłomiej Kowalski), dobrze zapowiadający się zawodnik, którego Maciej Kornet zacznie trenować. Dzięki niemu Wiktoria otworzy się na nowe doznania. Pierwszy papieros, pierwszy kieliszek alkoholu, pierwsza miłość.

DVD - Na chwilę na zawsze

Paweł Domagała jako popularny niegdyś piosenkarz z mroczną tajemnicą i Martyna Byczkowska w roli przebojowej idolki nastolatków, których spotkanie zmieni wszystko, a miłość poruszy do łez! Pola w wieku zaledwie 22 lat odnosi ogromne sukcesy w branży muzycznej. Pewnego dnia, po jednym ze swoich koncertów, dziewczyna pod wpływem alkoholu doprowadza do wypadku samochodowego. Ojciec umieszcza ją w ośrodku terapii i leczenia uzależnień, gdzie piosenkarka zostaje zmuszona do pracy społecznej. Pola poznaje tam Borysa – charyzmatycznego instruktora i byłego muzyka...

DVD - Orzeł. Ostatni patrol

Spektakularna produkcja o legendarnym polskim okręcie podwodnym ORP „Orzeł", który w czasie II wojny światowej wsławił się bohaterskimi czynami w starciach z niemiecką flotą. Film przedstawia trzymającą w napięciu i owianą tajemnicą historię ostatniego patrolu jednostki. Jego scenariusz oparto na znanych już faktach, jak i zupełnie nowych poszlakach. Podczas 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni film i jego twórcy zostali uhonorowani statuetkami za najlepszą reżyserię, charakteryzację, montaż i dźwięk. **Obsada:** T. Ziętek, A. Pawlicki, T. Schuchardt, M. Kościukiewicz, R. Zawierucha i inni.

DVD - Skrzydlate świnie

Gdy pewnego dnia lokalny klub sportowy przestaje istnieć, życie czwórki bohaterów wywraca się do góry nogami. Oskar (Paweł Małaszyński) zostanie zmuszony do założenia garnituru i przyjęcia posady od miejscowego bossa (Cezary Pazura). Nowa działalność Oskara ściągnie na niego prawdziwe kłopoty i doprowadzi do tego, że w środku dnia wyląduje zupełnie nagi na rynku, zostawi go ukochana, stanie się obiektem westchnień dziewczyny brata i niespodziewanie… Dojrzeje. **Obsada:** Małaszyński Paweł, Pazura Cezar, Bołądź Olga, Gorczyca Karolina, Rogucki Piotr, Kulesza Agata, Lubos Eryk i inni.

DVD - Wodzirej

Błyskotliwy i przebiegły Lutek Danielak jest pracownikiem wojewódzkiego oddziału "Estrady". Będąc którymś z kolei w hierarchii wodzirejów- konferansjerów, prowadzi imprezy dla dzieci i rencistów. Kiedy dowiaduje się, że z okazji otwarcia hotelu "Lux" ma się odbyć wielki bal, postanawia walczyć o jego prowadzenie. Impreza ta może być bowiem przełomowa w jego karierze. **Obsada:** Stuhr Jerzy, Kwaśniewska Sława, Sadecki Wiktor, Tarkowski Michał, Svandova Jana, Kolasińska Ewa, Kryszak Jerzy, Kotys Ryszard, Freudenheim Alfred, Sobczuk Bogusław i inni.

Prenumerata w prezencie: **www.sklep de**

Złota kolekcja - Jan Paweł II

Telewizja Polska S.A. pragnąc uhonorować osobę papieża Jana Pawła II, postanowiła wydać ekskluzywną kolekcję płyt DVD poświęconych życiu oraz pontyfikatowi Jana Pawła II. **Album 1:** zatytułowany "Pożegnanie" będzie składał się z dwóch płyt: "Papież Polak" oraz "Z życia do życia". **Album 2:** płyta jest spotkaniem Jana Pawła II z Wadowicami - Jego rodzinnym miastem. Jest także filmową ilustracją dzieciństwa, młodości i kapłaństwa papieża Polaka. **Album 3:** Pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny - 2002 Ostatnia pielgrzymka Ojca Świętego do Ojczyzny trwała zaledwie kilka dni, a jednak na zawsze pozostała w pamięci Polaków i całego świata. **Album 6:** składa się z dwóch płyt DVD, na których zawarty jest cały materiał zarejestrowany przez Telewizję Polską podczas pierwszej pielgrzymki papieża do Polski w 1979 roku. **Album 7:** Najbliżsi współpracownicy o Janie Pawle II. Tajemnica Jana Pawła II. O Janie Pawle II opowiada ks. prałat Konrad Krajewski oraz najbliżsi współpracownicy: lekarz Renato Buzzonetti, watykański fotograf Arturo Mari, ks. kard. S. Dziwisz i ks. abp M. Mokrzycki i wiele innych.

Szt.	DVD - Złota kolekcja - Jan Paweł II	Cena
	DVD Jan Paweł II album 1 Pożegnanie, 2DVD	6,90
	DVD Jan Paweł II album 2 Wadowice. Tu wszystko się zaczęło… / reż. Sadurski Grzegorz	6,90
	DVD Jan Paweł II album 3 Bóg bogaty w miłosierdzie, 2DVD / reż. Sadurski Grzegorz	6,90
	DVD Jan Paweł II album 6 Niech zstąpi Duch Twój…, 2DVD / reż. Piotr Kot	6,90
	DVD Jan Paweł II album 7 Nieznane życie Jana Pawła II / reż. Tadej Krzysztof	7,90

DVD - Całe szczęście

W spokojne i uporządkowane życie Roberta, muzyka z orkiestry symfonicznej, który samotnie wychowuje dziesięcioletniego synka Filipa, niespodziewanie wbiega pełna energii i uroku popularna gwiazda fitness Marta. Dwa różne charaktery, spojrzenia na miłość i życie. Jej świat to wielkie miasto, egzotyczne podróże i sport. Przebojowa gwiazda i onieśmielony jej urokiem mężczyzna. Dlaczego los ich połączył? Czy uda im się wspólnie odnaleźć „Całe szczęście"? **Obsada:** Gąsiorowska Roma, Adamczyk Piotr, Sapryk Tomasz, Żukowska Marieta, Liszowska Joanna, Balcerowski Maksymilian, Lamża Joachim i inni.

DVD - Każdy wie lepiej

Pełna humoru i wzruszeń komedia opowiadająca o parze zakochanych, którzy stają się celem intrygi najbliższych. Ich dwoje, jej dzieci, jego dzieci, dociekliwi teściowie, byli małżonkowie. Lawina zaskoczeń i przeszłość, która upomni się o swoje. Rodzinne przemeblowanie to idealna recepta na błyskotliwą komedię, która zaskoczy każdego! **Obsada:** Kulig Joanna, Czernecki Michał, Tatarska Ernestyna, Czernecki Piotr, Zimołąg Milena, Szapołowska Grażyna, Seweryn Andrzej, Maj Maria, Wencel Ewa, Janeczek Jerzy, Wyszyńska Julia, Zarzecki Krzysztof, Musiałowski Maciej i inni.

DVD - Raz jeszcze raz

Codzienność grupki starych przyjaciół przerywa niespodziewana wizyta tajemniczej kobiety, która okazuje się narzeczoną jednego z członków dawnej paczki. Zaprasza bohaterów na wieczór kawalerski – niespodziankę dla swojego narzeczonego. Mimo wątpliwości mężczyźni przyjeżdżają do rodzinnego Sopotu, aby dowiedzieć się, że ich kolega... nie żyje. Powrót do rodzinnego miasta ożywia stare animozje i liczne wspomnienia. **Obsada:** Kasprzykowski Bartek, Szwed Aleksandra, Błach Wojciech, Moro Joanna, Miller Monika, Janiczek Arkadiusz, Żukowski Bartosz, Figura Katarzyna, Olbrychski Daniel i inni.

Szt.	DVD - Komedie	Cena
	DVD (Nie)znajomi / reż. Śliwa Tadeusz	8,90
	DVD 7 rzeczy których nie wiecie o facetach / reż. Lewińska Kinga	8,90
	DVD Całe szczęście / reż. Konecki Tomasz	**7,90**
	DVD Czarodziej z Harlemu / reż. Karpiński Paweł	7,50
	DVD Dzień świra / reż. Marek Koterski	8,90
	DVD Galimatias czyli Kogel-Mogel II / reż. Załuski Roman / rekonstrukcja cyfrowa	10,90
	DVD Idealny facet dla mojej dziewczyny / reż. Konecki Tomasz	6,50
	DVD Każdy wie lepiej / reż. Rogalski Michał	**10,90**
	DVD Miłość jest blisko / reż. Dunaszewski Radosław	10,90
	DVD Narzeczony na niby / reż. Prokopowicz Bartek	8,90
	DVD Obywatel Piszczyk / reż. Kotowski Andrzej	7,90
	DVD Podejrzani zakochani / reż. Kryński Sławomir	6,90
	DVD Polskie gówno / reż. Jankowski Grzegorz	8,90
	DVD Pułkownik Kwiatkowski / reż. Kutz Kazimierz	8,90
	DVD Raz jeszcze raz / reż. Czarzasty Paweł, Zbieranek Krzysztof	**9,90**
	DVD Vabank 2, czyli riposta / reż. Machulski Juliusz	5,00
	DVD Yyyreek!!! Kosmiczna nominacja / reż. Gruza Jerzy	7,50
	DVD Zołza / reż. Konecki Tomasz	10,90

ZAMÓWIENIE

SŻ 4/2023

Płatność z góry. Zarezerwowany towar wysyłamy po zapłaceniu rachunku (Vorkasse)

Prosimy **nie** przelewać pieniędzy przed otrzymaniem rachunku.
Ważne! Konto jest inne niż konto prenumeraty - podajemy je na rachunku.

Przy zamówieniu przez internet możliwość płatności przez PayPal.

Koszt wysyłki:

- ❑ na adres w Niemczech - 6,90 € (Deutsche Post DHL)
- ❑ do pozostałych krajów Unii Europejskiej - 16,90 €

Oferta obowiązuje do wyczerpania zapasu towaru.

Imię, nazwisko _____

Ulica, nr domu _____

Kod pocztowy, miejscowość _____

Nr telefonu _____

Data, podpis _____

Z oficyny

Śmiać się jak Mleczko z Kneipem

Twarda okładka, kredowy papier w środku. Na okładce rysunek, znajoma Polakom kreska, a na nim Pan Bóg w roli głównej, jak to w Polsce. Tylko że ten prosi, by go z nikim z Polski nie łączyć.

Książka jest wydana dla niemieckojęzycznych czytelników, ale oglądacze rysunków mogą czytać polskie teksty w dymkach, podpisy niemieckie umieszczono pod nimi. „Z tego śmieje się Polska. Studia krajoznawcze w 72 rysunkach i tekstach" to wolne tłumaczenie tytułu, oddające jednak zamysł i sens tego zgrabnego dziełka. 152 strony, w które tchnęły życie dwie fantastyczne osobowości piórka (czy innego narzędzia) i pióra – Andrzej Mleczko i Matthias Kneip. Polsko-niemiecki czy niemiecko-polski, jak kto woli, tandem.

Krakowska kultowa figura prześmiewcy polskich cech, które wolelibyśmy ukryć, ale dzięki rysunkom, satyrom, karykaturom Mleczki wiemy sami o sobie więcej. I Kneip, Niemiec z Regensburga, młodszy o 20 lat od Mistrza Mleczki, kiedy dekadami uczył się Polski, także „na Mleczce". Wcześniej oczywiście czytał Mickiewicza, Sienkiewicza, a przede wszystkim Tadeusza Różewicza, z którym się zresztą do jego śmierci przyjaźnił, dziedzicząc niejako tę przyjaźń po swych rodzicach. Kneip napisał 72 teksty, do których pretekstem były rysunki Mleczki wszechstronnie i czasem zaskakująco, z przymrużeniem oka opowiadają Niemcom

Fot. Verlag Friedrich Pustet

polską rzeczywistość i polskie dziwactwa. Znajomość Kneipa i Mleczki jest młoda. – Poznaliśmy się w kwietniu 2021 roku i od razu pojawiły się sympatia i zaufanie. Wiedzieliśmy, że to nasze książkowe dziecko będzie wyjątkowe i wesołe. Szczególnie w tak trudnych czasach, kiedy człowiek cieszy się, że jeszcze ma się z czego śmiać! – opowiada miłośnik Polski i Polaków, tłumaczący ją Niemcom książkami, poezją, podczas podróży turystycznych, w szkołach. Wszak pracuje jako „Polenreferent" w Instytucie Spraw Polskich w Darmstadt.

Zrób książkę, Macieju, jak uważasz

Panowie przyznają, że do książki wydanej przez Verlag Friedrich Pustet nie było specjalnych zamówień. – Jedynie dwa, trzy razy zamieniliśmy czarno-białe karykatury na kolorowe. Ciekawe, jakimi kryteriami kierowali się, wybierając te 72 rysunki? – Książką chcieliśmy przedstawić niemieckim czytelnikom Polskę w nowy sposób: jako rodzaj historii obrazkowej z przypisami. Wybraliśmy te motywy, które mówią wiele o kraju i ludziach w Polsce, o ich życiu codziennym, hobby, zwyczajach żywieniowych... Ale też o polskim społeczeństwie, Kościele, polityce. Nie zawsze wybierałem najśmieszniejsze motywy, ale te, które mogły najwięcej powiedzieć o Polsce. Andrzej dał mi swobodę wyboru. Zawsze mi mówił: „Zrób książkę, Macieju, tak jak uważasz, że powinna być, a będzie dobra!". W ogóle niewiele rozmawialiśmy o wyborze tematów. Teraz mogę tylko mieć nadzieję, że Andrzej jest zadowolony! – uśmiecha się Matthias Kneip; jego imię po polsku to właśnie Maciej.

Okładka jest wizytówką książki, więc często jej wygląd wpływa na zainteresowanie ewentualnych kupujących. Tutaj wybrano wiele mówiący rysunek z relacjami „polsko-boskimi". Kneip się zastanawia: – Dlaczego ten? To jest i było trudne pytanie. Grafika na okładce musi działać natychmiast, także na niemieckich czytelników. Powinna opowiadać coś o Polsce bez konieczności znajomości tła. Jednocześnie musi być typowym dla książki humorem, typowym dla Andrzeja Mleczki. Wiara i religia to teraz ogromny temat w wielu krajach. Ale w Polsce, ze względu na historię kraju, jest to temat szczególnie wielki. I trudny. A rysunek na ten temat mimo wszystko potrafił rozśmieszyć ludzi. Dlatego właśnie go wybrałem.

Polacy, nic się nie stało

Okazuje się, że nawet doświadczony „polakoznawca" i polonofil nie rozumie wszystkich niuansów naszych zachowań, przetworzonych ręką Andrzeja Mleczki. – Był taki rysunek, którego z początku kompletnie nie rozumiałem. Pod banerem z wynikiem „53:47" stoi zgromadzenie smutnych kibiców sportowych i śpiewa „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało". Wieki szukałem, o jaki sport mogło chodzić, gdzie był taki wynik. W pewnym momencie zadzwoniłem do Andrzeja i zapytałem. Okazało się, że chodzi o przewidywane wyniki wyborcze Dudy i Komorowskiego w wyborach prezydenckich w 2015 roku! Byłem totalnie zaskoczony... i napisałem tekst o zwycięstwach i porażkach w polityce i sporcie w Polsce.

Bardzo się podoba Kneipowi rysunek „Modlę się w tej chwili do Boga. Czy czegoś potrzebujesz?". – Ten obrazek przedstawia niezrozumienie wiary w Boga, który dla wielu ludzi jest teraz tylko adresatem życzeń na Boże Narodzenie... Autor żałuje, że nie mógł zamieścić w książce wspaniałych rysunków o zwierzętach. – Ale zwierzęta były po prostu zbyt mało polskie – śmieje się. Boćka z niemowlakiem w dziobie jednak znajdziemy, bez obaw. Matthias Kneip przyznaje, że w Niemczech wielu ludzi bardziej pociągają obrazki niż książki bez ilustracji: – Taki rysunek budzi w każdym gen ciekawości... patrzysz i sprawdzasz, czy potrafisz się śmiać, jeśli nie, to moje teksty pomagają, jeśli tak, to też pomagają. Myślę, że ta książka jest wyjątkowa w swojej koncepcji i życzę jej wielu czytelników, którzy zechcą się śmiać razem z nami!

Książka powstała przy wsparciu DPI, Instytutu Spraw Polskich, do dyspozycji jest 18 plansz z fragmentami książki, które można wypożyczyć, a w marcu stanie w Darmstadt ogromna wystawa plenerowa związana z książką Mleczki i Kneipa. Pytam jeszcze, czy znalazłby w Niemczech podobnie znanego rysownika-karykaturzystę? – Tak, ale trzeba by zebrać trzech lub czterech, żeby mieć w Niemczech jednego Andrzeja Mleczkę. Nie mamy nikogo, kto byłby tak powszechnie znany wśród społeczeństwa.

W jednym z końcowych rysunków książki bohaterowie chcą jechać tam, gdzie najmniej nas nie lubią. Kneip i Mleczko pomagają, by to nielubienie zmniejszać.

Beata Dżon-Ozimek

Angora nr 10/2023

Internetowy atak na turystów

Ci wstrętni Polacy

W ciągu kilkudziesięciu godzin po tym, jak na łamach niezależnej gazety internetowej La Voce del Trentino ukazał się list podpisany przez panią, nomen omen, Mosca (tłum. Moskwa albo Mucha), skarżącą się na chamstwo i pijaństwo polskich turystów wypoczywających w górach Trydentu, redakcja otrzymała setkę maili poparcia i skarg, że turyści ze Wschodu mają za tanio, co przyciąga „najniższą ligę turystyki".

Autorkę korespondencji, która wyjawiła, że „to, co nas zirytowało i zmartwiło, to masowa i przesadna obecność narciarzy z zagranicy, zwłaszcza z Polski", umocnił „chór protestów", atakujący Polaków, którzy wypoczywali w północnych Włoszech. Lista zarzutów była długa. Nie kupują nieruchomości, nie przyjeżdżają od pokoleń zimą, latem i w weekendy, lecz od czasu do czasu, a mimo to mają zniżki, promocje i bonifikaty, o jakich autochtoni mogą pomarzyć. Za zaoszczędzone pieniądze kupują alkohol i, upojeni, śmigają po zboczach, kłując w oczy miejscowych – choć też przyszywanych – górali, właścicieli tzw. drugich domów.

Wiadomość, napisaną przez Serenę Mignani, zamieszczono z nagłówkiem „Polacy w Val di Sole: szkoda wyprzedawać nasze klejnoty". W tekście była mowa o tym, że „turystyka niskiej jakości rujnuje środowisko, czyni stoki niebezpiecznymi, szkodzi naszej młodzieży i nie przynosi żadnych korzyści ekonomicznych". Włoszka ubolewała, że trzeba znosić „nadużycia i arogancję zagranicznej turystyki, która niczym drapieżne ptaki zagnieżdża się – wyzyskuje – brudzi" i napomknęła, że w tym roku rozbito „bandę polskich oszustów, która zdominowała miasteczko Marilleva nielegalnymi usługami turystycznymi i uchylała się od płacenia podatków" (w styczniu telewizja Rai informowała, że prokuratura w Trydencie wzięła pod lupę polskie biuro podróży, a także bada, czy 15 polskich instruktorów narciarstwa wykonywało swoją działalność w Italii zgodnie z prawem). Aby przybliżyć, z jakiego pulpitu płyną refleksje, napisała o sobie: „Moja rodzina kocha, szanuje i odwiedza te doliny od kilkudziesięciu lat. Zainwestowaliśmy w nieruchomości, zajęcia, sezonowe karnety narciarskie i pełne oddania relacje z mieszkańcami". Gość to nie mieszkaniec, dlatego niech się dowie z internetu, że nie jest mile widziany.

Apage, Polacy! Listów w tym tonie (na adres redazione@lavocedeltrentino.it) napłynęło tak dużo, że redakcja ucieszyła się z publicznego odbezpieczenia tabu niechęci: „Na potwierdzenie, że zjawisko jest głęboko odczuwalne i być może zbyt długo było przemilczane, wczoraj wpłynęło około stu e-maili solidarności z Sereną".

Trudno dowiedzieć się, kto moderuje treści na portalu i kto wybrał do publikacji kontrowersyjną pocztę, bo materiały nie są firmowane imiennie, natomiast za całość prawdopodobnie odpowiada naczelny Roberto Conci, który podaje, że jest producentem, twórcą formatów, byłym redaktorem telewizji internetowej Telecuore Trentino, pisarzem z zamiłowania i muzykiem. Ktoś, autoryzując ukazanie się w sieci hejtującej, uderzającej w cały naród retoryki – przecież nie jesteśmy nacją pijaczków na nartach – wywołał rozdwojenie jaźni, bo Trydent czeka na Polaków i innych cudzoziemców z otwartymi ramionami. Na szczeblu regionu od lat odbywają się spotkania zmierzające do konsolidacji relacji turystycznych i gospodarczych między Trydentem a Polską. W poprzednich latach we włoskich Alpach, w rejonie Trydentu, pracowali nawet polscy policjanci, którzy patrolowali stoki, pomagali polskim narciarzom, a także asystowali włoskim mundurowym np. podczas udzielania pomocy ofiarom wypadków. Czy teraz Polacy się obrażą, czy raczej zmienią zachowanie?

Internetowej gazecie tak spodobało się szokowanie, że – zaraz po tym, jak pokojowo przyznała, że jednak „nie wszyscy obcokrajowcy są nieokrzesani i nie wszyscy nieokrzesani są obcokrajowcami" – ogłosiła konkurs odgadywania rasy po kupie. Dla dzikusów. (ANS)

Na podst.: lavocedeltrentino.it, ufficiostampa.provincia.tn.it

Angora nr 11/2023